

DOMINIK
ŁUSZCZYŃSKI



PUSTE MOGIŁY

DOMINIK ŁUSZCZYŃSKI

PUSTE MOGIŁY



Wrocław 2023

Tytuł: *Puste mogiły*
Autor: Dominik Łuszczynski

Copyright © Wydawnictwo Dom Horroru, 2023
Copyright © Dominik Łuszczynski, 2019

Dom Horroru,
ul. Gorlicka 66/26
51-314 Wrocław

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja i korekta: Mariusz Elsner
Projekt okładki: Digital Fire Rafał Brzozowski
Skład i łamanie: Krzysztof Biliński

Wydanie I
Wrocław 2023

ISBN 978-83-67342-55-1

www.domhorroru.pl

facebook.com/domhorroru
instagram.com/domhorroru

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

PROLOG

1999 ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

2019 ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

1899 ROZDZIAŁ XI

2019 ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

ROZDZIAŁ XVIII

ROZDZIAŁ XIX

1999 ROZDZIAŁ XX

2019 ROZDZIAŁ XXI

ROZDZIAŁ XXII

ROZDZIAŁ XXIII

ROZDZIAŁ XXIV

ROZDZIAŁ XXV

ROZDZIAŁ XXVI

ROZDZIAŁ XXVII

ROZDZIAŁ XXVIII

ROZDZIAŁ XXIX

EPILOG

PROLOG

Niemowlę żyło jeszcze w chwili, gdy dwaj mężczyźni przysypywali je ziemią. Łkało, bezbronne i bezradne. Próbowало walczyć odgarniając swoimi małymi rączkami pokłady ciemnej, gliniastej ziemi. Wielkie, brudne grudy były jednak bezlitosne. Z momentu na moment przysłaniały obraz zamglonego świata pogrążonego w wieczornym mroku. Wypełniały krzyczące usteczka, jakby nakazywały im milczenie. Deszcz zaś, który wylewał się z przestworzy w srebrnych, zimnych niciach, wciąż wystukiwał swój żałobny rytm, gdy po dziecięciu nie było już śladu.

Dwaj mężczyźni stali jeszcze długą chwilę nad bezimiennym grobem, który wykopali swoimi rękami. Wypełnili go nie tylko ciałem nowonarodzonego. W mogile mającej na wieki wieków pozostać zapomnianą, złożyli też całą swoją przyszłość. Wszystkie obawy, lęki i strach, mając nadzieję, że odwrócą bieg wydarzeń, jaki stał się przyczyną wszystkich ich życiowych tragedii.

1999

ROZDZIAŁ I

- Cośmy uczynili...

Szept niósł się echem pośród starych drzew o czarnych pniach. Nie było w nim jednak słycać wyrzutów sumienia. Nie znalazło się w nim miejsce na skruchę. Tylko obawa o to, by nikt nie odkrył prawdy. By niemowlę złożone do marnej niby mogiły raz na zawsze w niej pozostało.

- Dobrze wiesz, że tak trzeba było. W innym przypadku wszyscy byśmy pomarli.

Drugi głos, inaczej niż pierwszy, miał w sobie władczą nutę. Mocny tembr i silne brzmienie. Była w nim jakaś nikczemność. Potężna dawka przeświadczenia, że mówiący człowiek jest nie tylko panem sytuacji, lecz również i życia.

Dwaj mężczyźni patrzyli sobie prosto w oczy. Ich zalewane deszczem twarze pokryte były zarówno znakami czasu, jak i strachem. Za strachem tym kryła się jednak determinacja. Choć jeden z nich udawał, że bije się z myślami, wiedział, że we własnym mniemaniu postąpił w jedyny słuszny sposób.

Otaczała ich ciemność zbliżającej się nocy. Wokół unosiła się mgła. W konarach potężnych drzew nie skrywały się ptaki. Za plecami mężczyzn znajdował się stary cmentarz. Nieużytek, który od dawna popadał w ruinę, i o którym mało kto już pamiętał. Niegdyś składano tam choleryków i nosicieli dżumy, choć mówiło się, iż w najstarszych mogiłach, gdzie nawet przegniłe krzyże zdawały się wskazywać, jakby spoczywających tam opuścił sam Bóg - leżeli obarczeni trędem nieszczęsnicy. Jeden z mężczyzn, ubrany w starą, zbyt dużą koszulę, pikowaną kamizelkę i wyświechtane spodnie, spojrział w ich stronę. Sam nie wiedział dlaczego jego oczy zbłądziły w tamtym kierunku. Czy

szukał osób mogących skrywać się pośród otaczających cmentarz wierzb i olszyn, które mogłyby zdradzić bluźnierczy czyn, jakiego dokonał? Czy może zupełnie nieświadomie patrzył na puste parcele, jakby domyślał się, że - choć próbuje - jego przyszłość uwieńczy grób w tak ohydny miejscu.

Drugi mężczyzna odwrócił wzrok od współnika w zbrodni i spoglądał pod swoje stopy. Na miejsce, w którym deszcz wystukiwał symfonię winy i grzechu. Był wyższy niż jego kompan. Inaczej też ubrany. W jednoczesnym, czarnym jak smoła stroju brakowało tylko jednego elementu, który dopełniłby obrazu całości. Śnieżnobiałej, lśniącej koloratki.

- Niechaj zapomniana zostanie nam nasza wina, bowiem pogrzebaliśmy zło nie pozwalając, by ujrzało światło jutrzeńki - zaczął wołać donośnym głosem. Z kieszeni wyjął małą, srebrną fiolkę w kształcie kapliczki. Kilkoma szybkimi ruchami odkręcił jej mały korek i czyniąc znak krzyża zaczął polewać jej zawartością mogiłę, której był pomysłodawcą i twórcą. Święcona woda niknęła jednak w jego oczach pod naporem kolejnych fal deszczu. Nie skrzyła się świętym blaskiem. Nie odznaczała na wilgotnej ziemi. Mężczyzna wierzył jednak, że przeniknęła głęboko i nie pozwoli, by zło wyjrzało na świat.

- Czy trzeba zbić krzyż? - zapytał nagle pierwszy z mężczyzn. Jego głos zbiegł się z trzaskiem gromu.

- Litości, Surzewski! Nigdy nie waż się nawet próbować postawić w tym miejscu czegokolwiek! - ksiądz krzyczał na nieco starszego od niego kościelnego. Wyciągnął swój wskazujący palec i grożąc kontynuował. - Ziemia po której stąpasz nie jest już ziemią konsekrowaną. I tak zostanie! Jedynie grób będzie zapieczętowany boskim słowem! Nie może tu być żadnego pomnika, żadnego krzyża, niczego! Pomyśl tylko, co by się mogło stać, gdyby ktoś odkrył to miejsce. Ile dusz mogło by zostać straconych!

Kościelny przytaknął, jak przytakiwał na każde słowo księdza Stanisława już ponad dwa lata. Spojrzał raz jeszcze na mogiłę i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- I jakże to będzie, proszę ojca? Nigdy nie wierzyłem, że takie coś stanie się u nas, a jednak.

- W zło nie wierzyłeś? - zrugął go ksiądz. - Wiele nie trzeba, by się pojawiło. Ale nam udało się zaradzić jego rozprzestrzenianiu. Pokonaliśmy je, Michale! Tej nocy zwyciężyło dobro!

W oczach kościelnego było jednak coś, co dało się zauważyć nawet poprzez ciemność i lejące się z nieba łzy. Zwątpienie. Nie jednak w Boga, Kościół czy konieczność czynu, lecz w to, czy wszystko uda się zachować w tajemnicy.

- Malewska zaraz wszystko wygada! - krzyknął. - Jeszcze mi w uszach dźwięczą jej wrzaski! Kto wie, czy nie biegnie do miasta i nie woła policji? Zjawimy się pod jej domem, albo pod kościołem, i już będą mieli dla nas naszykowane kajdany.

- Bredzisz Surzewski! Tuż po porodzie? Biegnie do innego miasta? Ona nigdy niczego nie wygada!

- Żadna matka tak by tego nie zostawiła! - głos kościelnego unosił się echem, coraz donośniej.

- Zamilcz - skwitował w końcu Stanisław Wereszczuk. - Mam ja swoje sposoby na takie niewierne, plugawe ladacznice. Słowem nie piśnie o niczym, więc się nie martw.

Obydwaj spojrzeli na wykopaną przez siebie mogiłę, pod którą spoczywał noworodek. Stali w ciszy. Wsłuchiwali się w odgłosy otoczenia, jakby w obawie, że za przyczyną samego diabła usłyszą dobiegające z zasypanego dołu krzyki i płacz dziecka.

Ciemność stawała się coraz bardziej gęsta. Zastąpiła opadającą z wolna mgłę. Z trudem dostrzec można było cokolwiek.

- Nie zapalaj lampy - rozkazał Wereszczuk.

Kościelny, choć tego nie zrobił, sięgał już po nią upewniając się, że ma w kieszeni kamizelki paczkę zapalek. Słowa proboszcza zdziwiły go. W duszącym mroku nie można było dostrzec jego sylwetki, co dopiero odgadnąć, że będzie próbował zapalić lampę.

Michał Surzewski, choć nigdy nie przyznał tego wprost, bał się swojego księdza. Prócz sługi Boga widział w nim człowieka, który ma w sobie coś tajemniczego, nieodgadnionego. „Jakby znał grzechy zanim jeszcze klęknie się do konfesjonału”, powiedział raz do siebie, po czym zaklął w myślach stwierdzając, że „prałat i w głowie majstrować może”.

- Chodźmy - Wereszczuk powiedział rozkazującym tonem. Słysząc było, jak stąpa po mokrej, błotnistej ziemi, jak jego buty piszczą na

świeżej, majowej trawie.

Kościelny raz jeszcze wsłuchał się we wszystkie odgłosy skrywane przez noc, by w chwilę później kroczyć – jak miał nadzieję – tuż za księdzem.

- I nigdy, przysięgnij mi Surzewski, noga twoja tutaj nie postanie.

- Przysięgam.

Mężczyzna nie zdążył jeszcze wypowiedzieć do końca słowa swojej przysięgi, gdy poczuł, że tuż przed nim, dosłownie kilka centymetrów od jego twarzy, znajduje się twarz prałata.

- Z większym przekonaniem, Surzewski! – syknął przez zaciśnięte zęby. – Oj, wiem ja, jak to lubisz wypić i dzielić się w takich momentach wszystkim, dosłownie wszystkim!

- Przysięgam! Przysięgam! – Surzewski niemal krzyczał. Choć nie mógł tego dostrzec, czuł na sobie wzrok Stanisława.

Odpowiedzi od księdza nie usłyszał. Dobiegł go jedynie odgłos jego kolejnych, szybkich kroków. Później chrobot i chrzęst zardzewiałego łańcucha od cmentarnej bramy. Pisk jej zawiasów, gdy otwierał jej skrzydła, i ciche szepty prałata, gdy raz na zawsze zamykał wrota do świata zapomnianych.

„I oby zło nigdy nie powstało. Oby ciemność nas nie zmoęła. Oby dobro zwyciężyło”.

Droga do wioski dłużyła się Surzewskiemu niemożebnie. Minuty, w czasie których myślał o dziecku złożonym do grobu mijały ospale i ociężale. Zdawało mu się, że wieczność minęła od chwili, gdy opuścili zapadniętą nekropolię, podczas gdy nie uszli więcej niż kilkuset metrów. Przeszli przez mały wąwóz i trakt leśny. Wstąpili na wyściełaną piachem drogę, minęli kilka przydrożnych kapliczek, by w końcu – gdy noc była gęsta od smolistej czerni, a deszcz nie dudnił im w uszach – znaleźć się na głównej, wiejskiej uliczce. Tuż przy rozwidleniu, gdzie rozchodziła się w trzech kierunkach, mężczyźni popatrzyli na siebie, choć spowijający wszystko mrok sprawił, że nie mogli zajrzeć w swoje oczy.

- Dobrych snów, Michale – prałat Stanisław szepnął w kierunku kościelnego, choć wśród nocnej martwoty mogło się zdawać, jakby krzyknął z całych sił.

- Dobranoc – odparł Surzewski, po czym dodał – Szczęść Boże.

Nie doczekał się odpowiedzi.

Po chwili, kiedy kroki Wereszczuka zaczęły wyraźnie słabnąć, niknąc w nocnej pustce, Michał głęboko odetchnął nie mając pojęcia, jakim cudem miałby tej nocy zasnąć. Zamiast skierować się prosto do domu usiadł na sporym, przydrożnym kamieniu. Dopiero wtedy poczuł, jak serce wybija mu w piersi szaleńczy rytm, a żyła na skroni pulsuje, jakby jej jedynym zadaniem było rozsadzenie czaszki kościelnego.

Surzewski zawsze uważał się za dobrego człowieka. Nigdy niczego od życia nie wymagał, nigdy na nic nie liczył. „No, może poza bożym błogosławieństwem” – pomyślał. Choć nie miał ani żony, ani dzieci, cieszył się każdym dniem swojego pięćdziesięciosześcioletniego życia. Gospodarstwo prowadził skromnie. Dużo do szczęścia nie trzeba mu było. I gdy tak o wszystkim pomyślał – o swoim czynie, który przypieczętował znakiem krzyża – przeląkł się, a z jego oczu popłynęły łzy. Nie sądził, że jego serce skruszeje, a dusza zacznie więc się niespokojnie.

- Czy aby to było odpowiednie? – powiedział takim tonem, jakby pomyślał o sprzedaży cielaka, a nie o morderstwie noworodka.

Naraz stanął mu przed oczyma obraz Aurelii Malewskiej, drącej się wniebogłosy, gdy ledwo co powinięte dziecko zostało jej brutalnie odebrane. Surzewski nie znał jej dobrze, bo i nie było ku temu okazji. Upośledzona Aurelia, której rodzina dawno pomarła, sama zajmowała się swoim niewielkim gospodarstwem. Z pewnością znalazłby się ktoś, kto by jej pomógł, choćby i dobrym słowem, gdyby nie ostracyzm, jakim obciążono jej całą rodzinę. Niewierzący pośród bogobojnych. Ateiści wśród wierzących. Jedyni w całej wsi, jedyni, jacy kiedykolwiek tam mieszkali. A gdy zarówno ojciec, jak i matka młodej Malewskiej pomarli, we wsi mówiło się tylko, że to Bóg przyszedł zakończyć epokę niewiary. I tylko wyczekiwano, aż i Aurelia zejdzie z tego świata. Ona zaś – wbrew zapowiedziom najstarszych matul we wsi – żyła i miała się dobrze, choć widać było, iż niekiedy ciężko wiązała koniec z końcem. Nikt jednak nawet słowem się do niej nie odzywał. Nikt nie proponował pomocy. Nikt nie wspierał w codziennych trudach. W niedziele z kolei, gdy pobożnie wędrowano na sumę, mijano jej dom z daleka. Dzieciom wmawiano, że w nim straszy i że każdy, kto choćby słowo zamieni z Malewską, będzie potępiony przez prałata Stanisława. A słowo prałata Stanisława było święte tak bardzo, jak tylko świętym mogło być słowo

padające z ust śmiertelnika. Gdy więc dotarły do wszystkich mieszkańców słuchy, że młoda Malewska – ta sama, upośledzona niewierząca, która z nikim nie mieszka i z nikim się nie spotyka – oczekuje dziecka, na ludzi padł blady strach. Starowinki płakały wieszcząc koniec świata. Starcy rzucali kalumnie wyzywając Aurelię od jawnogrzesznic. Prałat Stanisław zaś milczał. Mieszkańcom zdawało się, że sam nie wie, co to wszystko znaczy i jak poradzić sobie z tym faktem. Michał Surzewski wiedział jednak, że za tym długim, trwającym całe miesiące milczeniem stał plan, który w ustach księdza przybierał tylko formę zapewnień „Bóg nam dopomoże i sprawi, że problemy same się rozwiążą”. Kościelny, tak samo jak i wszyscy w wiosce, czekał więc na to. Na cudowne rozwiązanie problemu, jakim była Aurelia Malewska i jej mające się wkrótce narodzić dziecko.

Cudowne rozwiązanie nie nadchodziło jednak. Nie objawiło się nagłą śmiercią ich obydwojga. Zupełnie inaczej byłoby nawet w przypadku, gdyby młoda Malewska niespodziewanie wyprowadziła się ze wsi i wzrok i słuch by po niej zaginął. Michał Surzewski znał jednak prawdę o mającym nastąpić cudzie. Prałat Wereszczuk wyjawiał mu ją dzień wcześniej. A gdy skończył mówić kościelny był blady niczym ściana i przelykał ślinę, jakby w gardle paliło go żywym ogniem piekielnym. Dostał jednak zapewnienie od księdza, że czeka go łaska wieczna za pomoc w uwolnieniu wsi od owocu lubieżnych czynów Aurelii. A Michał Surzewski nie ważyłby się sprzeciwić księdzu. Wiedział, że wtedy spotkałaby go prawdziwa kara boska.

Kościelny wyrwał się z otępienia. Wstał z niewygodnego głazu i zaczął głęboko oddychać. Nie pomogło to ani trochę. Serce w dalszym ciągu gdzieś się śpieszyło. Myślami zaś władał chaos, z którego wynurzał się obraz płaczącego niemowlęcia odbieranego łkającej i krzyczącej matce.

Zakradli się do niej, gdy tylko domyślili się, że będzie rodzić. Obserwowali ją każdego dnia. Widzieli jak powiększa się jej brzuch. Sprawdzali jak się zachowuje. Wyczekiwali dni, gdy Aurelia nie będzie chodzić ani w pole, ani do chlewu. Dnia, kiedy nastąpi rozwiązanie.

Dziecko już prawie w całości wydostało się na ten świat, gdy wbiegli do jej domu. Leżała nago w łóżku mając przy sobie przygotowane ręczniki i balię z wodą. Wereszczuk podbiegł do niej jako pierwszy. Odepchnął zmęczoną kobietę, gdy przerażona zaczęła się podnosić na

łóżku i szybkim ruchem wyrwał jej dziecko z rąk. Dłonią rozerwał pępowinę – jakby miał w sobie siłę tura – i wybiegł z domu zostawiając oniemiałego kościelnego samego z mdlejącą, lecz wciąż krzyczącą Malewską. Surzewski pomyślał, że nigdy nie zapomni, jak wiła się i jęczała. Jak żałośnie ujadła próbując wstać i biec za mężczyzną, który odebrał jej być może jedyną radość w życiu.

- Tak trzeba było, tak trzeba było – mówił kościelny wciąż próbując usprawiedliwić swoją winę.

Zupełnie nie pamiętał minut, które dzieliły go od ostatniego spojrzenia w oczy Aurelii, do chwili, gdy znalazł się na starym, opuszczonym cmentarzu kopiąc niewielki dół, do którego kilka minut później Wereszczuk wrzucił niemowlę.

Upadł na kolana i gorzko zapłakał.

- Może, gdybym jeszcze tam szybko pobiegł, gdybym odkopał dół najszybciej jak się da, uratowałbym dziecko! – zaczął mówić do siebie rozglądając się dookoła, mając świadomość tego, że właśnie popełnił śmiertelny grzech i nigdy nie dostąpi zbawienia.

Jego serce zamarło, a dusza jakby się oddaliła, gdy spostrzegł, że wbrew wszelkiej logice znajduje się przy domu Aurelii Malewskiej, która przecież mieszkała zupełnie gdzie indziej, niż on. Daleko dalej niż miejsce, do którego zaszedł.

Zdjął go strach. Zaczął mówić coś pod nosem jękając się. Jego ręce drżały, a oczy zdradzały niedający się pojąć lęk, gdy przez mrok nocy wpatrywał się w okno małej, poniszczonej chaty, gdzie na parapecie stała zapalona długa świeca podobna do gromnicy. Jaśniała niby wieczna lampka. Jej płomień lśnił oskarżycielsko, jakby świeca zwiastowała mu powolną śmierć w męczarniach i późniejsze katusze duszy.

Dla Surzewskiego było to olśnieniem. W jednej chwili, niczym rażony gromem, przypomniał sobie, że na starym cmentarzu zostawił łopaty, które zabrał ze sobą z własnego domu.

- Gdyby tak ktoś je zobaczył, rozpoznał... – powiedział i ze strachu zaczął szcząkać zębami. Niemal natychmiast ruszył z powrotem, w stronę opuszczonej nekropolii.

Wioska była pogrążona we śnie. Nie paliły się światła, nie słychać było nawet ujadania psów. Jedynie Michał, choć w słusznym wieku,

pokonywał kolejne metry niczym nastolatek. Zdawał sobie sprawę, że od jednej rzeczy być może zależeć będzie jego życie. Biegł, jakby czerń nocy nie była problemem. Jakby masa mroku, która go otaczała, nie różniła się niczym od lekkiej, porannej mgły. Wydawało mu się, że minęła tylko chwila, gdy na powrót znalazł się przy cmentarnej bramie. Nie mając klucza do kłódki i łańcucha przeskoczył ją szybko i sprawnie podciągając się na zardzewiałych, wilgotnych, wciąż pamiętających wieczorny deszcz prętach. Był już po drugiej stronie. Kroczył między mogiłami lawirując tak sprawnie, jakby znał ich układ na pamięć. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, gdzie odłożył łopaty. Sięgnął do kieszeni kamizelki po zapałki. Czy bał się, że ktoś go zobaczy? Wszystko miało dziać się tylko chwilę. Jedno mignięcie płomienia, by rozrzedzić mrok i ujrzeć ubłocone sztychy. Zapałka nie chciała płonąć. Wilgotna siarka rozsmarowała się na słońce niczym masło. Za nią kolejna. I jeszcze jedna. Dopiero któraś z rzędu, jakby słysząc rzucane pod nosem przez kościelnego klęcia, przełękała się i rozświetliła nikłym światłem czerń świata.

Mogiła była rozkopana.

I była pusta.

To pierwsze i jedyne, co rzuciło się w oczy Szurzewskiemu.

Zapałka dokonała swego żywota i wraz z oddalającym się wspomnieniem o ogniu pozwoliła, by mrok powtórnie rozsiadł się na wszystkim wokół.

Złudzenie i sen, wmawiał sobie kościelny. Ułuda.

Nie minęła chwila nim następna zapałka ścierała się w próbie wzniecenia bursztynowej poświaty. Trzęsące się ręce Michała stanowiły najlepszy dowód na to, że wmawiane sobie wytłumaczenia były pieśnią dobrej myśli, nie zaś rozsądku.

Światło ponownie rozświetliło starą nekropolię.

Dół, bezimienny grób, w którym powinno spoczywać niemowlęce ciało, nie miał w sobie po nim nawet śladu.

Surzewski krzyknął. Po chwili zrobił to po raz kolejny. Upuszczona zapałka dogasała w locie i nim spadła na ziemię cmentarz okrył się kirem nocy.

Przerażony kościelny krzyczał jeszcze głośniejsze, a jego żałosne ujadanie niosło się echem. Choć wszędzie było nic, tylko czerń, zasłonił

oczy, jakby bezbożny pochówek palił jego wzrok mimo wszechogarniającego mroku.

Zataczając się w kierunku bramy, uciekał. Wciąż miał zamknięte oczy. Pozwalał nieść się naprzód zmysłom. Tym samym, które w jednym momencie uraczyły go nienaturalnym uczuciem osaczenia, rozlegającym się wszędzie trupim odorem rozkładających się, chorych ciał oraz wyobrażeniem wpatrujących się w niego setek ślepych, martwych oczu.

Michał Surzewski długo przeciskał się przez marniejący fragment cementarnego płotu tuż obok bramy, jakby zupełnie zapomniał w jaki sposób i z jaką łatwością znalazł się na ziemi należącej do umarłych. Wciąż bredził pod nosem i krzyczał, gdy biegnąc w stronę wsi, potykając się na korzeniach wielkich drzew i przydrożnych kamieniach, myślał o tym, że właśnie był świadkiem potwornego zmartwychwstania. Sytuacji, która nigdy nie powinna mieć miejsca.

Umysł kościelnego płonął. Wypełniał go żal za grzechy i przekonanie co do tego, że wszystko, co wydarzyło się tego wieczoru sprawi, że raz na zawsze zapewni sobie miejsce wśród potępionych. A przecież chciał dobrze. Pomagał w pozbyciu się demona. Ścierał ostatnie ogniwo niewiary, jakie wykwitło w ich wspaniałej wsi. Robił to, co w głębi duszy uważał za dobre. Przynajmniej do chwili, gdy nie ujrzał pustej mogiły i nie zrozumiał, jak wielki popełnił błąd.

Znów był na rozstaju dróg. W jego płucach świszczało powietrze, z twarzy kapał pot. Zamiast udać się w stronę swojego domu wybrał inną drogę. Wiodącą wprost do kościoła i mieszczącej się nieopodal plebanii. Biegł i myślał o tym, że Wereszczuk z pewnością już śpi. Obudzi go jednak, opowie wszystko co widział i o czym myśli. Prałat na pewno będzie znał rozwiązanie.

Był już niedaleko. Widział wyłaniającą się zza drzew wieżę kościoła. Ich kochanej, małej parafii zbudowanej na wierze i miłości. Przebiegł przed frontem budynku zegnając się pośrodku i wybiegł na mały plac za nim, skąd widział plebanię. Zwolnił kroku. Szedł ospale, na trzęsących się nogach. Jego buty zatapiały się w wilgotnej ziemi. Nieprzyjemny plusk błota wypełniał mu uszy.

Oparł się o płot graniczny między kościołem a plebanią. Czuł, że traci przytomność. Jakby uchodziło z niego życie, a dusza miała zamiar

powędrować wprost ku czeluściom piekieł. Palce w rękach skostniały i wykręciły się nienaturalnie. Twarz zdrętwiała, a grymas, jaki się na niej pojawił przypominał wyglądem plugawego, ohydneho maskarona.

Nim Michał Surzewski upadł na ziemię, jego oczy wykręciły się do góry ukazując jedynie przekrwione białka. Tracąc przytomność wciąż powtarzał w myślach tylko jedną frazę:

„Mogła jest pusta. Mogła jest pusta. Mogła jest pusta....”

ROZDZIAŁ II

„Lulaj że, o dziecię...”

Zabił jej pociechę. Małą, słodką istotkę. Cud, który nosiła pod sercem troszcząc się o niego każdego dnia. Wypatrując narodzin, jak najjaśniejszej gwiazdy na nocnym niebie.

Wiedziała, że jej dziecina już nie żyje, lecz nie potrafiła zrozumieć dlaczego. W jednej chwili widziała jak przychodzi na świat, w drugiej obce ręce brutalnie wydzierają ją z jej drżących rąk. Była zbyt słaba, zbyt obolała, by czemukolwiek zaradzić. Przez łzy spoglądała na mężczyznę, który z jej szkrabem w swoich brudnych rękach uciekał od niej jak najdalej.

Choć kobieta nie rozumiała w pełni świata, choć każdy dzień jej życia pełen był dziwności, a samotność wcale temu nie pomagała, zdawała sobie sprawę z pokątnych spojrzeń i wrogich słów, jakie ludzie kierowali w jej stronę. Uśmiechała się przecież, mówiła „dzień dobry”, a oni - wszyscy - traktowali ją źle. Była tą najgorszą.

Płakała i drżała wpatrując się w okno swej chaty. Spoglądając w noc, w cienie, w których nie dostrzegała twarzązki swego dziecięcia. Nie wiedziała, czy nazwać można było to cudem, jednak poczuła w sobie nieznaną jej do tej pory uczucie. Głębokie, wewnętrzne przekonanie, że maleństwo żyje. Że wróci do niej - do swojej prawdziwej matki. Była też przekonana o tym, iż na próżno ludzie sprawiali jej taką przykrość. Jej syn wróci i obróci tę nienawiść w ich stronę. Sprawii, że to oni będą płakać i lamentować całymi nocami.

Naga, obolała, z oczami piekącymi od łez, przeszła cały, mizernie wyposażony pokój, kulejąc na trzęsących się nogach. Podeszła do nocnej szafki. Sięgnęła do najgłębszej szuflady i wyjęła z niej świecę. Wróciła do brudnej szyby okna, przez które widać było tylko nocną

puszkę. Tuż przy niej, na zbutwiałym parapecie, ustawiła długą, woskową kolumnę i zapaliła ją.

Dłonie wciąż jej się trzęsły. W myślach zapanował jednak osobliwy spokój.

- Światło świecy wskaże ci drogę - szepnęła, jakby kierowała swe słowa prosto w bezkresną toń nocy. Bursztynowa łuna rozświetlała twarz kobiety, gdy powtórnie zapłakała.

Aurelii Malewskiej wydawało się, że jej cierpiętnicze krzyki słysząc będzie jeszcze daleko, w innych wsiach.

Chciała, aby tak było.

By wszyscy wiedzieli, że smutek zostanie jej wynagrodzony.

ROZDZIAŁ III

Obudził się w miękkim, szerokim łóżku pod świeżą i wykrochmaloną pościelą. Przez otwarte okno wchodziły do pokoju zapachy kwitnącego maja i radosne, ptasie trele. Przez wpół zamknięte powieki dostrzegał promienie wysoko zawieszzonego słońca.

Michał Surzewski powoli podniósł się i oparł na łokciu. Organizm poczęstował go symfonią dotkliwego bólu, który w momencie – przechodząc z pulsującej głowy – opanował całe ciało. Dotknął szorstką dłońią swojej twarzy. Przez chwilę nie mógł skonstatować, gdzie się znajduje. Dopiero głośne skrzypnięcie drzwi i sylwetka osoby powolnie wkraczającej do pokoju wyrwały go z zamyślenia.

- Jak to dobrze, że się już zbudziłeś – powiedział głos. – Tym razem atak musiał być naprawdę silny. Tylko co robiłeś na kościelnym dziedzińcu? Tazczenie cię aż tutaj było naprawdę wyczerpujące.

Surzewski wyskoczył z łóżka nie bacząc, że jest prawie nagi. Rzucił się na stojącego przed nim mężczyznę, który oniemiały, zupełnie beczynnie, pozwalał, by dłonie szarpały go za sutannę.

- Księżę prałacie! Nie ma! Mogiła jest pusta! Mogiła jest pusta! – wykrzykiwał kościelny niemal opluwając twarz Wereszczuka.

- Co je... – nie zdążył zapytać gdy mężczyzna o przekrwionych oczach zaczął kontynuować swój szalony wywód.

- Grzech największy! Śmiertelny! Pusta mogiła księżę Stanisławie! Nie ma go tam! – Surzewski ryczał jak oszalały. Bardziej zdawał się być opętany, niż tylko obłąkanym i przez krótką chwilę – gdy pięści kościelnego zaciskały się na jego ubraniu niebezpiecznie blisko szyi – Wereszczuk zaczął się bać o swoje własne życie.

- O czym ty mówisz, Michale?! Kogo nie ma? – spytał łagodnym tonem chcąc uspokoić parafianina.

- Dziecka nie ma! Niemowlęcia, co myśmy je żywcem zakopali! Tego demona, co go Malewska powiła w nocy!

Stanisław Wereszczuk pobladł, niby płaczka na pogrzebie. Żrenice, w przyplýwie strachu, pochłoneły prawie w całości błękit jego oczu. W duszy odezwał się głos podpowiadający, że czarne, kłębiaste chmury jakiejś okropnej tragedii właśnie przerwały sielankę jego spokojnego życia.

- O czymże ty do cholery mówisz, Surzewski! - zaklął przerażony chwytając Michała za ręce i niemal rzucając go na łóżko. - O czym ty, na litość boską, mówisz!

- Jakże ksiądz w tej chwili tak może mówić?! Tu trzeba działać, a nie stać! Trzeba znaleźć niemowlę i wrzucić je z powrotem do grobu! Jutrznia już była? Czy jutrznia już była, proszę księdza? Biada nam, jeżeli tak!

Prałat zaklął pod nosem. Próbował się opanować. Oddychając głęboko myślał, jakie pytanie zadać kościelnemu, aby uzyskać właściwą odpowiedź.

- Michał, czy ty brałeś wczoraj swoje leki? - pytanie, które udało mu się wypuścić drżącymi wargami swoich ust było ledwo słyszalne. Wystarczająco jednak, by Surzewski spojrział na niego i przestał rzucać się, jakby w konwulsjach, wciąż lamentując.

- Księżę prałacie! Jakże mógłbym je wziąć, skoro w nocy mi zostało objawione, że one mnie zabijają? Oczywiście, że żadnego z nich nie wziąłem! - jego głos przypominał warkot. Mężczyzna zaciskał kurczowo usta, po czym rozpręzał je w dziwnych, ekscentrycznych pozach.

Stanisław Wereszczuk, choć był młodym prałatem, który tę wymagającą posadę we wsi Siedlany objął niespełna trzy lata temu, zdążył doskonale poznać większość swoich owieczek. Najbardziej zaś tę, która pomagała mu w kościele. Samotnego, obarczonego chorobą Michała Surzewskiego. Wiedział, że starzejący się kościelny cierpi na przewlekłą chorobę będącą mieszanką schizofrenii i zaburzeń lękowych. Wiedział też, że regularnie zażywa leki i jeździ do pobliskiego miasta, do jedyne go w rejonie specjalisty. Wiedział też, a raczej wierzył, że wmawiana mu poprawa jego stanu i długie lata, w czasie których choroba nie dawała o sobie znać, nie są tylko cczą gadaniną. Wszystko jednak wskazywało na to, że kościelny, którego znalazł nieopodal wejścia na plebanię, mógł dokonać czegoś

potwornego. Czegoś tak przerażającego, że nie mieściło się to w jakichkolwiek ramach człowieczeństwa.

Do samego końca wmawiał sobie, że Surzewski tylko bredzi, że wyśnił koszmar, który wciąż pętał jego schorowany umysł.

- Powiedz mi Michale, że to tylko sen. Na litość boską, proszę, powiedz to! - wykrzyknął obejmując głowę kościelnego. Patrzył w jego oczy i sam próbował doszukać się tam prawdy.

- Chodźmy do Malewskiej! - wykrzyknął kościelny. Odepchnął prałata, który z trzaskiem uderzył o podłogę. Nim wstał, Surzewski już był ubrany i wybiegał z pokoju. Wereszczuk słyszał pośpieszne schodzenie po schodach i skrzypienie otwieranych drzwi wejściowych na plebanię. Chwilę później sam wybiegał przez nie rozglądając się wszędzie dramatycznym wzrokiem za swoim kościelnym. Ujrzał go przebiegającego przez dziedziniec. Kierował się wprost na główną drogę wiodącą do wsi.

Ksiądz Stanisław biegł za kościelnym. Mimo młodego wieku nie potrafił go jednak dogonić. Stawiając kolejne, długie kroki, modlił się pod nosem powtarzając słowa Koronki do Miłosierdzia Bożego. Nie miał bowiem najmniejszych wątpliwości co do tego, że w tej chwili, przed ziszczeniem się czarnego, prawdziwie demonicznego scenariusza, uratować go może nic innego, jak tylko boska opatrzność.

Tego dnia w Siedlanach nie zagościło jednak ani miłosierdzie, ani opatrzność. Stanisław Wereszczuk uświadomił to sobie, gdy wbiegł na podwórze, na którym znajdował się dom Aurelii Malewskiej i w chwilę później, gdy przekraczał próg popadającej w ruinę chaty. Michał Surzewski stał w obskurnej sieni wypełnionej kurzem i stertą brudnych rzeczy, jakby czekał na prałata bojąc się wejść choćby krok dalej, w głąb ciemnego budynku. Aurelia Malewska była jedyną niewierzącą osobą w całej wiejskiej społeczności. Opóźniona umysłowo w stopniu znacznym nie znalazła jednak pomocy u osób, które mogłyby podjąć decyzję o jej przymusowym umieszczeniu w specjalnym ośrodku. Urzędnikom wystarczył fakt, że potrafiła o siebie zadbać, a informacja o tym, że podejmuje samodzielne działania w utrzymaniu gospodarstwa domowego, tylko pomogła w zamieceniu pod dywan jej sprawy. I choć Wereszczuk starał się jej pomóc tłumacząc mieszkańcom, że niewiara nie jest powodem do publicznego linczu, nawet i słownego, to młoda Malewska, przez cały czas jego posługi kapłańskiej w Siedlanach, była

naznaczona społecznym wykluczeniem. A jej izolowanie się od społeczeństwa tylko pogarszało sprawę.

Wareszczuk stanął w sieni obok Surzewskiego. Starał się nie rozglądać na boki, gdzie na przegniłych ścianach znajdowały się krzywo zawieszone obrazy i nieporadnie wykonane chałupniczo drewniane ozdoby. Z pokoju przed nim unosił się smród. Intensywny odór nieczystości i czegoś jeszcze. Czegoś, co przypominało zapach świeżo ciętej miedzi.

Krew.

Prałat przeżegnał się, choć wypowiedziane szeptem „Jezu dopomóż” z nerwów niemal ugrzęzło mu w gardle. Spojrzał na kościelnego. Michał zdawał się nieobecny. Wpatrywał się tylko w jeden, sobie wiadomy punkt, i z lekko otwartymi ustami – niczym lunatyk – trwał w tym stanie nawet wtedy, kiedy Wareszczuk szturchnął go chcąc, by ten poszedł przodem i pierwszy wkroczył do pokoju. Wiedział jednak, że będzie musiał zrobić to sam.

Choć stąpał ostrożnie, jakby bał się, że z pokoju może coś na niego wyskoczyć, drewniana podłoga domu głośno trzeszczała. Deski wyginały się ponad naporem ciała szczupłego księdza, a on sam łapał głębokie wdechy nie zważając na to, że do jego nozdrzy dostawał się wyłącznie nieprzyjemny odór, którego nie mógł pokonać nawet intensywny zapach kwitnących dookoła gospodarstwa kwiatów i ziół.

Po ciele Wareszczuka spływał pot. Prałat bał się tego, co zobaczy. Z całych sił próbował powstrzymać swoją wyobraźnię podsuwającą mu absurdalnie wręcz potworne obrazy. W końcu jednak wszedł do pokoju, a sceny z wyobraźni zniknęły dając upust wyłącznie temu, co prawdziwe.

W małym, ciasnym, pełnym brudu pomieszczeniu mieściły się wyłącznie szafa, niewielki nakastlik oraz łóżko. I to ono w całości przykuło uwagę prałata, który zbladł niczym duch. Momentalnie zrobiło mu się niedobrze, a żołądek wpadł w niekontrolowane torsje. Ksiądz na przemian to zamykał, to otwierał oczy, aż w końcu, po kilku długich chwilach bojów z własnym organizmem, zatrzymał wzrok na pleśniejącej pościeli, na której widniały wielkie plamy krwi i jakiejś śluzopobobnej substancji. Łóżko, w całej swej okazałości, było elementem nie tyle tragicznym, co strasznym. Wareszczuk zreflektował

się, że o wiele gorszym niż widok dekorowanego zaschniętą krwią łoża jest fakt, iż nikogo w nim nie było.

- Gdzie Malewska?! - wykrzyknął w stronę wciąż stojącego w sieni Surzewskiego. Podbiegł do niego. - Gdzie dziewczyna? Coś ty narobił?! - krzyczał w dalszym ciągu, choć kościelny już od pewnego momentu zdawał się orbitować gdzieś poza rzeczywistością.

- Chryste Panie to nie może być prawda... - sapnął pod nosem, po czym w nerwowych ruchach zaczął rozglądać się po małej chatce.

Raz jeszcze wszedł do sypialni. Zajrzał w każdy kąt powstrzymując się przed obrzydzeniem, jakie wywoływał w nim dosłownie każdy przedmiot jaki napotykał na swojej drodze. W królestwie przegniłych, zbutwiałych i zapleśniałych różności Wereszczuk uświadomił sobie, że myśl o przymusowym leczeniu Aurelii wydawała się koniecznością. Przerzucając sterty starych ubrań, zaglądając do prawie pustej szafy drążonej przez korniki, czy zerkając szybko pod łóżko, gdzie piętrzyły się stosy bliżej nieokreślonych, okropnie cuchnących przedmiotów, prałat stwierdził, że ponad wszelką wątpliwość powinien bardziej interesować się losem mieszkańców Siedlan i - być może - dużo większą wagę przykładać właśnie do tych, którzy do jego kościelnej społeczności nie należą.

Z sypialni przeszedł prędko do kuchni, by w mgnieniu oka rozejrzeć się po wnętrzu pomieszczenia, gdzie ilość zaschniętych bądź przypalonych resztek jedzenia sprawiała wrażenie jakiejś groteskowej mozaiki. Komponowała się z nieładem rozrzuconych rzeczy. W emaliowanych garnkach pleśniały mięsne ochłapy. Odór był nie do wytrzymania.

Wereszczuk wybiegł z kuchni i po raz kolejny stanął przez Surzewskim.

- Gdzie Aurelia? Gdzie dziecko? - krzyczał, tym razem mocno targając kościelnego za ubranie. - Ona urodziła, prawda? Wczoraj w nocy? Gdzie oni są?! - dopytywał ze złością w głosie i paniką w oczach. Wahał się, czy by nie uderzyć Michała. Przywrócić go do świata żywych jednym, mocnym ciosem. Nie zrobił tego jednak, bowiem Surzewski, otwierając powoli swe milczące usta, zaczął niemrawo sklecać kolejne zdania.

- Cmentarz! Mogiła jest pusta! Trzeba poszukać... - kościelny krzyknął i spojrzał prosto w oczy swojemu prałatowi. Ten nie dostrzegł w nich niczego, prócz szaleństwa. W jednym momencie uświadomił sobie, że Michał jest w coraz gorszym stanie i jak najszybciej powinien przyjąć swoje leki. Nawet jego twarz wyglądała dziwnie. Jakby przynajmniej w jakiejś części nie należała do niego.

Wereszczuk nie zdążył dopytać kościelnego o cokolwiek, gdy ten wyrwał mu się i wybiegł z chaty wpadając na wejściowe drzwi, niemal wyłamując je z zawiasów. Prałat pobiegł tuż za nim. Słyszał, jak Surzewski wciąż powtarza pod nosem „mogiła jest pusta”. Cały drżał. Było mu jednocześnie gorąco i cholernie zimno, a zlewający się po plecach pot tylko pogarszał sytuację. Wszystko jednak jakby ustało wyparte przez uczucie ogromnego przerażenia, gdy zobaczył, że Michał nie biegnie w stronę cmentarza. A przynajmniej nie tego parafialnego. Minęli główne skrzyżowanie dróg w ich małej wiosce, by tuż za nim Surzewski wskoczył w zarośla nie zważając na tnące jego ciało gałęzie. Wereszczukowi zajęło to dłuższą chwilę. Roślinny szpaler był w tym miejscu wyjątkowo gęsty i prałat nie miał najmniejszego pojęcia, jak kościelny, który był dobrze po pięćdziesiątce, przedarł się przez niego z taką łatwością, jakby po prostu skręcił w inną, najzupełniej normalną, drogę. Biegł jednak za nim tak szybko, jak tylko mógł. Michał slalomem wymijał wszystkie drzewa znajdujące się na jego drodze. W pełnym cieni lesie, do którego promienie słońca dostawały się jedynie w małych dawkach, kościelny zdawał się zjawą, która to pojawiając się, to znikając, kieruje goniącego ją wędrowca na manowce. Wereszczuk widział Michała i choć dzieliła ich już odległość dobrych kilkudziesięciu metrów, słyszał jak ten coraz głośniej - niemal krzycząc - powtarzał enigmatyczną frazę „mogiła jest pusta”. W biegu trwającym kilka minut prałat ani razu nie zastanowił się, gdzie wiedzie go kościelny. Nie interesowało go samo miejsce, do którego zmierzają, a wyłącznie to, czy odnajdzie tam Aurelię i Malewską i jej nowonarodzone dziecko. Pojawiające się w głowie, wciąż świeże wspomnienie zakrwawionego łóżka w jej domu nie tylko nie napawały go optymizmem, lecz - co gorsza - podpowiadały, aby zamiast modlić się o ich szybkie odnalezienie, skupił się już wyłącznie na modłach o odkupienie ich dusz.

Nagle stanął jak wryty. Przebiegłszy cały las za Surzewskim, ostatecznie znalazł się na jego skraju, wyznaczanym przez niezbyt wielką polanę. Z trwogą i pewnym zdziwieniem patrzył jak kościelny, przyjmując zupełnie groteskowe pozy, stara się precyzyjnie przecisnąć przez pręty w starej, pokrytej grubą warstwą rdzy bramie skrytej przed wzrokiem przez rozpościerającą się dookoła roślinność. Dopiero po chwili Wereszczuk skonstatował, gdzie się znajduje. Wystające spod ziemi rzędy starych, tkwiących w zapomnieniu nagrobków, przypomniały mu o dawno zasłyszanej historii. W czasie tuż po przyjeździe do parafii i rozpoczęciu swojej posługi w Siedlanach, ktoś uraczył go opowieścią o miejscu, do którego nie powinien chodzić. Prałat nie pamiętał, od kogo usłyszał historię o starym, budzącym grozę cmentarzu choleryków i zadżumionych, jednak wtedy uznał to za nic nieznaczące słowa. Ot, zwykłą, wiejską opowiastkę, jaką przekazują kolejnym pokoleniom najstarsi mieszkańcy Siedlan. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że takie miejsce istnieje. Widząc jednak popadającą w ruinę nekropolię zadrzał. Mimo tkwiących w tym miejscu krzyży dało się wyczuć coś złowrogiego, co napełniło Wereszczuka zupełnie abstrakcyjnym strachem. Uczucie to trwało jednak tylko jedną chwilę i skończyło się tak samo szybko, jak się zaczęło. Wszystko za sprawą Surzewskiego, który już prawie precyzyjnie przecisnął się przez bramę i w złości starał się ściągnąć spajający jej skrzydła łańcuch. Ku zdziwieniu zarówno Wereszczuka, jak i samego Michała, przerdzewiały łańcuch, po kilku gniewnych, solidnych uderzeniach, spadł z hukiem na ziemię. Zawiasy bramy zaskrzypiały wydając z siebie okropny, metaliczny chrzęst. Wydawało się, że liczące więcej, niż sto lat cmentarne wrota, za chwilę podzielą los łańcucha, i z głośnym trzaśnięciem runą na ziemię.

- Szybciej! Mogiła jest pusta! - krzyczał Michał i wskazywał na coś palcem trzęsącej się dłoni.

Wereszczuk nie pytał już o cokolwiek. Pobiegł za kościelnym przechodząc przez wciąż jęczącą cmentarną bramę, pokonał gęsto rozsiane nagrobki i stanął tuż przy Surzewskim, który zatrzymał się na samym skraju nekropolii. W miejscu, w którym mała polana kończyła się, znów ustępując wielkiemu, cienistemu borowi.

Prałat nie chciał wierzyć w to, co widzi. Pod jego stopami znajdował się wcale nie płytki dół. Ziemia wokół niego była wyraźnie porozrzucana, jakby ktoś w amoku kopał go gołymi dłońmi. Wszędzie,

na błotnistej ziemi silnie nawilżonej wieczorną ulewą, znajdowały się czyjeś ślady. Wereszczuk widział zarówno odbicia potężnych trepów – zupełnie takich, jakie miał na nogach Surzewski – jak i o wiele drobniejszych. Bosych stóp, których ślad wiódł prosto do lasu, urywając się na połaciach wysokiej trawy.

- Coś ty do ciężkiej cholery zrobił?! – wykrzyknął prałat w kierunku swojego kościelnego. Patrząc na jego bierność, na mętny, szaleńczy wzrok, którym wgapiał się w pusty dół, miał ochotę go uderzyć. Obalić na ziemię i tłuc dopóki nie wyjawi, co stało się w nocy. Dopóki nie powie, gdzie jest Aurelia Malewska i jej dziecko.

- Mogiła jest pusta... – szept, który wychodził z niemal nieporuszonych ust mężczyzny, był jednak jedyną odpowiedzią, którą usłyszał Wereszczuk. Kościelny stał i drżał. Widać było, że nie ma już w nim nawet drobin z tej ożywionej osoby, którą był jeszcze niespełna godzinę temu, tuż po przebudzeniu.

Prałat po raz kolejny spojrzął na wykopany za starym cmentarzem dół. W tym samym momencie zaczął wiać silny wiatr, a słońce, jakby oddając to, co dzieje się w jego myślach, skryło się za chmurami. Dookoła zapadła szarawa ciemność.

Stanisław Wereszczuk, dysząc ciężko, nie znajdując w sobie żadnych słów na to, co czuje, nie mogąc nawet skupić się na kolejnych działaniach jakie powinien podjąć, pomyślał tylko o jednym. Pusta, rozkopana w pośpiechu tajemnicza mogiła przerażała go o wiele bardziej, niż gdyby ujrzeć miał tam ciało. Choćby i małego dziecka.

ROZDZIAŁ IV

Słońce zawiesiło się tuż ponad kościelną dzwonnica. Choć był ranek, żar zstępujący z nieba wydawał się bardziej karą, niż pociechą i zwiastunem pięknego dnia. Stanisław Wereszczuk, zakładając ornat stwierdził, że w całym swoim nieco ponad trzydziestoletnim życiu nigdy nie doświadczył niepogody w święto Bożego Ciała. Zawsze, rok po roku, gdziekolwiek nie był, w jakiegokolwiek parafii nie przyszło mu celebrować tego dnia, niezmiennie był to dzień skwarny aż do bólu. Przed rokiem w Siedlanach, gdy wiódł procesję wzdłuż polnego traktu nieopodal wzrastającej pszenicy, myślał, że dosłownie uschnie i zemdleje. Teraz zaś było jeszcze gorzej. Czuł to nie tylko w kościach, lecz również po spływających z niego obficie strumieniach potu. Obrócił się w stronę małego okna, jedyne w całej zakrystii, i podchodząc doń spojrzął na wystający na zewnątrz termometr. Czterdzieści dwa stopnie w słońcu. A przecież kluczowy element święta - procesja idąca przez całą wioskę - miała odbyć się dopiero równo w południe. Wrócił na swoje miejsce i upił łyk wody ze stojącej na komodzie ze stułami butelki. Odetchnął głęboko. W pomieszczeniu było parno i duszno. Tłoczący się w nim ministranci, choć było ich tylko sześciu, w tym dwóch ponad sześćdziesięcioletnich seniorów, sprawiali wrażenie pszczelego roju. Wszędzie było ich pełno. Przygotowywali się do liturgii słowa, czyścili porcelanową figurę Chrystusa, sprawdzali przestarzałe, pamiętające głęboki PRL nagłośnienie, które miało im towarzyszyć w czasie procesji. Byli o wiele za głośno. Wereszczuk uciszył ich jednym słowem. Odetchnął głęboko i wyjrzał przez drzwi od zakrystii na kościół. Był pełny. Starsze kobieciny już od dawna siedziały w pierwszych ławkach. Pośrodku świątyni dziewczynki przygotowywały się do sypania kwiatków. Tam również panował ukrop. Spojrzął na nowego kościelnego, który krzątał się przy ołtarzu przygotowując

wszystko do liturgii. Był młody, mniej więcej w tym samym wieku, co on. Widać było, że jest zadowolony z ofiarowanej mu posady.

Wereszczuk odwrócił wzrok. Wszedł głębiej do zakrystii i usiadł przy komodzie. Spojrzał na zegarek. Jeszcze pięć minut do rozpoczęcia mszy. Wystarczająco, żeby przewertować wszystkie wspomnienia ostatniego miesiąca. Okresu okropnego pod każdym możliwym względem. Prałat nie mógł wymazać z pamięci obrazów, gdy służba zdrowia, w asyście policji, zabierała z Siedlan Michała Surzewskiego. Stwierdzenie jego całkowitej niepoczytalności było wręcz oczywiste. Jak się okazało, policjanci, którzy przeprowadzili rewizję w jego domu stwierdzili, że przepisane mu, niezwykle silne lekarstwa mające poprawić jego stan psychiczny, musiały być w odstawce od długiego czasu. Ostatnie pudełko specyfików - prawie zupełnie nietknięte - nosiło datę wykupienia przypadającą na blisko trzy miesiące przed tragicznymi wydarzeniami. Gdy skuty kajdankami kościelny prowadzony był do karetki, wciąż patrzył na wszystko tym samym, mętnym i obłąkańczym wzrokiem, jakim wpatrywał się w pusty grób na starym cmentarzu. Wciąż też powtarzał tylko jedno i to samo - „mogła jest pusta”. Dodał do tej nieprzerywanej mantry jednak jeszcze jedną kwestię. Na sam koniec, gdy sanitariusze zamykali już drzwi do karetki, wykrzyczał w stronę gapiów słowa „klątwa....pomór...biada...nigdy...”. Wszystkim zdały się one zupełnie bez sensu. Zwykły bełkot człowieka, którego umysł zabrnął daleko do krainy obłądu. Tylko Wereszczuk, stojąc przed karetką i spoglądając na Michała drżał, jakby przeczuwał jakieś nadchodzące, niewyobrażalne dla zwykłego śmiertelnika zło. Zupełnie jak wtedy, gdy jego wzrok padł na skryty pośród drzew zapomniany cmentarz.

Niepoczytalność Surzewskiego była jednak jedynym aspektem, co do którego wszyscy mieli pewność. O wiele bardziej zagadkowym było zniknięcie Aurelii i jej nowonarodzonego dziecka. Policjanci przeszukali dokładnie praktycznie całą wieś. Specjalnie w tym celu zjechały do Siedlan jednostki z całego województwa. Najpierw, centymetr po centymetrze sprawdzili gospodarstwo młodej Malewskiej - chatę, stodołę, niemal walący się garaż. Zaglądali do studni i do jam po wychodku. Nie znaleźli niczego ponad to, co znalazł sam Wereszczuk - stosy brudów i krwawe kleksy wypełniające lichą sypialnię. Nigdzie nie było śladów ani kobiety, ani dziecka. Policjanci odtworzyli też trasę,

którą wskazał im prałat, kiedy biegł za wrzeszczącym Surzewskim i trafił wprost na nekropole choleryków. Jedynym, co odkryli był fakt, iż zagadkowa, pusta mogiła, została wykopana stosunkowo niedawno. Ślady wiodące dalej, w głąb lasu, urwały się jednak nagle, a o sprowadzeniu specjalistów oraz psów tropiących, nie było nawet mowy.

- Nie ma przypadkiem ksiądz jeszcze kilkuset innych owieczek, którymi trzeba się zaopiekować? - usłyszał Wereszczuk tamtego dnia prosto od nadzorującego sprawę komisarza. Jego ton był ironiczny, pogardliwy. Wysoki, postawny policjant z góry patrzył na wieśniaków. Potraktował ich jak osoby, których los w ogóle go nie obchodzi. W następnych dniach Wereszczuk dowiedział się, że sprawa została umorzona. Zamieciona pod dywan, jakby Aurelia Malewska nigdy nie istniała, a Michał Surzewski był po prostu niespełna rozumu szaleńcem, który o kilka lat za późno trafił do zakładu.

- Jemu to wszystko pewnie się tylko przyśniło - lokalny policjant, który zjawił się kilka dni później uraczył Wereszczuka bardzo oględnym stwierdzeniem tego, co według władz zaszło w Siedlanach. - W końcu to świr. A Malewska? Niechże ksiądz da spokój. Uciekła pewnie, bo już nie mogła znieść tych zabobonów. Sam ksiądz mówił, że niewierząca była. Jakbym był niewierzący, to też bym pewnie tutaj nie wytrzymał.

Gdy Wereszczuk zapytał o to, jakim cudem ciężarna miała by uciec z wsi w głuchą, deszczową noc, jednocześnie sama będąc upośledzoną, policjant nic nie odpowiedział. Rzucił tylko na odchodne „sprawa zamknięta” i tyle go było widać.

A ludzie we wsi? Stanisław Wereszczuk był przerażony zachowaniem swoich parafian. Cieszyli się, że Malewska zniknęła. Upatrywali w tym boskiego cudu i znaku, że w ich wsi nie może być niewierzących. Twierdzili, że jeżeli zaiste to Surzewski stoi za zniknięciem „tej więdźmy i jej bachora”, to należy postawić mu pomnik i obwołać miejscowym bohaterem. Na wypowiedziane przez niego kazanie o tym, że stała się prawdziwa tragedia, że nie wolno tak podchodzić do ludzkich dramatów, ludzie zaczęli wychodzić z kościoła. Wtedy uświadomił sobie, że nie warto mówić o niczym innym, jak o Piśmie, a mieszkańcy nigdy nie będą w stanie zrozumieć pewnych aspektów życia społecznego.

Stanisław Wereszczuk westchnął. Otworzył oczy i starł z nich pot. Spojrzał na zegarek. Niecała minuta do mszy. Wstał, wyprostował

ornat, przeżegnał się i wspólnie z ministrantami odmówił modlitwę przed posługą przy ołtarzu.

Skraw stawał się coraz większy. „Gdyby tak mógł roztopić zatwardziałe serca niektórych wiernych”, powiedział do siebie ksiądz, po czym skinął na ministrantów. Wraz z dźwiękiem dzwonka wyszedł wprost do ludzi, by po raz kolejny spróbować wygłosić kazanie o boskim miłosierdziu.

* * *

Ukrop był nie do wytrzymania. Wszystko wydawało się gorzeć, jakby rozniecane piekielnym ogniem. Zdawało się, że w powietrzu można dosłownie wyczuć smród spalenizny.

Wereszczuk szedł w procesji niemal na samym początku. Tylko dziewczynki sypiące kwiaty oraz ministranci ze świętymi figurami i paschałem znajdowali się przed nim. Niósł monstrancję, która stawała się cięższa z każdym kolejnym krokiem, jaki stawiał na wyściełanej piachem, wiejskiej drodze. Czwarty, ostatni ołtarz procesyjny był niedaleko. Tuż przed kościołem, do którego wracali po obejściu niemal całej wsi. Prałat, mimo tego, że myśl o mającym się niedługo skończyć pochodzie wypełniała każdy skrawek jego umysłu, pogrążył się w poczuciu zupełnej beznadziejności i niemocy. Czuł, że omdlewa. Ściskana w rękach monstrancja osuwała się z każdą kolejną chwilą. Nie pamiętał nawet co mówił podczas ostatniego postoju przy trzecim ołtarzu. Czy w ogóle powiedział krótkie kazanie? Gdzie stał? Ludzie w ogóle go słuchali? Nie potrafił sobie przypomnieć absolutnie niczego. Czuł się, jakby wbrew woli ktoś zamknął go w koszmarze i nie pozwolił wrócić do życia.

Trzaski starego mikrofonu dudniące z jeszcze starszych głośników stawały się nie do zniesienia. Pełniący rolę prowadzącego zaśpiewy kościelny nie nadawał się do tej roli. Wereszczuk stwierdził, że fałszuje tak bardzo, jak żaden znany mu człowiek. Jego głos przypominał okropne, jęczące zawodzenie, nie zaś pełen chwały i uwielbienia radosny śpiew. Tłum idący za nim też wydawał mu się zupełnie nierealny. Jakby nie była to procesja wiernych parafian, a masy osób, które po prostu na niego – słabnącego księdza z monstrancją – napierały z całych sił.

Spojrzał przed siebie, na dalszą część traktu i w duchu powiedział „Bogu dzięki”. Byli już blisko tego fragmentu drogi, który skręca w stronę kościoła wiodąc przez gęsty las, gdzie uświadczyc można choć trochę cienia i chłodu. Wereszczuk się rozpromienił. Widząc, że zbliża się do cieni odetchnął głęboko i wzniósł monstrancję nieco wyżej, znajdując w sobie wystarczająco dużo siły, aby w pełni się wyprostować i narzucić większe tempo marszu.

Szli przez las. Piękny, gęsty cudowny las, który dla prałata był niczym oaza na pustyni. Lekki powiew wiatru buszującego wśród drzew schładzał jego czoło, a słońce nie raziło i nie nagrzewało monstrancji do okropnie wysokiej temperatury. Żałował jednak, że w Siedlanach nie ma żadnego baldachimu, pod którym zazwyczaj chodzą księża z większych miast. Cieszył się jednak, że to już niedaleko. Już niemal widział zakręt, od którego dzieliło ich jedynie kilkadziesiąt metrów do kościoła.

Na małą chwilę zamknął zmęczone oczy. Na jeden mały moment pozwolił sobie, by oddalić się od całej procesji.

I wtedy usłyszał krzyk.

Momentalnie odrodził się do życia, a serce boleśnie go zakłuło. Wyrzwał za monstrancję i spojrzał przed siebie, skąd dochodził okropny wrzask i pisk. Małe dziewczynki, te które sypały przed nim kwiaty, krzyczały i płakały. Kilka z nich rzuciło się do tyłu, prawdopodobnie w poszukiwaniu rodziców. W powietrzu zaczął unosić się szept, który przemienił się w głośne pytania tłoczących się za księdzem ludzi. Unosiło się coś jeszcze. Stanisław Wereszczuk poczuł to w chwili, gdy kroczący przed nim ministranci, podobnie jak wcześniej dziewczynki od kwiatów, znaleźli się na samym zakręcie na drodze do kościoła, po czym z przerażeniem zaczęły spoglądać po sobie, blednąc w okamgnieniu.

Smród.

Potworny smród rozkładu uderzył prałata z taką mocą, iż ten nieomal wpadł w torsje. Widząc strwożonych ministrantów wskazujących coś palcami, coś mieszczącego się za zakrętem, podbiegł do nich nie zważając na to, że przerwał procesję. Dopiero wtedy w jego oczach zagościł prawdziwy strach, a duszę wypełniło przerażenie.

Patrzył i nie mógł uwierzyć. Zmienił się w dygoczący słup nie mogąc zrobić niczego więcej. Za jego plecami rozległy się wrzaski. Ludzie

krzyczeli, jakby ich mordowano. Słyszał omdlewające kobiety, które z głuchym łoskotem upadały na ziemię. Słyszał lament i krzyki mężczyzn. Sam zaś pogrążony był w całkowitej trwodze. W okropnym uczuciu niezrozumienia i zgrozy, jaka - co wiedział z całą pewnością - nadeszła i osiadła w ich małej wsi.

Przed jego oczami, na samym końcu traktu wiodącego do kościoła, z gałęzi wysokiego dębu rosnącego na dziedzińcu, zwisało ciało kobiety bujane przez podmuchy lekkiego wiatru. Wereszczuk rozpoznał w nim Aurelię Malewską. Zupełnie nagą, brudną, z potwornym wyrazem twarzy. I choć z całych sił starał się nie spoglądać w jej stronę, jeden szczególnie wwiercił mu się w umysł nie pozwalając, by odwrócił od niego wzrok.

W jednej z rąk, przywiązane sznurem do przegubu matki, wisiało na wpół przegniłe ciało jej martwego dziecka. Kiedy Wereszczuk zrozumiał na co patrzy, też zaczął krzyczeć.

2019

ROZDZIAŁ V

Trzymała w rękach pudełko ze zdjęciami - starymi, nowymi, rodzinnymi, jej własnymi. Jeden, niezbyt duży karton wypełniony wspomnieniami wszystkich przeżytych przez nią dwudziestu ośmiu lat życia. Życia tak samo wypełnionego radosnymi chwilami, jak i smutkiem oraz niepokojem. Chwilami szczęśliwymi oraz pełnymi trwogi. Często wyobrażała sobie, jakby to było, gdyby ktoś, po jej śmierci, znalazł ten karton pełny najprzeróżniejszych fotografii, i wiedziony chęcią próbował stworzyć jej biografię.

- Byłaby kompletnie jednostajna - stwierdziła pod nosem wzdychając. - Zbyt radosna.

Weronika Sobczyk nie lubiła powracać do przykrych momentów w swoim życiu, których na żadnym zdjęciu nie było, jednak czasem zmuszała się do tego, by dalej - dzień po dniu - uświadamiać sobie, że mimo tak wielkich przeciwności losu i całej masy okropnych rzeczy, jakich doznała, potrafiła przeciwstawić się temu wszystkiemu i nie tylko ustabilizować swoje życie, lecz przed wszystkim odnieść w nim sukces, i to w młodym wieku.

Uśmiechnęła się do zielonych ścian pustego pokoju, z którego wносиła ostatni karton. Miejsca dla niej ważnego, gdzie w ciągu ostatnich trzech lat przeżyła więcej radosnych chwil, niż w ciągu całej reszty swojego życia. Wyprowadzała się z wynajmowanego przez siebie mieszkania z jednoczesną ulgą, jak i smutkiem. Cieszyła się, że w końcu będzie miała swój własny dom kupiony bez konieczności brania w banku długoterminowego kredytu. Z drugiej strony opuszczała miejsce, które do tego życiowego sukcesu doprowadziło. W którym, siedząc długie godziny, zarywając noce i obgryzając z nerwów paznokcie,

napisała trzy bestsellerowe powieści i jeden scenariusz filmowy do kinowego hitu ostatnich miesięcy.

Westchnęła głośno raz jeszcze, jakby chciała oddać małemu pokoikowi pamiątkę w postaci pełnego ciepła oddechu.

- No nie, natychmiast to zostaw! - usłyszała za plecami. Nie zdążyła się obrócić, gdy ktoś podbiegł do niej i wyrwał jej z rąk karton ze zdjęciami. - Chyba sobie żartujesz! Nie możesz dźwigać w takim stanie!

Adrian Ostaszewski był typem faceta, na którego zawsze można było liczyć. Nie był ani za wysoki, ani za przystojny, jednak miał w sobie dużo ciepła, spokoju i życzliwości, które się Weronice podobały. Poza tym, że był również jej agentem literackim, był także pierwszym czytelnikiem i kimś w roli wstępnego redaktora. Nigdy w życiu nie poznała nikogo, na kogo mogłaby liczyć w takim stopniu, jak na niego.

- Moja matka też taszczyła kartony, kiedy siedziałem w jej brzuchu. I popatrz co ze mnie wyrosło - stwierdził żartobliwie pokazując na swoją sylwetkę. Był od Weroniki o kilka centymetrów niższy i kobieta mogłaby się założyć, że podobnie było w przypadku wagi.

- Och, daj spokój Adi. To tylko parę zdjęć. Nic ciężkiego - odparła głaszcząc się po wyraźnie zaokrąglonym, ciężowym brzuszku.

Mężczyzna przystanął w drzwiach z kartonem pełnym zdjęć pod pachą.

- Posłuchaj Wera, już sam fakt tego, że postanowiłaś przeprowadzić się w ósmym miesiącu, to dla mnie zupełne szaleństwo. Ale skoro twoje osobiste szaleństwa muszą zostać spełnione, to daj sobie chociaż w nich trochę pomóc, ok? - mrugnął do niej porozumiewawczo, uśmiechnął się i wyszedł z mieszkania nie czekając na jej odpowiedź.

W takich momentach, gdy czuła szczęście i wiedziała, że ma w kimś prawdziwe oparcie, Weronika żałowała jedynie jednej rzeczy - że ojcem jej dziecka jest Rafał Staniszewski. Z początku wydawał jej się idealnym kandydatem na męża. Z czasem jednak poznała jego prawdziwą twarz, która była dalece inna od jej oczekiwań. Najgorszym był jednak fakt, że gdy tylko dowiedział się, że Weronika jest w ciąży, zerwał z nią wszelkie kontakty. Przysłał tylko jednego, suchego smsa oznajmiając w nim, że nie o to mu w związku chodziło i że z dzieckiem nie chce mieć niczego wspólnego. Zarzekł się jednak, że alimenty będzie płacić.

- Pożyjemy, zobaczymy. Ty pieprzony bydlaku - szepnęła pod nosem rozpamiętując jego obietnice o tym, jak to z nim będzie miała na ziemi siódme niebo.

Zreflektowała się. Potrząsnęła głową i przetarła twarz dłońmi, jakby miało jej to pomóc w pozbyciu się wspomnień o Rafale. Teraz musiała zadbać o siebie i swoje małenstwo. Szczerze wierzyła, że rozpoczyna się dla niej najlepszy okres w życiu. Nie zamierzała rozmyślać w nim o przykrościach.

- Hej, pani artystko! - znowu usłyszała głos Adriana. - Zbieramy się, czy chcesz jeszcze chwilę posiedzieć w swojej małej świątyni?

Uśmiechnęła się i zaczęła kierować w jego stronę. Jeszcze raz rzuciła przelotne spojrzenie na całe mieszkanie sprawdzając, czy niczego nie zostawiła. Niczym dziecko pomachała zielonym ścianom na do widzenia i raz na zawsze opuściła miejsce, które przez ostatnie trzy lata było dla niej prawdziwym domem.

* * *

Droga była wyjątkowo malownicza. Wyglądała jak wielki, zielony tunel zwisający ponad niemal pustą szosą. Kierujący jednym ze starszych modeli lexusa Adrian wcale nie prawił zachwyty nad pięknem natury i wyjątkowo dobrą aurą. Jedne, co padało z jego ust, to wątpliwości, czy Weronika jest w pełni świadoma tego, co robi.

- To jest kompletne zadupie i wiem, że zdajesz sobie z tego sprawę - zaczął. - OK, potrafię to zrozumieć. Cisza i spokój sprzyja pisaniu, to fakt. Będiesz się tam czuć, jakbyś ciągle była na wakacjach. Ale Wera, akurat teraz? - spojrzał na jej brzuch, a później prosto w oczy. - Chryste. Powinnaś poczekać z przeprowadzką przynajmniej do narodzin dziecka.

- Wtedy byłoby jeszcze gorzej - odparła. - Wiem, że się przejmujesz, ale naprawdę niepotrzebnie. Będę miała czas, żeby się zaaklimatyzować, a poza tym wszystko przygotuję przed przyjściem dziecka na świat. Nie chcę po porodzie robić wszystkiego na szybko.

Adrian westchnął. Starał się pomagać Weronice jak tylko mógł, jednak niektórych jej zachowań zupełnie nie potrafił zrozumieć.

- Będiesz sama. Na totalnym zadupiu. Ciężarna - litania wątpliwości wpływała z jego ust. - Mam tylko szczerą nadzieję, że

dziecko nie postanowi przyjść na świat choćby i dzień wcześniej albo akurat wtedy, kiedy nie będzie mnie pod telefonem.

- Spokojnie, Adi. Przecież wszystko już ustalone - rzekła i poklepała go po ramieniu. - Dzień przed datą porodu zabierasz mnie stamtąd i jedziemy prosto do szpitala. Cały czas będę pod telefonem, a gdyby dziecku się śpieszyło, to zacisnę uda i powiem, że mamusia nie jest jeszcze gotowa.

Adrian zaśmiał się pod nosem.

- Wariatka.

- Ale wciąż najmniej zwariowana spośród tych, które znasz.

Spojrzeli sobie głęboko w oczy.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - Weronika nie przestawała zapewniać. - Lepiej zajmij się czytaniem mojego ostatniego maszynopisu. Chciałabym wydać książkę przed październikowymi targami w Krakowie.

- Na to akurat możesz liczyć - powiedział z uśmiechem i skupił uwagę na drodze.

Jechali jeszcze kilkadziesiąt minut główną trasą, nim skręcili w kierunku wiodącym prosto do przyszłego miejsca zamieszkania Weroniki.

- To tutaj? - zapytał Adrian, choć jego słowa skierowane były raczej w próżnię, niż do siedzącej obok kobiety. Zamiast czekać na jej odpowiedź spojrział na mapę w nawigacji i zjechał na szutrową nawierzchnię ciągnącą się długim pasem aż po horyzont.

Weronika nie odezwała się ani słowem przez resztę trasy. Wbijała wzrok to w bujną roślinność mijanych lasów, pól i łąk, to w swoje własne odbicie w bocznym lusterku samochodu. Jak na ciężarną dwudziestoosmiolatkę wyglądała całkiem szczupło. Co prawda przybrała trochę kilogramów, zachowała jednak swoją sportową figurę. Proste, brązowe włosy sięgające do ramion od dawna nie widziały ani lokówki, ani spinek, ani chociażby gumki do włosów. Dopiero jadąc samochodem Weronika uświadomiła sobie, jak szybko zleciały jej ostatnie miesiące, kiedy wszystko działo się w zastraszającym tempie. Tak szybko, że nawet nie pomyślała o zadbaniu o siebie, choć zawsze uważała się za ten typ kobiety, który odpowiedni wygląd stawia bardzo wysoko w osobistym zestawieniu najważniejszych potrzeb. Całe jej

poprzednie życie wydawało się teraz iluzją, a ona sama – Weronika Sobczak z poprzedniego istnienia – kobietą, jakiej nie znalazłaby w sobie obecnie ani grama. Wartości, jakimi zaczęła się kierować zupełnie się zmieniły. Pragnęła stabilizacji. Ciszy i spokoju. Rodziny i możliwości rozwoju. To dlatego kupiła mały, uroczy domek w Siedlanach – wiosce zdającej się być umiejscowioną na samym końcu Polski. Na całkowitych rubieżach kraju. Gdzieś, gdzie denerwujący ją coraz bardziej zgiełk miasta nie będzie jej już nigdy dokuczał.

Domek kupiła zaraz po tym, kiedy dostała pieniądze z kontraktu na ostatnią książkę. „Teraz pragnę tylko tego” – mówiła wtedy do siebie przeglądając kolejne oferty nieruchomości, wybierając tę jedną, jedyną w jej mniemaniu właściwą, i dopełniając wszystkich formalności z agentem z lokalnego biura mieszkaniowego. Domek może i był mały, ale niezwykle uroczy, położony w bardzo malowniczej okolicy. Tuż za płotem znajdował się las, dalej strumień. Wszystko wyglądało jak z pocztówki i Weronika sama nie mogła uwierzyć w to, że udało jej się go kupić za niespełna trzysta tysięcy. O poprzednich właścicielach nie wiedziała nic. Dom od pewnego czasu był w posiadaniu gminy, miał wszystkie niezbędne dokumenty, pełne przyłącze wodno-kanalizacyjne i prąd. Tyle jej wystarczyło, żeby podpisać umowę, przelać pieniądze na jego zakup i sprowadzić ekipę remontową oraz ludzi od wystroju wnętrza. Zapłaciła za wszystko o wiele więcej, niż prawdopodobnie było to warte, jednak o nic nie musiała się martwić. Jechała do pięknego, wyposażonego, odremontowanego domku z wielkim ogródkiem, huśtawką i szumiącymi drzewami tuż obok.

- Będzie pięknie – powiedziała pod nosem głaszcząc się po brzuchu. Wciąż rozmyślała o tym, że chciałyby wychować swoją córkę nie tylko w dobrym otoczeniu, na łonie natury, ale przede wszystkim w rodzinnej, ciepłej atmosferze. I tego jej najbardziej brakowało.

Zerknęła na Adriana myśląc, że byłby idealnym kandydatem na męża i ojca. Żałowała, że dawniej prowadziła życie buntowniczkę myśląc tylko o dobrej zabawie, nie zaś o stabilizacji. Adrian był profesjonalistą w każdym calu i nawet jeżeli też coś do niej czuł, nie dawał tego po sobie poznać. Zachowywał się nie tylko jak najlepszy agent literacki pod słońcem, lecz również jak prawdziwy przyjaciel. Jedyny, na którego naprawdę mogła liczyć.

- Ok, jesteśmy prawie na miejscu - słowa mężczyzny wybudziły ją z zamyślenia. Kilka razy szybko zamrugała i uważnie zaczęła wpatrywać się w otoczenie.

Minęli znak informujący o tym, że wjeżdżają do Siedlan. Był zabrudzony i częściowo wyblakły. Weronika była tutaj do tej pory tylko raz - kiedy odbierała klucze do domu, jednocześnie podziwiając i zwiedzając go po raz pierwszy, a następnie przekazując je ekipie remontowej wraz z konkretnymi wytycznymi. Nadchodził więc moment, kiedy nie tylko oficjalnie w nim zamieszka, lecz również kiedy zobaczy go po raz pierwszy w pełni odświeżonego, takiego, jak na zdjęciach przesłanych jej od kierownika robót remontowo-wykończeniowych.

- No, ale jak już dojedziemy, to mam nadzieję, że załapię się na mocną kawę i jakieś fajne ciacho, co? - Adrian zapytał żartobliwie skracając na drogę wydającą się głównym, wiejskim traktem.

Weronika zerknęła na niego i uśmiechnęła się pod nosem.

- Kawę i ciacho osobiście zapakowałeś do samochodu, więc jeżeli takie, a nie inne pyszności ci odpowiadają, to może nawet spędzisz u mnie całkiem przyjemną godzinę czy dwie.

- Hej, to nie oprowadzisz mnie po całych włościach? - zapytał udając obrażonego. - Miałem nadzieję na małą przechadzkę po całej wsi.

- Niech ci będzie - uśmiech Weroniki szedł w parze z przyjacielskim klepieniem w udo. - Tylko nas najpierw dowieź na miejsce.

- Już się robi - odpowiedział Adrian i przejeżdżając ostatnich kilkaset metrów zaparkował koniec końców pod drewnianą bramą małego domu.

Minęła dłuższa chwila, nim Weronika zdecydowała się na opuszczenie samochodu. Najpierw uważnie obejrzała dom z wnętrza auta, jakby bała się, że efekt pracy całej ekipy remontowej nie jest taki, jak na zaprezentowanych jej zdjęciach.

- No, całkiem fajnie. Przyznaję Sobczyk, masz gust - stwierdził Adrian i z uznaniem pokiwał głową. Nie czekając na reakcję kobiety otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Wciąż siedząca w fotelu Weronika słyszała tylko, jak jej przyjaciel głośno zaciąga się świeżym, wiejskim powietrzem przesyconym wonią kwiatów i ziół. Był piękny, słoneczny dzień, świergot ptaków wypełniał powietrze, i tylko krok dzielił ją od prawdziwego rozpoczęcia nowego etapu w swoim życiu.

Powoli otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu uważając, żeby nie przyciąć swojej białej, ciężowej sukienki w czerwono-pomarańczowe kwiaty. Spojrzała na dom osłaniając dłonią oczy przed promieniami grzejącego słońca i odetchnęła głęboko widząc, że przynajmniej na pierwszy rzut oka wygląda tak, jak powinien.

- To jak, zaprosisz do środka, czy wolisz gapić się zza płota?

- Uprzejmie zapraszam - odparła z uśmiechem. Sięgnęła do torebki po komplet kluczy, z których każdy był podpisany, po czym przeszła obok mężczyzny i stanęła przy bramie wejściowej. Chwilę mocowała się z zamkiem zwalając jego toporność na długi czas nieużywania. Po kilku chwilach drewniane wrota otworzyły się z małym skrzypnięciem i obydwójce weszli na podwórze.

Zakupiony przez Weronikę dom stanowił mieszankę nowego budownictwa z tradycyjnymi formami wiejskimi z ubiegłego wieku, łącząc elementy drewniane z murowanymi. Prostokątny w formie, z niewielkim ganeczkiem i małym, stojącym tuż obok garażem, wyglądał uroczo. Weronika rzuciła okiem na ogród. Choć trawa szybko rosła i nie była już idealnie równo przycięta, to nie ulegało wątpliwości, że zielona przestrzeń wokół domu została zaprojektowana ze smakiem. Znalazło się nawet miejsce na niewielkie oczko wodne i skalniak pełen tulipanów.

Weronika przestała zachwycać się nad ogrodem, gdy usłyszała odgłos klamki do domu naciskanej zdecydowanie zbyt szybko przez niecierpliwącego się Adriana. Spojrzała na niego i wymownym gestem oznajmiła, że już idzie. Wchodziła do budynku pełna obaw, które jednak szybko odeszły w zapomnienie.

- Łał, robi wrażenie! - stwierdził mężczyzna. - Niby wieś, a jednak, jak na mieszczucha przystało, urządziłaś to całkiem nowocześnie.

- Nie ja, tylko projektanci - odparła, choć po chwili dodała - oczywiście wedle moich ścisłych wskazówek.

Po raz kolejny obdarzyła przyjaciela szerokim uśmiechem i szybko, jakby ciężowy brzuch w ogóle jej nie przeszkadzał, przechadzała się od jednego do drugiego pokoju sprawdzając czy wszystko jest tak, jak należy. Otwierała drzwi wdychając świeży jeszcze zapach farb i mebli prosto ze stolarni. Otwierała szuflady, szafy i szafeczki wyobrażając sobie, ile frajdy da jej układanie wszystkich posiadanych przez nią

rzeczy w zupełnie nowym porządku. Zajrzała do obszernego salonu. Stos pudeł zostawionych przez firmę od przeprowadzek był ogromny. Wypełniał niemal całą powierzchnię pomieszczenia.

- Boże, i ja to wszystko miałam upchnięte w jednym, małym mieszkaniu? - zastanawiała się zdezorientowana. Cieszyła się jednak, że cenne dla niej przedmioty znajdą w końcu swoje własne miejsce i nie będą musiały gnieść się na regałach obok innych bibelotów.

- Chcesz kawy, czy pasujesz ze względu na małą Sobczykównę? - do pokoju wszedł Adrian. Weronika nawet nie spostrzegła, kiedy wrócił się do samochodu po ostatnie kartony, w których miała przygotowane produkty spożywcze.

- Dzięki, ale nie. Możesz mi nalać soku. Ale ty się nie krępuj.

- Nie zamierzam - mężczyzna odwrócił się wachając puszkę z aromatyczną zawartością. W chwilę później słychać było uruchamianie młynka do kawy.

Weronika przeszła przez dom w kierunku mieszczącej się na tyłach werandy. Otworzyła szeroko drzwi i wyszła na zewnątrz zachwycając się widokiem wielkiej, zielonej ściany wysokich drzew. Była zachwycona. Ostatnim i jedynym razem gdy tu była, niezbyt przyglądała się otoczeniu. Teraz jednak, na spokojnie, mogąc sycić oczy piękną okolicą, wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko należy do niej. Choć jeszcze przed wyruszeniem w drogę bała się tego przyznać, w kilkanaście minut po przestąpieniu progów budynku stwierdziła, że naprawdę może nazwać to miejsce swoim nowym domem.

- Musze przyznać Wera, że co jak co, ale wybór tego domu naprawdę ci się udał - po Adrianie widać było, że dom również jemu przypadł do gustu. - I ta cisza. Nic tylko ptaki i szum drzew.

Popatrzył na Weronikę.

- No ja bym tu do reszty ześwirował - odparł po chwili kończąc swoją kwestię. - To co, pierwszy toast przy stoliku? - wskazał na nierozłożone jeszcze meble ogrodowe zostawione na tarasie. Podszedł do nich i szybkim ruchem ściągnął folie ochronną z okrągłego stolika i dwóch drewniano-metalowych krzeseł. Gestem ręki zaprosił Weronikę, by usiadła, po czym sam wrócił w mgnieniu oka z sokiem i kawą. Rozsiedli się i wzniesli toast.

- Za nowy początek.

- Za nowy rozdział.

Stuknęli się i nic nie mówiąc adorowali piękny, leśny widok.

- No, do sąsiadów będziesz niestety musiała przywyknąć - powiedział nagle Adrian. - Zresztą, oni do ciebie chyba też.

Mężczyzna wskazał na mieszczący się nieopodal dom, w którym mieszkali najbliżsi sąsiedzi Weroniki. Na balkonie niewielkiego, piętrowego budynku, skąd zapewne widać było całą okolicę, stała para staruszków. Byli niczym słupy soli. Nieporuszeni, patrzący tylko w jeden konkretny punkt - Weronikę.

Kobietę przeszedł dreszcz. Choć dzieliła ją od sąsiadów odległość dobrych trzydziestu metrów, ich wzrok sprawiał wrażenie lodowatego. Jakby chcieli przeniknąć nim kobietę do samych kości, albo gdzieś jeszcze głębiej. Dostać się bezpośrednio do duszy, zobaczyć, co hula jej w myślach.

- Dzień dobry! - powiedział na głos Adrian i pomachał w stronę staruszków. - Dziwaki - dodał po chwili, gdy ci nie odmachali, w dalszym ciągu stojąc niczym zakłęci.

Spojrzał na Weronikę. Widział, że kobieta nieco zbladła. Odwróciła od staruszków spojrzenie szukając nerwowo jakiegoś innego punktu zaczepienia wzroku.

- No chyba się nie przejmujesz, co Wera? - zapytał. - Wiesz doskonale jak to jest na prowincji. Ludzie muszą przywyknąć. Zobaczyć, co się dzieje. Poznać cię. Każdy na wsi jest z początku nieufny co do nowych mieszkańców. Uwierz mi, wszystko będzie dobrze.

Kobieta spojrzała na niego, po czym pokręciła głową i upiła łyk soku.

- Tak. Z pewnością masz rację - odparła po chwili.

- Dobra, to może zrobię nam jakieś jedzenie, hę? W końcu nie możemy dopuścić, żeby Sobczykówna pływała sobie w twoim brzuchu głodna.

Obydwoje wybuchli śmiechem, a po chwili Adrian zniknął we wnętrzu domu zostawiając Weronikę samą.

Spojrzała w kierunku obserwujących ją staruszków.

- Może i to u nich normalne - powiedziała do siebie - Ale cholernie mnie przerażają.

ROZDZIAŁ VI

Wędrowali wzdłuż drogi trzymając się niewielkiego pobocza. Asfaltowa nawierzchnia była nowa, jakby dopiero co położona. Obok niej mieściły się kolejne domy otoczone albo wysokimi, drewnianymi płotami, albo marniejącymi siatkami z metalu. Niektóre z budynków zachowały swój styl sprzed ponad stu lat, choć odcisnęło się na nich piętno czasu. Inne z kolei przypominały jej własny, nowy domek, choć żaden z nich nie był tak świeży i wyremontowany, jak jej.

Weronika i Adrian wybrali się do najbliższego, jedyne w promieniu kilku kilometrów sklepu, który według mapy mieścił się w samym centrum Siedlan. Choć była dopiero połowa maja, słońce prażyło niemiłosiernie. Weronika schładzała się niewielkim, kupionym na chińskim bazarze wachlarzem mającym imitować drogi, orientalny suvenir. Obydwoje wędrowali w ciszy skupiając się na kontemplowaniu okolicy.

- Ale martwota - przerwał milczenie Adrian. - Jakby dosłownie nikt tu nie mieszkał.

- Jest jeszcze wczesna pora. Ludzie z pewnością siedzą w pracy w mieście lub polu, jak to na wsi. Dzieciaki z pewnością w szkole.

Choć Weronika zgrabnie odpowiadała Adrianowi, to jednak musiała przekonać sama siebie, co do słuszności własnych słów. Nie dało się bowiem ukryć, że panująca we wsi cisza była nadzwyczajna. Dziwna i niedająca się prosto zdefiniować. Kobieta miała nieodparte wrażenie, że pustka, jaką napotkali na swojej drodze nie widząc ani jednej osoby, nie jest przypadkowa. Że wszyscy mieszkańcy, co do jednej młodej osoby i co do jednego staruszka, zamknęli się w swoich domach i zza starych, koronkowych firan wiszących w brudnych oknach o drewnianych ramach, wpatrują się w nowych przybyszów. Baczenie obserwują każdy ich krok. Analizują i szepczą między sobą pogrążeni w głębokiej nieufności. Przelotne spojrzenia, jakim Weronika obdarzała

każdy z napotkanych przez nich na drodze domów, tylko ją w tym utwierdzały. Co rusz wydawało jej się, że widzi jakąś postać szybko niknącą za zasłoną. Chowającą się w cieniu budynku, bądź przydrożnych drzew. Nikłe ruchy firan. Skrzypienie zawiasów w drażonych przez korniki oknach. Wydawało jej się, że nawet ptaki dziwnie śpiewają. Wznoszą nie radosną pieśń nawołującą do godów, a raczej podnoszą alarm. Ostrzegają mieszkańców mówiąc im, gdzie znajdują się przybysze z miasta.

- Czy... to to? - zapytał nagle Adrian. Weronika wyrwała się z zamyślenia, choć dziwne uczucie pozostało z nią jeszcze przez moment sprawiając, że zadrżała.

Zerknęła na wskazany przez mężczyznę budynek. Obskurny, peerelowski relikw z przekrzywionym sztyldem, starymi, zardzewiałymi kratami w witrynach i zamurowanym oknem od jednej strony. Niewątpliwie jednak, choć na pierwszy rzut oka wcale na taki nie wyglądał, tak właśnie prezentował się jedyny sklep w Siedlanach. Tuż obok wejścia, z którego powiewały typowe dla wsi kolorowe osłony w formie pasów - makarony - znajdowała się ławka, która z pewnością, podobnie jak sam budynek, pamiętała czasy młodości Gierka. Siedziała na niej dwójka mężczyzn daleko posunięta w wieku. Obydwaj ubrani byli w stare koszule przypominające łachmany i spodnie rybaczkowe, na których nie sposób było znaleźć choć jednego czystego miejsca. Ich pełne siwizny głowy pokrywały filcowe czapki. Wpatrywali się w nadchodzącą Weronikę i Adriana takim wzrokiem, jakby ujrzeli ducha. Kobieta od razu poczuła to przeszywające spojrzenie, a zerkając na twarz mężczyzn dostrzegła w nich coś, co można by nazwać niechęcią. Jeden ze starszków splunął na ziemię wielką, zieloną flegmą, gdy Weronika przechodziła tuż obok, krocząc prosto do sklepu.

- Może trochę kultury człowieku?! - wykrzyknął Adrian gniewnie spoglądając na mężczyznę. Ten odburknął tylko coś zupełnie niezrozumiałego i odwrócił wzrok udając, że coś po drugiej stronie drogi przykuło jego uwagę.

- A mówią, że to młodzi nie mają szacunku do starszych - sapnęła jeszcze pod nosem spoglądając na Weronikę. Kobieta była nie tyle wystraszona, co zdziwiona. Widać było, że bije się z myślami nie wiedząc, czy robi coś złe, a jeżeli tak, to co. - Nie przejmuj się. To pewnie jakieś lokalne ochlejmordy. Takich to pełno wszędzie.

Weronika spojrzała na przyjaciela, ale nic nie powiedziała. Adrian dostrzegł w jej oczach nie tylko zażenowanie, lecz również i strach z dużą dozą niepewności.

Mimo wszystko myśl o ekscentrycznym zachowaniu starca szybko wyparowała im z głowy, gdy przeszli próg sklepu i znaleźli się w jego wnętrzu.

W budynku panował niesamowity ukrop. Z sufitu zwiisał jeden, przekrzywiony wiatrak wentylacyjny. Pracował na minimalnych obrotach, pisząc niemilośnie. Był to jednak zdecydowanie najmniej osobliwy element wystroju sklepu. Zaszczytne miano najgorszej i najbardziej obrzydliwej dziwności przypadło długiej lodówce z mięsem, nad którą wisiało kilka lepów na muchy, co do centymetra pokrytych truchłami owadów.

- Chryste... - szepnął Adrian przerzucając wzrok z lepów na stojącą przy małej ladzie kobietę.

Znudzona życiem wiejska sprzedawczyni mogła mieć pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat. Była silnie opalona i nosiła zdecydowanie zbyt mocny makijaż. Cień do powiek wychodził jej niemal na czoło, zlewając się również na policzki. Usta pomalowane ciemną, czerwoną szminką, sprawiały tak fatalne wrażenie, jakby kobieta padła ofiarą jakiegoś szalonego, samozwańczego chirurga plastycznego. Róż na policzkach tworzył koślawe, silnie zarysowane koła. Adrian stwierdził, że kobieta wygląda niczym klaun na odwyku. Dopiero po chwili zorientował się, jakim przenikliwym wzrokiem obdarza jego ciężarną znajomą. Oczy stojącej za ladą kobiety wydawały się tak szeroko rozwarte, jakby tylko chwila dzieliła je od wypadnięcia z oczodołów. Skupiona na rozglądaniu się po sklepie Weronika dopiero po dłuższej chwili zauważyła, że jest mimowolnym obiektem zainteresowania dziwnej kobiety.

- Będziesz mi pomagał zrobić zakupy w mieście, prawda? - skierowała do Adriana pytanie pełnym żalości głosem.

- Nie no, jasne - odpowiedział bez wahania.

Kobieta zza lady patrzyła na Weronikę w sposób nie tylko nachalny, lecz również - podobnie jak zapijaczony staruszek na zewnątrz - z pewną dozą obrzydzenia. Nie oderwała od niej wzroku nawet w chwili, gdy Adrian zaczął prawić jej uszczypliwe uwagi.

- Tak, tak - powiedział na głos Adrian - ja wiem, że miastowi tutaj to niecodzienny widok, ale to chyba nieładnie tak się gapić, prawda? Może chociaż „dzień dobry”, he?

Zza kontuaru dobiegło tylko milczenie.

- Dobra, chodźmy stąd - Adrian wziął Weronikę pod rękę i szybkim krokiem skierowali się w stronę wyjścia. - Co za popieprzona okolica.

Wyszli z budynku wprost w promienie palącego słońca. Ławka przy sklepie była pusta. Po obrzydliwych pijakach nie było ani śladu.

- Wera, powiedz mi szczerze, może chcesz wrócić do miasta i przeczekać tam przynajmniej do narodzin dziecka?

- Daj spokój. Domyślałam się, że tak może być. W końcu wiejskie sklepy raczej nie są na najwyższych miejscach w rankingach sanepidu - odparła i uśmiechnęła się pod nosem.

- Ja nie o tym! - Adrian spojrzał jej prosto w oczy. - Ludzie tutaj są jacyś dziwni. Nie zauważyłaś? Ta baba w sklepie gapiła się na ciebie, jakby cię znała i dosłownie nienawidziła!

- Och, jak zwykle wszystko demonizujesz - wydawało się, że na Weronice obydwie dziwne przysklepowe sytuacje nie zrobiły żadnego wrażenia, choć Adrian domyślał się, że to tylko pozory.

- Przynajmniej będę miała pretekst, żeby cię tutaj ściągać co drugi dzień, jak nie codziennie - odparła i dodała - W końcu i tak musimy popracować nad moją nową książką. W kolejce czekają jeszcze dwa stare szkice następnych powieści. Musimy omówić jesienno-zimową trasę autorską. Rodzę za niecały miesiąc, ale do tego czasu mamy tyle pracy, że nie miałabym nic przeciwko, gdybyś... chciał ze mną ten miesiąc pomieszkać. Tutaj.

Adrian zbaraniał. Stał jak wryty nie wiedząc, co powiedzieć. Z jednej strony był stuprocentowym profesjonalistą, który silnie oddzielał życie prywatne od zawodowego, z drugiej czuł do Weroniki coś więcej, niż tylko czysto zawodową przyjaźń. Słowa kobiety były jednak dla niego niemalym szokiem. Zaczął zachowywać się tak, jakby w ciągu sekundy uleciała z niego cała elokwencja i tendencja do obracania wszystkiego w żart. Dukał coś niezrozumiałego pod nosem.

- A... ale... - zaczął, jednak nie potrafił skończyć choćby jednego zdania.

- Adi, jeżeli to dla ciebie za dużo, to rozumiem - Weronika wydawała się być zasmucona niemal całkowitym brakiem reakcji ze strony znajomego. Nie tego się spodziewała. Sądziła raczej, że ten od razu zacznie deklamować całą litanię korzyści, jakie niesie ze sobą to rozwiązanie. Poza tym liczyła, że może dzięki temu rozwinię się między nimi coś więcej, niż tylko przyjaźń. - Jak będziesz wpadał raz na dwa, trzy dni, choćby z zakupami, to i tak będę ci wdzięczna. A o pracy będziemy gadać przez telefon. Mają mi wkrótce podłączyć internet, więc sprawa będzie praktycznie załatwiona.

- Nie no... - zaczął po chwili Adrian widząc zawiedzioną minę Weroniki, która próbowała wybrnąć z zakłopotania. - ...w sumie masz rację. To by nam ułatwiło działanie. Może nawet do twojego porodu wszystko mielibyśmy załatwione. Nową książkę, trasę...

Kobieta popatrzyła na niego maślanymi oczami.

- Poza tym dawno nie miałem wakacji. Urlop na wsi powinien wpłynąć na mnie chyba całkiem dobrze, prawda?

Weronika nie odpowiedziała. Wtuliła się w niego mocno i przez dłuższą chwilę stała w milczeniu.

- Super! Tak się cieszę! - powiedziała po chwili pełna radości. - Pokój na górze, naprzeciw mojej sypialni, jest ekstra. Zobaczysz, że będzie ci się tam doskonale pracować.

Adrian nie powiedział już ani słowa. Patrzył tylko na swoją przyjaciółkę i literacką podopieczną, która z promiennym uśmiechem szła obok niego wracając do domu.

Gdy oddalali się powoli w stronę domu byli zbyt zaaferowani sobą, by choć raz odwrócić się w stronę szarawego, niszczonego budynku wiejskiego sklepu. Groteskowo wyglądająca sprzedawczyni stanęła w drzwiach przypatrując im się uważnie. Jej wzrok nie krył już ani odrobiny obrzydzenia. Była w nim wyłącznie czysta nienawiść.

ROZDZIAŁ VII

Gęsta noc słała się ponad Siedlanami, gdy dwójka mężczyzn przemierzała okalający wieś las. Było cicho i niezwykle parno. Wszystko wskazywało na to, że lada moment z nieba spadnie ściana deszczu w asyście rozdzierających przestworza elektrycznych wstęg.

Mężczyźni szli nie zważając na hałas, który robią stąpając po gałęziach, przedzierając się wśród krzewów, odsłaniając kolejne, trzaskające pod naporem ich dłoni konary. Ciemność zapewniała im całkowitą anonimowość. Pośród nieprzeniknionego mroku czuli się wyjątkowo dobrze.

Obydwaj mieli po niespełna pięćdziesiąt lat, choć siły i wigoru pozazdrościłby im niejeden młodszy. Cel ich nocnej wędrówki był jeden. Ściśle określony jeszcze przed wyruszeniem w drogę. Choć obserwacja, której mieli się podjąć nie wymagała od nich w żadnym wypadku tak długiego, żmudnego przejścia przez knieję, pragnęli zrobić wszystko tak, by mieć z tego satysfakcję oraz całkowitą pewność, że ich obecność nie zostanie przez nikogo zauważona.

Wędrówka powoli dobiegała końca po kilkunastu minutach szybkiego przejścia przez wyjątkowo gęstą część lasu. Linia drzew, która kilkadziesiąt metrów przed nimi wyznaczała początek terenu usianego domami, odznaczała się w nieznaczej poświacie, którą rzucało mdłe światło księżycy co rusz chowającego się za burzowymi chmurami. W momencie, gdy obydwoj przystanęli w bezpiecznej odległości od obiektu swojej obserwacji, mając całkowitą pewność, że cienie skrywają ich sylwetki, przykucnęli pod pnem wysokiego klonu. Jeden z nich, posiadający nieznaczną wadę wymowy, która była w istocie pozostałością po latach ciągłego picia domowej roboty bimbrowy, odezwał się pierwszy.

- Masz pewność?

- Mam - drugi głos, niski i gburowaty, niósł ze sobą równie zdawkową, co pytanie, odpowiedź.

- Bóg nas chce po dwakroć pokarać chyba. Żeby tak, po tylu latach, sprowadziła się tutaj taka...

Drugi mężczyzna nie dokończył słów pierwszego. Wpatrywał się tylko w jeden interesujący go punkt. Niewielki, dopiero co wyremontowany dom, w którym paliły się światła zarówno na piętrze, jak i przy tarasie. Zdawało się, że budynek, swym rozświetlonym fragmentem, zaburza idealną czernść nocy, którą pokryta była cała wieś.

- To nie Bóg, a sam szatan. Jak przed laty - w końcu odpowiedział drugi mężczyzna. - Chce dopełnić klątwę. Czuję to.

- Jak to dopełnić? Przecież my już pokutujemy! Wieś cierpi katusze!

- Zawsze może być gorzej. Zawsze może być coś jeszcze.

Zagadkowe słowa drugiego mężczyzny uniosły się w głąb lasu wraz z powiewem lekkiego wiatru nasyconego ozonem. Burza była już blisko.

- A może to cud? - powiedział nagle pierwszy, bełkoczący lekko mężczyzna. - Może po tylu latach w końcu się uda? Może to - wskazał na swój brzuch i zatoczył ponad nim duży półokrąg. - co ona ma w brzuchu, to dar dla nas? Pierwszy od tylu lat...

- A może i przekleństwo, które zsyła diabeł, żeby dokonać naszej ostatecznej klęski.

- Trzeba więc sprawdzić jakoś, czy wierząca jest, czy nie.

Drugi z mężczyzn wzdrygnął się na samą myśl o tym, że miałyby pokazać się w pobliżu budynku, który kiedyś nazywał kościołem, i w którym wciąż swą posługę pełnił Stanisław Wereszczuk. Posługę, która - w co wierzył mężczyzna - była fikcją.

- Poczekamy, zobaczymy. W niedzielę. Pójdzie do kościoła lub nie. Jeżeli nie, złożymy jej wizytę.

Nieboskłon przeszył pierwszy grom. W oddali słychać było trzask pękającego drzewa.

- A jeżeli ona niewierząca? - bełkoczący był przerażony. Przeżegnał się przepaszając wszystkich świętych, że w ogóle ośmielił się tak pomyśleć. - Co wtedy? Będzie pomór, jak dawniej był?

- Wtedy - zaczął drugi z mężczyzn podnosząc się z ziemi, wdychając głęboko świeże powietrze. - Wtedy zrobimy to samo, co świętej pamięci Surzewski. Zabijemy. Ją i jej bachora.

W tym samym momencie ktoś wyszedł z obserwowanego przez nich domu. Mężczyzna. Niewysoki, chudy. Zupełnie taki sam, jakim opisała go Palińska ze sklepu. W poświacie rzucanej przez samotną żarówkę wiszącą na tarasie wyglądał niczym mikrus. Osoba, której bez problemu można rozłupać czaszkę na sto kawałków.

Mężczyzna na tarasie stał na nim jeszcze przez chwilę obserwując las. Po chwili, zupełnie nieświadomy tego, że ktoś lustruje go wzrokiem rozmyślając o sposobach na jego uśmiercenie, odwrócił się, zgasił światło i wszedł do wnętrza budynku. W chwilę później światło zgasło również na piętrze. Zapadła idealna, pochłaniająca wszystko ciemność. Siedlany były takie, jaki być powinny, pomyślał mężczyzna o gburowatym głosie i rzucając kilka przekleństw w stronę obserwowanego budynku odwrócił się na pięcie. Sekundę później kroczył już z powrotem przez las w asyście swojego bełkoczącego kompana.

ROZDZIAŁ VIII

Weronikę obudziło dziwne, nienaturalne skrzypienie. Głośny i wyraźny dźwięk dochodził z parteru. Podniosła się na łóżku przecierając oczy. Odgarnęła włosy do tyłu i spojrzała na radiobudzik na szafce nocnej. Było wpół do czwartej nad ranem. Ciemność w sypialni rozpraszała tylko zielonkawa poświata rzucana przez cyfry na zegarze. Mimo otwartego okna oraz drzwi, w pomieszczeniu panował zaduch.

Tajemnicze skrzypnięcia znów zagłuszyły martwą ciszę domu.

- Adi? - kobieta zapytała, lecz jej głos bardziej przypominał szept. - Adrian? - poprawiła zdecydowanie głośniejsze.

Odpowiedź nie nadchodziła. Tymczasem skrzypnięcia stawały się coraz głośniejsze i coraz częstsze.

Weronika odgarnęła pościel i powoli wstała z łóżka. Jej nocna koszula była przepocona. Nogi drżały, jakby nie obudziły się razem z właścicielką i wciąż znajdowały się w krainie snu. Nałożyła na stopy swoje klapki i krok po kroku zaczęła zbliżać się w stronę drzwi.

- Adrian? To ty? - zapytała po raz kolejny. W jej głosie tkwiła niepewność. Poczula ukłucie w brzuchu. Córka musiała obudzić się wraz z nią, również nagle, bowiem kopnęła ją z taką siłą, że Weronika miała ochotę na głośne wyrażenie swojego niezadowolenia.

Trzask.

Chrzęst.

Stuknięcie.

Kobieta przekroczyła próg pokoju. Wyciągnęła rękę i zapaliła światło na niewielkiej klatce schodowej. Nikogo i niczego nie zauważyła. Skierowała wzrok w stronę pokoju Adriana. Również i tam drzwi były szeroko otworzone. Wkroczyła do pomieszczenia i szybkim spojrzała w stronę jego łóżka. Było puste.

- Adrian? - tym razem zawołała niemal na głos. W jej tonie, prócz niepewności, pojawiło się również zdziwienie.

Dziwne dźwięki nie miały końca. W ich nasilającej się fali tkwiła jakaś inność, jakby nie do końca były rzeczywiste i w pełni realne.

Weronika wycofała się z pokoju i stąpając ostrożnie po schodach zaczęła kierować się na parter. Dopiero gdy była w połowie drogi na dół uświadomiła sobie, że się boi. Wyczuwa podskórnie jakieś zagrożenie, którego najlepszym objawem było coraz szybciej bijące serce.

- Hej, gdzie jesteś? - starała się, by jej głos był jak najmocniejszy i jak najgłośniejszy. Gdziekolwiek był Adrian, nie odpowiedział jej.

Przez kilka następnych chwil dom był pogrążony w ciszy. Nieznacznie, zza na wpół otwartych okien w dużym pokoju na parterze, dochodziły tylko nawarstwiająca się dźwięki owadziego koncertu. Świerszcze grały w nim główną rolę sprawiając, że cała reszta odgłosów była tylko tłem. Do chwili, gdy nie pojawił się stukot. Głośniejszy i dużo bardziej wyraźny niż jeszcze parę chwil temu. Dochodził z końca domu, sprzed wejścia na taras.

Weronika zaczęła drżeć. Jedną dłoń położyła na swoim brzuszku zupełnie nieświadomie, w geście matczynej opieki. Mimo, iż rozum podpowiadał jej wycofanie się, schowanie w bezpiecznym miejscu do momentu, w którym zjawi się Adrian, szła w zaparte naprzód. Zupełnie, jakby zdrowy rozsądek uleciał z jej głowy pozwalając, by zwyciężyła ciekawość.

Pokonując kolejne metry wąskiego korytarza wiodącego na tyły domu, kroczyła bardzo uważnie. Każdy krok wyznaczał jeden stukot. Każdy jej oddech, nikły trzask. I kiedy w końcu dotarła na sam koniec korytarza, gdy wyciągnęła trzęsącą się rękę w kierunku włącznika, by rozświetlić ciemną część domu, wraz ze wznieconą nagle światłością jej ciało poczuło gwałtowne szarpnięcia.

Nie zdążyła się obrócić, nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy kilka par silnych, męskich rąk, nie licząc się ani z jej kruchością, ani z jej stanem, z całej siły zaczęło szarpać jej ciało.

Szorstkie, wielkie dłonie były wszędzie. Obejmowały jej ręce. Chwytały szyję. Zaciskały się na gładkich udach.

Weronika krzyknęła, a w chwilę później na jej twarz posypały się ciosy katując ją, póki nie umilkła. Póki straciła siłę, by wyrwać się oprawcom, którzy zdążyli położyć ją na ziemię i przycisnąć do niej swoimi zwałistymi cielskami.

- Wydrzyjcie jej tego bachora! - zakrzyknął ktoś.
- Zabić! Zabić dziecko! - rozdarł się inny głos.

Dopiero w tym momencie kobieta zorientowała się co się dzieje. Gdy podniosła ociekające krwią powieki dostrzegła, jak jeden z mężczyzn przygotowuje się, by z całej siły nacisnąć na jej brzuch. Nie minęła chwila, gdy poczuła okropny ból. Cierpiętniczy dreszcz przeszedł przez całe jej ciało. Wpadła w konwulsje i po raz kolejny zaczęła krzyczeć. Resztką sił próbowała uwolnić się z rąk oprawców. Walczyła jednak bezskutecznie przegrywając z kolejnymi ciosami wymierzanymi w jej twarz, piersi, brzuch.

Niczym w ostatnim przebłysku jaźni, tuż zanim świadomość oddali się w stronę czerni, przez pokłady świdrującego bólu ujrzała jak jej dziecko - najukochańsze, bezbronne i niewinne dziecię - zostało jej siłą wyrwane z brzucha. Nie pozostało z niego nic, tylko krwawy, poruszający się w spazmach strzęp.

* * *

Nie pamiętała czy w momencie, w którym się obudziła, krzyczała. Wiedziała jednak, że ścierała gęste łzy ciurkiem lecące z jej oczu, gdy Adrian - przerażony, blady jak ściana - tulił ją i uspokajał. Drżała i łkała jeszcze bardzo długi czas. Starła się wymazać z myśli okropne, wstrętne obrazy, które nawiedziły ją w sennym koszmarze. Choć było to zupełnie nierzeczywiste, to jednak odczuła to tak bardzo realnie, że poczuła się prawdziwie bezbronna. Jak jeszcze nigdy w życiu. Nawet wtedy, gdy jej własny ojciec, wracając z pracy spity na umór, bił ją do nieprzytomności przy równie bezbronnej matce.

- Ciii maleńka, to tylko sen - powtarzał Adrian nad jej uchem w czasie, gdy jego ręka wędrowała po jej głowie głaszcząc ją z delikatnością. - Tylko sen. Jakiś zły, parszywy koszmar - mówił.

Weronika nie dała rady powiedzieć mu, co przeżyła w krainie swych snów. Dusila to w sobie starając się wyrwać każdą sekundę koszmaru z jej myślowego sennika. Czuła się tak, jakby wypowiedzenie na głos swoich nierzeczywistych przeżyć miało spowodować, że te spełnią się w realnym świecie. Płakała więc, krztusiła kolejnymi porcjami łez, sprawdzała w nerwach ręce i uda, na których wciąż czuła widmowe palce, gładziła się po ciężowym brzuszku, i milczała.

I w tym milczeniu trwającym do samego świtu pozwoliła, by ogarnęło ją złowrogie przecucie, że jej dziecko jest w wielkim niebezpieczeństwie.

* * *

Ranek przywitał ich chłodem i mgłą, choć zza warstwy aksamitnej bieli przeciskało się powoli błyszczące słońce. Leniwie zaznaczało swoją obecność wśród gęstych drzew, nieznacznie opromieniając ich poskręcane konary, i - jakby od niechcienia - zahaczając o fragmenty niewielkiego, wiejskiego domu.

Weronika Sobczyk siedziała skulona na ogrodowym fotelu, ciasno opatulona grubym kocem. Wpatrywała się martwo w jeden punkt przed sobą, jakby gdzieś w oddali, pomiędzy drzewami, była w stanie dostrzec prawdziwe, wspaniałe, w pełni letnie promienie słońca. Jej zmęczona twarz odznaczająca się niezdrowym, ziemistym kolorem korespondowała z przekrwionymi, na wpół przymkniętymi oczami. Wyraźnie było widać, że od chwili gwałtownego przebudzenia nie przespała ani minuty, zaś jej myśli wypełniał wyłącznie obraz okropieństw sennego koszmaru.

Wizja, w której tumult rąk należących do widmowych postaci rozdzierał jej ciało, by zabić jej dziecko, wydawała się czymś więcej, niż tylko rojeniem. Choć od tamtej potwornej chwili minęły już długie godziny, które spędziła wtulona w pocieszającego ją Adriana, w żadnym stopniu nie mogła dojść do siebie. Ciągle widziała przed oczami ten potworny moment, gdy ukochane dziecko, wspaniała córeczka, była dosłownie wyrywana z brzucha. Pragnęła pozbyć się w jakiś sposób tego parszywstwa, lecz wydawało się, że obraz ten wrył się głęboko w jej pamięci. Nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby obudziła się w środku nocy z krzykiem na ustach i myślami orbitującymi wokół najgorszego snu jaki mogła przeżyć, a obok niej nie byłoby Adriana. Gdyby nie zgodził się zostać na noc, gdyby tak po prostu - jak to przyjaciel - pojechał zostawiając ją samą w zupełnie nowym miejscu, to chyba zaryczałaby się na śmierć.

Weronika była zdruzgotana. Od momentu, kiedy przyjechała do Siedlan nie przydarzyło jej się nic dobrego. Dziwne spojrzenia sąsiadów, osobliwe zachowanie miejscowych w sklepie, okropny żar i

skwar, a na dodatek wyśniony przez nią koszmar, który mógłby zostać uznany za absolutnie piekielną, abominacyjną wizję.

Miała ochotę rozplakać się na nowo. Płacz jednak nie pojawił się, gdy chłodne powietrze poranka wypełniło się dźwięcznym głosem Adriana.

- Jak się czujesz? - zapytał spoglądając na nią troskliwie. Niósł kubek aromatycznej herbaty, który postawił na stoliku tuż obok niej. - Uspokoilaś się choć trochę? Przeszło ci zdenerwowanie?

Weronika nie miała najmniejszych wątpliwości, że roztrzęsione ciało i zbierający się płacz przeczą temu, odpowiedziała jednak:

- Tak, już jest lepiej - skłamała i uśmiechnęła się krzywo.

- Posłuchaj, to co się wydarzyło w nocy, to był tylko zły sen. Wszystko przez nerwy. Przechodzisz jednocześnie wspaniały i trudny okres. Masz naprawdę sporo na głowie, a ostatnio nawet nie wypoczywałaś jak należy. Każda inna laska odpadłaby już w połowie tego biegu, a ty pędzisz dalej - jego słowa niosły pokrzepienie. Wyciągnął rękę i zaczął ją delikatnie głaskać po głowie. - Nic się nie bój. Wszystko będzie dobrze.

Przybliżył się do niej. Objął ją ramieniem i zaczął rozcierać jej zimne ciało.

- Odpocznij dziś. Ale tak naprawdę. Znajdź w końcu czas na książkę. Ale nie na pisanie, tylko czytanie. Poleń się choć odrobinę. Przestań myśleć o problemach, a skup na samych dobrych sprawach. Ja pojedę tylko na chwilę do miasta, po swoje rzeczy, i zaraz wracam, ok?

Weronika zdawała się przerażona. Momentalnie odwróciła wzrok od lasu, całą uwagę skupiając na Adrianie.

- Serio? Teraz chcesz mnie zostawić samą? - w głosie kobiety słychać było rozżalenie.

- Daj spokój Wera. Skoro chcesz, żebym ci tu potowarzyszył w najbliższym czasie, to muszę załatwić kilka niezbędnych spraw. Spakuję to, co potrzebne, skoczę do sklepu kupić całą furę jedzenia, i zaraz jestem z powrotem.

- Nie chciałabym, żebyś to źle zrozumiał... - zaczęła, ale Adrian nie pozwolił jej skończyć.

- Nie martw się. Zostanę tu z tobą jako przyjaciel. Tylko i wyłącznie. Możemy nawet powiedzieć, że do czasu porodu twój dom będzie

naszym wspólnym biurem. Ty odpoczywasz, ja pracuję nad twoją powieścią, okej?

- Okej - odpowiedział, po czym na jej twarzy pojawił się uśmiech. Tym razem prawdziwy, nie udawany.

Mężczyzna odetchnął głęboko, raz jeszcze pogładził Weronikę po głowie tuląc ją do siebie, i wstał z fotela.

- Przed wyjściem zapytałbym, czy zrobić ci coś do jedzenia, ale lodówka świeci pustkami...

Kobieta zachichotała. Sprawiała wrażenie, jakby zdążyła zapomnieć o swoim śnie.

- ... a tego na wpół zdechłego banana leżącego na stole chyba będziesz potrafiła obrać sama, co?

Obydwoje wybuchli śmiechem.

- Idź już, tylko nie pokazuj się tu bez jedzenia - Weronika zażartowała, co dla Adriana było jednoznaczne. Mógł spokojnie pojechać do miasta nie zamartwiając się o przyjaciółkę.

- To lecę. Zamknij dom i nie siedź zbyt długo na chłodzie.

- Oj, leć już bo mała Sobczykówka zaraz sama ci powie, że chce jeść.

Raz jeszcze na ich twarze wstąpił szeroki uśmiech. Po kilku chwilach Weronika była już sama na tarasie wsłuchując się w odgłos kroków odchodzącego Adriana, a następnie w warkot silnika jego lexusa.

Choć pozwoliła sobie na drobne żarty i ciepły uśmiech, którym obdarzyła znajomego, w jej głowie wciąż panowała prawdziwa burza. Zamiast gromów przecinających niebo były tam jednak tylko myśli - nawarstwiająca się wątpliwość, co do tego, czy wszystko, co zdarzyło się w ostatnim czasie, było tak, jak powinno. Miała sobie za złe, że większość decyzji, tych, które wydawały się jej dobre, podejmowała w przypiływie chwili. Doskonale wiedziała, że częstokroć zaślepia ją błoga radość, jaka ciągnie za sobą różne, schowane gdzieś głęboko w głowie, nieprzewidziane sytuacje.

Zaklęła pod nosem.

Zamknęła oczy i pokiwała głową zastanawiając się, czy w ogóle dobrze zrobiła sprowadzając się tutaj, w takim, a nie innym stanie.

- Adrian miał rację... - szepnęła do siebie, jakby nie mogła uwierzyć, że zachowała się tak głupio. - Jak kompletna gówniara... - dodała.

Z jednej strony cieszyła się na myśl o tym, że czeka ją wspaniałe życie w swoim wymarzonym domku na odludziu, gdzie będzie mogła oddać się swojej pisarskiej pasji w całości, jednocześnie wychowując córkę na łonie natury. W takich warunkach, w jakich sama zawsze chciała się wychowywać. Z kolei drugi głos w jej głowie – ten, który coraz częściej przebijał się przez pozostałe myśli – kierował ją na tory wątpliwości. Czy naprawdę chciała wychować dziecko na takim odludziu? Spędziła w Siedlanach dzień i nie zauważyła ani jednego dziecka, ani nawet osoby w podobnym do swojego wieku. Nie miała pojęcia jak wygląda tutaj sprawa okolicznej położnej, na którą – jak miała nadzieję – będzie mogła liczyć po porodzie. Nie zdążyła sprawić sobie samochodu, fotelika dla malucha. Nie sprawdziła, gdzie leży najbliższy szpital i czy faktycznie za każdym razem będzie musiała jechać ponad godzinę do miasta w razie jakichkolwiek problemów. Nawet kwestia głupich pieluch wydała jej się w jednej chwili gigantycznym problemem, jaki dla niej – mieszczaucha z niemal trzydziestoletnim stażem – wydał się nie tyle ogromny, co gargantuiczny.

Po raz kolejny zakłęła pod nosem. Tym razem z jej ust padła długa wiązanka skierowana w swoją własną stronę.

– Boże, jaka ja jestem głupia... – wycedziła przez zęby zastanawiając się, czy aby nie zadzwonić do Adriana, powiedzieć mu, że miał rację, poprosić by nie robił zakupów tylko przyjechał po nią natychmiast i zawiózł z powrotem do miasta.

– Kretynka! No po prostu kretynka!

Wstała gwałtownie, jakby siedzenie na fotelu sprawiało jej fizyczny ból. Poczowała ukłucie w brzuchu. Wciąż, mimo ósmego miesiąca ciąży, nie mogła przyzwyczać się do tego cholernego bólu, gdy podnosiła się zbyt szybko lub gwałtownie kichała. Zupełnie, jakby rozrywało ją od środka.

Przeszła przez taras i wkroczyła do ciepłego wnętrza domu, w którym promienie słońca coraz śmieiej rzucały się na podłogi i ściany. Przeszła korytarz, powoli i nieśpiesznie, i zamknęła drzwi wyjściowe na klucz. Cofnęła się i weszła do salonu, w którym piętrzył się stos nierozpakowanych kartonów. Podeszła do szafki i sięgnęła po znajdujący się tam telefon. Usiadła na sofie w kolorze burgundu i jeszcze przez długą chwilę wgapiła się w ciemny ekran urządzenia.

Było to dla niej zupełnie irracjonalne, jednak w chwili, kiedy nosiła się z zamiarem zadzwonienia, czy choćby napisania, do Adriana, jej lęki przeminęły. Zupełnie zapomniała, że jeszcze kilka chwil temu określiła się mówiąc na siebie <kretynka>. Teraz już, w swoim mniemaniu, nie była kretynką tylko kobietą, do której wszystko co dobre przychodzi nagle. Która zawsze radziła sobie ze wszystkimi wyzwaniem, jakie stawiał przed nią los, i która – co najważniejsze – nigdy się nie ugięła i nie robiła sobie głupich wymówek, że „czegoś się nie da”, lub „z czymś nie da sobie rady”.

Wzięła trzy głębokie wdechy i odłożyła telefon. Zamknęła oczy i pomyślała, że wszystko będzie tak, jak trzeba, a jeżeli Adrian będzie służyć pomocą jak do tej pory, to nic złego nie może jej się przytrafić.

Głęboko w duchu wciąż liczyła na to, że rozkwitnie między nimi coś więcej. Nawet teraz, w miesiącu poprzedzającym poród. Choć z początku obiecywała sobie, że zachowa w stosunku do niego czysto przyjacielską relację.

Przeciągnęła się i rozprostowała nogi. Chwilę poćwiczyła mięśnie kegla i powtórzyła systematykę wdechów porodowych. Wstała i skierowała się do kuchni z zamiarem zaparzenia sobie nowej herbaty. O tej zrobionej przez Adriana zapomniała na śmierć.

Nagle stanęła jak wryta.

Ktoś pukał do drzwi.

- Adrian? - pomyślała w pierwszej chwili, po czym stwierdziła, że to niemożliwe. Adrian, pukając, od razu wołałby ją po imieniu. Zawsze miał tak w zwyczaju. Spojrzała na zegarek. Była dopiero siódma trzydzieści. Zbyt wcześnie jak na kuriera czy listonosza.

- Ludzie z wodociągów? Od gazu? A może szef ekipy remontowej? - skierowała pytania do siebie samej po czym zreflektowała się stwierdzając, że przecież nikt nie wie, że już wprowadziła się do domu.

Powoli podeszła do drzwi. Pukanie nie ustawało. Odsłoniła okienko judasza i wyjrzała przez niego starając zachować się jak najciszej. Wstrzymała nawet oddech. Po chwili, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, odsunęła się od drzwi. Na jej twarzy nie było już zdziwienia, lecz wyłącznie silna konsternacja.

Podniosła brwi w geście zapytania, by w następnej chwili otwierać frontowe drzwi do domu.

- Szczęść Boże - powiedziała osoba po drugiej stronie, gdy z wnętrza budynku ukazała się twarz kobiety.

Weronika pomyślała, że powitanie - choć z pewnością mające być miłym i radosnym - wypowiedziane zostało tonem nie tyle niemiłym, co wręcz gburowatym.

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się tylko w sylwetkę stojącego przed nią księdza o zimnym, beznamiętnym wyrazie twarzy. Mógł mieć pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. Wyglądał bardziej jak recydywista, niż dobry pasterz Słowa Bożego. Jego oczy były przekrwione. Mimo sutanny i rąk złożonych niczym do modlitwy, wyglądał groźnie.

Kobieta stwierdziła, że niepotrzebnie otwierała. Choć nie powinna, cholernie się bała.

- Tak? - zapytała słabym głosem, wyściubiając za drzwi jedynie fragment swojej twarzy.

Ksiądz wyraźnie ją lustrował. Próbował zajrzeć do wnętrza domu.

- Jestem księdzem z lokalnej parafii - powiedział, jakby jego ubiór nie spełniał wystarczającej roli. - Przyszedłem zapoznać się z ... no... nową owieczką w moim skromnym, parafialnym stadzie.

Uśmiechnął się. Mimika jego twarzy była tak fałszywa, że Weronika przełknęła nerwowo ślinę.

- O tak wczesnej godzinie? A pana... księdza godność? - zapytała drżącym głosem.

Nie odpowiedział.

- Może wejść. Porozmawiamy na spokojnie przy kawie. Może okaże się, że będę mógł pani w czymś pomóc - jego słowa nabrały dziwnego tonu. Zupełnie, jakby mówił co mu przyjdzie do głowy, w duchu rozpatrując zupełnie inne sprawy. Jego wzrok padł na miejsce w drzwiach, w którym - gdyby ich nie było - ujrzałby ciężowy brzuch Weroniki.

Kobieta poczuła na sobie jego ciekawski, bardzo niestosowny wzrok. Była niemal przekonana co do tego, że mężczyzna o podłym wyrazie twarzy ma rentgen w oczach i przez tych kilka chwil, gdy obydwójce milczeli, pochłania wzrokiem jej nienarodzone jeszcze dziecko. W jednym momencie stanęły jej przed oczyma wizje z nocnego koszmaru. Cofnęła się o krok.

- Przepraszam, ale nie czuję się najlepiej. Może innym razem - odparła, po czym zaczęła zamykać drzwi.

- W kościele zapewne, na mszy. W najbliższą niedzielę - głos mężczyzny był wyraźnie ożywiony.

- Niestety nie chodzę do kościoła. Przykro mi.

W momencie, w którym powiedziała swoją ostatnią kwestię, Weronika spojrzała stojącemu przed nią księdzu prosto w oczy. Jeżeli kiedykolwiek spotkała się z bardziej diabolicznym wzrokiem, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to było. Zarówno spojrzenie, jak i cały wyraz twarzy mężczyzny, był niczym apoteoza ludzkiej wrogości i gniewu wykuta w marmurze. Co do jednego kobieta była pewna - jeszcze nikt nigdy nie patrzył na nią w taki sposób. Z jednoczesną furią, odrazą i obrzydzeniem. Jakby chciał jej zrobić krzywdę. Zadać prawdziwie okropny, fizyczny ból.

Nagle kapłan odwrócił się na pięcie. Nie powiedział ani jednego słowa na pożegnanie. Nie wydusił z siebie choćby jednej zgłoski. Rozwścieczony, szybkim krokiem, przemierzył odległość dzielącą go od domu do bramy. Otworzył drewniane drzwiczki i trzasnął nimi z taką siłą, że słychać było, jak jeden z drewnianych szczepki pęka wzbijając w powietrze nienaturalny, pusty huk.

Zaskoczona, ale i przerażona Weronika zamknęła czym prędzej drzwi do domu na wszystkie możliwe zamki. Odsunęła się od nich i weszła do salonu. Zrobiło się jej słabo. W jednej chwili zapragnęła, żeby Adrian wrócił do niej. Żeby był tuż obok. Teraz. Natychmiast. I kiedy sięgała po telefon, żeby do niego zadzwonić przypominała sobie rzecz, która jeszcze bardziej zmroziła ją sprawiając, że zaczęła trząść się zupełnie jak przed kilkoma godzinami, po wyśnionym w nocy koszmarze.

Bramka, przez którą jakimś cudem przeszedł kapłan, była na noc zamknięta. Na klucz.

ROZDZIAŁ IX

Lexus sunął przez wiejską drogę wzbijając tumany kurzu. Zupełnie, jakby wczorajszej nocy w ogóle nie spadł deszcz, a szosa była niczym fragment pustynnego krajobrazu, na który Adrian nieopatrznie zjechał.

Siedział za kółkiem ściskając mocno kierownicę. Choć klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach i była dopiero siódma rano, pot lał się z mężczyzny wielkimi strumieniami. Nerwowo miętosił drążek zmiany biegów nie mogąc uwierzyć w to, że stracił już piętnaście minut krążąc wokół Siedlan, nie potrafiąc znaleźć tego, co tak usilnie starał się zlokalizować.

Zaklął pod nosem, wyhamował i wrzucił niższy bieg, gdy droga znowu stała się niezwykle wąska i wyboista. Cholernie współczuł amortyzatorom swojego samochodu.

W okolicy wsi miało znajdować się jezioro. Małe i zarośnięte, jednak bardzo urokliwe. Dokładnie sprawdził na mapach jego lokalizację. Pomyślał, że świetnie będzie wybrać się tam z Weroniką, aby choć trochę odsapnęła i zapomniała o wszystkich trudach.

- Piknik na łonie natury dobrze jej zrobi... nam zrobi - pomyślał i od razu pozwolił sobie oddalić się myślami do utopijnej krainy szczęśliwych myśli.

Jej wczorajsza propozycja, aby został z nią przez najbliższy miesiąc w domu wcale nie była taka zwyczajna. Wiedział o tym. Znał ją bardzo dobrze. Na tyle dobrze, aby domyślić się, że chodzi jej o coś głębszego. Coś wykraczającego poza standardową relację przyjacielską, a już zwłaszcza tę na linii pisarz-agent. Weronika nie była typem kobiety, która lubiła, gdy ktoś wchodził do jej życia buciarzami. Teraz jednak wyglądało na to, że zrodzona w niej potrzeba stabilizacji - zwłaszcza w obliczu posiadania dziecka - wygrała ze zdrowym rozsądkiem.

- Głupia idiotka - powiedział i zaśmiał się pod nosem.

Póki co, cały jego misterny plan sprawdzał się co do joty. Zaprzyjaźnić się, oczarować, uwieźć, rozkochać w sobie, ożenić się, położyć rękę na zgromadzonych przez nią olbrzymich pieniądzach, aż w końcu dokonać ostatecznej zemsty i zrobić wszystko, by Weronika sama odebrała sobie życie. Zdruzgotać jej spokój ducha i zniszczyć do reszty wszystkie siedzące w niej dobre myśli. Rozpieprzyć całe jej życie.

Zaśmiał się po raz kolejny, głośniejszym i wyraźniej. Po chwili jednak śmiech przeszedł w złość, a na jego spokojnej do tej pory twarzy pojawiła się czysta nienawiść.

- Suka! - wycedził przez zęby.

Gdy po raz pierwszy usłyszał od swojego przełożonego, że to on weźmie pod agencyjną opiekę początkującą pisarkę Weronikę Sobczyk, nie skojarzył jej nazwiska. Coś mu świtało, chodziło po głowie. Jakby podane przez prezesa agencji literackiej nazwisko stanowiło bardzo odległe wspomnienie, do którego trzeba się przebić wertując wiele poprzednich lat. Aż w końcu gruchnęło. Zapaliło się czerwone, żarzące furią światełko w jego głowie. Pamiętał doskonale, jak w nerwach wziął do ręki nadesłany przez kobietę życiorys i z każdą jego kolejną linijką wściekłość w nim narastała.

Weronika Sobczyk. TA Weronika Sobczyk. Osoba bezpośrednio odpowiedzialna za to, że nie miał już rodzeństwa. Że on, Adrian Ostaszewski, przed blisko dziesięcioma laty, pożegnał swoją jedyną siostrę patrząc, jak grabarze powoli zanurzają trumnę z jej ciałem do czarnego, zimnego dołu. Tylko on wiedział dlaczego i przez kogo jego ukochana siostra skończyła ze sobą zaciskając na swojej szyi pętlę i opuszczając ciało z grubego konaru wiśni w ich przydomowym ogródku.

Przez pieprzoną Weronikę-jego mać-Sobczyk. Wredną zdzirę, królową szkolnej patologii, dziwkę i dręczycielkę w jednym.

Wiecznie chodziła pijana lub naćpana. Wraz ze swoimi dobrymi przyjaciółkami znęcała się po lekcjach na słabszych dziewczynach. Wyżywała na nich fizycznie i psychicznie. Jej główną ofiarą, zupełnie nie wiedząc czemu, stała się Martyna Ostaszewska. Krucha dziewczynka, która mimo uczęszczania do maturalnej klasy, wyglądała jeszcze jak dziecko. Jakby dopiero co skończyła trzynaście, może czternaście lat. Zawsze w zbyt dużych okularach na nosie. Zawsze w

sweterkach i spódniczkach za kolano. Milcząca, nieśmiała, słaba fizycznie.

Adrian zaklął siarczyście. Pamiętał, jak jego siostra po raz pierwszy przyszła do domu z podbitym okiem, które później skrzętnie ukrywała za pokładami fluidu podkradanego z kosmetyczki mamy. Tamto zdarzenie było dla niego szokiem. Choć sam był chuderlawym mikrusem, któremu bliżej było do karła niż do wyrosniętych rówieśników, czuł potrzebę, aby znaleźć osobę odpowiedzialną za wyrządzenie jego siostrze krzywdy, i sprać ją na kwaśne jabłko.

Ale Martyna milczała.

Milczała za pierwszym razem. Milczała za drugim, gdy ktoś rozbił jej wargę. Milczała za trzecim, kiedy ktoś złamał jej dwa żebra, posiniaczył piersi i zrobił długie, szpecące uda krwawe ślady.

Płakała w poduszkę i mimo próśb jego, jak i rodziców, trwała w milczeniu nie wskazując winnych. Adrian natomiast coraz bardziej obawiał się o jej życie. Eskalacja agresji na jego siostrze narastała z każdym kolejnym atakiem. Słyszał, jak Martyna płacze całymi nocami, jak bardzo zmienił się jej wygląd, kiedy zaczęła przypominać zombie. Przestała jeść. Z nerwów ciągle wymiotowała i chodziła roztrzęsiona. Opuściła się w nauce - jedynej rzeczy, w której była wybitnie uzdolniona. Po kilku miesiącach, tuż przed maturą, stała się ludzkim wrakiem. Aż w końcu, pewnej nocy, gdy wleciał do jej pokoju słysząc, że wpada w histeryczne konwulsje, wyszeptała mu do ucha to jedno, jedyne imię, które nosiła prześladowczyni.

Weronika Sobczyk.

To był przełom i Adrian myślał, że następnego dnia, skoro świt, wstanie i rozprawi się z tą wredną suką raz na zawsze. Choćby i sam miał skończyć w kryminale.

Nigdy do tego nie doszło. Chodząc w nerwach po własnym pokoju, czekając aż nadejdzie dzień i zaprzatając myśli wyłącznie wizją zemsty nie usłyszał, jak Martyna wykrada się z domu. Jak buszuje po garażu w poszukiwaniu sznura i kiedy wydaje z siebie ostatni oddech wieszając się na drzewie zaledwie dwadzieścia metrów od okna jego pokoju.

Obraz wiszącego bezwiednie ciała siostry targanego przez poranny wiatr nigdy nie opuścił jego myśli. Wrył się w pamięć tak mocno, że Adrian potrafił śnić o nim przez kilka miesięcy bez przerwy. Był

zdruzgotany. Wpadł w apatię i silną depresję, przez którą musiał łykać tabletki. Podobnie zresztą jak rodzice, którzy już nigdy później nie uśmiechnęli się, choćby na chwilę. On sam zaś poczuł taką niemoc, że na długi, długi czas myśl o zemście kompletnie go opuściła. Czuł, że zawiódł siostrę za życia, a skoro jej już nie było, to nic jej nie pomoże. Weronika Sobczyk była jednak na tyle barwną postacią, że co rusz dochodziły go plotki na jej temat. Nigdy nie było w nich niczego dobrego. Aż w końcu, wraz z opuszczeniem przez nią miasta, ślad po niej urwał się na dobre. Na długie lata. Lata, w czasie których Adrian jakoś doszedł do siebie, zajął się nauką, rozpoczął zawodową karierę. Lata, które wypełnił zajęciami co do jednej godziny, by oddalić od siebie ciągle myśli o rodzinnej tragedii. Aż w końcu, niczym grom z jasnego nieba, Weronika Sobczyk zjawiała się w jego życiu w najbardziej niespodziewanym momencie. Nie mógł znieść myśli o tym, że ta sama osoba, która przez większość życia była żywym synonimem słów agresja, patologia, cwaniactwo, miała zostać pisarką. Dobrze rokującą twórczynią kobiecej tandety spod znaku naiwnych opowieści o miłości, romansach i dużych pieniądzach.

- Ja wiem, ty to wiesz, nawet jej wydawca to wie. Te książki to chłam. Ale ludzie tego oczekują. To się sprzedaje - usłyszał Adrian, kiedy omawiał z szefem działania mające zrobić z Weroniki Sobczyk gwiazdę literatury wielkiego formatu.

Z początku nie mógł tego zdzierżyć. Kiedy miał się z nią spotkać celem omówienia szczegółów, był tak silnie wzburzony, że myślał tylko o tym, aby rozbić jej głowę gołymi rękami. Dopiero później, gdy ujrzał ją kroczącą w jego stronę z tym kurewskim uśmiezkiem wymalowanym na twarzy, zrodził mu się w głowie plan, który z czasem ewoluował, przeradzając się w prawdziwie sztukmistrzowskie szafowanie jej uczuciami, aspiracjami i marzeniami.

Mijały trzy lata od tamtego spotkania. Trzy, długie i intensywne lata, w czasie których zrobił wszystko, by stworzyć wokół Weroniki mit genialnej pisarki. Osadzić ją na piedestale w panteonie gwiazd polskiej popkultury, jednocześnie uzależnić ją od siebie tak mocno, jak tylko się da. Pokazać, że bez niego byłaby niczym. Sprawić, aby myślała o swojej karierze - o wszystkim, co stworzyła - poprzez pryzmat jego osoby. Zrobić z niej nieświadomą niewolnicę jego słów i czynów.

Wszystko idealnie się udawało. Szło po nitce do kłębka, do ostatecznego rozwiązania. Już prawie ją miał, usidlił fałszywą miłością, ale – niestety – w Weronice po raz kolejny doszły do głosu jej dziwkarskie zapędy sprawiając, że przed niespełna dziewięcioma miesiącami wlaża do łóżka jakiegoś podrzędnego lalusia, który od razu zrobił jej dziecko.

To była tragedia.

Cały jego plan zaczął się sypać, a gdyby drogi Weroniki i tego fagasa miały się zejść już na zawsze, musiałyby kombinować, jak odkręcić swój pierwotny plan i jak zniszczyć ją w zupełnie inny sposób. Wszystko jednak wskazywało na to, że Weronika Sobczyk zostanie samotną matką.

Idealnie. Dla niego.

Teraz, gdy sprowadziła się na to zadupie, gdy on sam poczuł, jak kobieta uzależniła się od niego do tego stopnia, że z własnej woli zachęcała, żeby zamieszkał z nią pod jednym dachem, poczuł, że wszystko wraca do normy. Wystarczyło ją jeszcze tylko trochę w sobie rozkochać. Usidlić. Doprowadzić do małżeństwa. A później wprowadzić do życia sporą dawkę tragedii. Najpierw pokazać jej miejsce w szeregu, zniszczyć powoli budowaną karierę przekupując wszystkich recenzentów w największych literackich magazynach, aby określili jej nadchodzącą powieść gatunkową katastrofą. Wynająć całą rzeszę trolli internetowych, którzy non stop, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, będą umieszczać niewybredne komentarze pod jej zdjęciami i statusami na posiadanych przez nią stronach w mediach społecznościowych. Przestać załatwiać jej wywiady do prasy i radia. Pod pretekstem „odcięcia się od hejterów” zrezygnować z pokazywania jej w telewizji.

I kiedy będzie już na skraju pisarskiego załamania, kiedy będzie łykać tabletki na depresję jedną po drugiej stwierdzając, że z dobrych rzeczy pozostało jej w życiu tylko dziecko, zabije je pozorując wypadek.

– W końcu śmierć łóżeczkowa to nic niezwykłego – rzekł do siebie samego stwierdzając, że jednak cieszy się, że to nie on zrobił jej tego bachora. Inaczej mógłby mieć jakieś wyrzuty sumienia.

Później, kiedy już nic jej nie pozostanie, kiedy zrobi z niej takiego samego ludzkiego wraka jakim była jego siostra, będzie liczył na to, że

Weronika sama popełni samobójstwo nie wytrzymując z toczącymi ją rozpaczą i żalnością. Pomyślał, że jeżeli kobieta będzie się z tym ociążać, on jej pomoże – po raz ostatni – upijając ją i częstując zbyt dużą ilością proszków nasennych.

Wiedział, że nikt nic będzie niczego podejrzewał. Wszystko będzie zgrane idealnie. Po wszystkim zaś zostanie tylko on – biedny, cierpiący facet, który w krótkim odstępie czasu stracił pasierbicę i owdowiał.

- Nie martw się Weruś – powiedział cynicznie spoglądając we wsteczne lustro, trenując mimikę zatroskanego, zakochanego mężczyzny. – Twoje pieniądze się nie zmarnują. Przygarnę je wszystkie i wynagrodzę sobie twoją śmierć po stokroć.

Wybuchnął śmiechem .

- To jest tak zajebiście proste – stwierdził na koniec, a jego twarz rozpromieniła się z jeszcze jednego powodu – w końcu, po kilkudziesięciu minutach krążenia po obrzeżach wsi, znalazł drogę wylotową w kierunku ekspresówki. O kameralnym, idealnym na piknik jeziorze zupełnie zapomniał.

Szybko skręcił w prawo zjeżdżając z wąskiego, wyboistego traktu.

- Co do kur... – przekleństwo ugrzęzło mu w gardle. Zahamował. Koła lexusa jeszcze chwilę sunęły po szutrze.

Adrian przetarł oczy ze zdumienia. Spoglądając w bok, na puste pola, na których nie było choćby źdźbła trawy czy jakiegokolwiek zboża, ujrzał kilkoro ludzi odzianych w czerń, krążących wokół dziwnej, drewnianej konstrukcji. Dopiero po chwili skonstatował na co patrzy i klnąc na głos ruszył z impetem w kierunku miasta.

- Co za pojebana wieś – stwierdził rozmyślając, że nader osobliwie podchodzą w Siedlanach do tematu strachów na wróble.

Za nim, w tumanach kurzu wzbitych przez samochód, kilkoro ludzi wciążył tłoczyło się wokół konstrukcji przypominającej szafot o przedłużonym, górnym ramieniu. Z jego belki, na cienkim, kolczastym drucie, zwisały truchła czarnych jak noc kruków.

ROZDZIAŁ X

Szedł drogą w milczeniu. Szybko zniknął za zakrętem i stał się niewidoczny z domu nowoprzybyłej kobiety. Z jego ust padały niewybredne słowa na jej temat. Mówił je głośno i wyraźnie, nie zważając na to, czy ktoś go usłyszy, czy nie.

Gdy zszedł z głównego traktu i skręcił w wąską, leśną dróżkę, sięgnął w kierunku kołnierza od sutanny. Jednym, sprawnym ruchem wyciągnął błyszczącą, śnieżnobiałą koloratkę i z całej siły ścisnął ją w dłoni. Po chwili, gdy była niczym więcej, jak białym, ciężkim do określenia strzępem materiału, wyrzucił ją wprost do mijanych przez siebie krzaków.

Zaklął, wykrzykując wulgaryzm tak głośno, że część ptaków z okolicznych drzew wzbiła się w powietrze.

Jego twarz była purpurowa od złości i gniewu.

- Pieprzona ateistka i jej przeklęty bachor! - znów rozdarł ciszę poranka kanonadą słów wypowiedzianych gburowatym tonem.

Zatrzymał się i rozpiął sutannę, pod którą miał zwykłe, codzienne ubranie. Choć wiedział, że ukradziona przed kilkoma laty z plebanii szata mogłaby się jeszcze przydać, zaczął ją gniesć i kopać, aż w końcu wyrzucił głęboko w krzaki, nieopodal zmiętej koloratki.

Mimo wczorajszej, nocnej rozmowy z Radzymińskim o przeczekaniu kilku dni i sprawdzeniu, czy kobieta, która przeprowadziła się do ich wsi będzie chodzić do kościoła, Seweriusz Tochman nie wytrzymał. Wolał wziąć sprawy w swoje ręce i czym prędzej sprawdzić, z kim mają do czynienia. Po krótkiej wizycie w domu kobiety widział już jednak, że ich najgorsze obawy potwierdziły się.

Ciężarna ateistka po raz kolejny zagościła w ich wsi. Tak samo, jak przed laty uczyniła to Aurelia Malewska, przez którą na wieś spadła klątwa. Przez którą...

- I jak? Gadaj! - usłyszał nagle głos, by po chwili stanąć oko w oko z wyłaniającym się zza szpaleru dębów Piotrem Radzywińskim. - Mów żesz! Wierząca?

- Nie - odpowiedział sucho Tochman. Nie zatrzymał się, by streścić przebieg wizyty swojemu znajomkowi. Kroczył dalej, w kierunku swojego gospodarstwa.

- Chryste! - zawył Radzywiński. - A więc to prawda?

Seweriusz, rozwścieczony do granic możliwości, parł przed siebie nie zważając na słowa Piotra. Myślał o tym, jak potraktowała go kobieta. Nawet nie otworzyła drzwi. Nawet nie odpowiedziała na powitanie. Stała tylko i patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby wywoływał w niej obrzydzenie. Jakby miała się za dużo lepszą od niego.

- Miastowa suka - zaklął pod nosem, po czym splunął.

Gdyby mógł od razu, kiedy tylko otworzyła drzwi, wpadłby na nią z impetem i zabił na miejscu. Od razu, nie czekając na nic. Bezcelnie wydzierając jej z gardła ostatni oddech. Wiedział jednak, że nie mógł tak postąpić. Wszystko musiało być zaplanowane. Wszystko musiało odbyć się zgodnie z tym, jak zapisano w starej, czytanej przez niego latami księdze. Nic związanego z gwałtowną śmiercią, nie mogło być w Siedlanach powiązane z przypadkiem. Każdy najdrobniejszy szczegół musiał zostać popełniony w taki sposób, by klątwa mogła być oddalona z ich wsi raz na zawsze.

- No to co zrobimy? Jak? Kiedy? - litania pytań przerwała rozważania Tochmana. Piotr Radzywiński może i był jego najwierniejszym znajomym, jedynym kompanem na którego naprawdę mógł liczyć, jednak nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że niekiedy był niczym więcej, jak wrzodem na dupie. Gadatliwym, pierdołowatym imbecylem, który bez wsparcia kogoś bardziej ogarniętego, skończyłby już dawno albo w rynsztoku, albo w kryminale.

- Zrobimy to, co winniśmy zrobić w takim przypadku - odpowiedział Seweriusz starając uspokoić swój ton. Przystanął na moment. Zamknął oczy i odetchnął głęboko świeżym powietrzem budzącego się dnia, przesyconym wonią rosy i kwitnących drzew.

- Tak jak zapisano z dawien dawna. „Groby nie mogą ostać się puste. Cmentarne duchy nie znoszą próżni, a grób wykopany, lecz bez ciała, jest dla nich kpiną. Obrazą nie do wybaczenia” - zacytował Tochman.

Otworzył oczy, obrócił się i spojrzął głęboko w oczy swojemu znajomemu. – Zabijemy ją i jej dziecko. Złożymy ofiarę. Wypełnimy mogiłę czekającą od dwóch dekad na ciało. Przerwiemy łańcuch klątwy i ciążących na nas cierpień.

Radzymiński, słysząc wypowiedziane przez Seweriusza zapewnienie, nieco się rozchmurzył. Widać było, że innej odpowiedzi nie oczekiwał.

Tochman odwrócił się i rozpoczął ponowny, szybki marsz w stronę domu. Tym razem nie miał zamiaru odpuszczać, jak zrobił to tuż po sprawie, którą rozpoczął przed wieloma laty Surzewski. Po części brał na siebie odpowiedzialność za to, co zdarzyło się później. Co wbrew zapewnieniom ich prałata, miało miejsce i było dowodem, że nad wsią zawisła kosa anioła śmierci, która ścinała ludzkie dusze, jak rolnik tnie wzrastającą pszenicę.

Pamiętał dzień Bożego Ciała, kiedy klątwa zaczęła się wypełniać. Kiedy trup Aurelii Malewskiej zbeczcześcił świętą, kościelną ziemię, a jej niewierny bękart, który raz na zawsze miał zostać złożony w grobie, spoczywał na wpół zgniły w jej ramionach. Wszyscy ludzie wiedzieli, że to znak. „Diabeł zaczął kroczyć przez naszą wieś”, powiadali starcy wznosząc modły o to, by nastał cud i klątwa nie skałała siedlańskiej ziemi. Tamtego dnia jednak diabeł rozgościł się w ich małej wsi i nie chciał jej opuścić.

Seweriusz westchnął ciężko. Byłby po stokroć wdzięczny komukolwiek, kto potrafiłby wymazać mu z pamięci obrazy następnych dni po tamtym wydarzeniu. Dni, miesiące i lat. Długich nocy spędzanych w przestraszu, gdy brzask jutrzeńki wcale nie napawał optymizmem, gdy wraz z nastaniem poranka strachy i upiory nie opuszczały ich domów, pól i lasów. Gdy zaś przyszedł Wielki Pomór – ten jeden, znaczący rok pełen tragedii, jaki rozpoczął się w rocznicę śmierci Aurelii – wszyscy zwijali się z bólu i żalu nie widząc dla siebie przyszłości. Dzieci, jakby zmożone zarazą, padły jedno po drugim w ciągu dwóch tygodni. Ciężarne, jakkolwiek o siebie dbały, musiały pogodzić się z tym, że prędzej czy później poronią. Młodzi mężczyźni chodzili do lasu na polowanie i nigdy więcej ich nie widziano. I gdy wydawało się, że najgorsze już przeminęło, nadszedł nieurodzaj. Najpierw strawił wszelkie dotychczasowe uprawy. Później ziemia stała się ugorem, na którym nic nie rosło. Nawet chwasty.

Tochamn pokręcił głową na wspomnienie, jak przyjechał do ich wsi radny z miasta. Jak ogłosił stan klęski żywiołowej spowodowanej suszą. Używając pięknych, wyświechtanych słów obiecywał pomoc. „Zapomogi dla każdego”, głosił. Kiedy jednak przyszło co do czego i ludzie z gminy odpowiedzialni za wydawanie zapomogi zabrali się do tego, stwierdzili, że pieniędzy wystarczy nawet nie dla połowy mieszkańców Siedlan.

We wsi nastał głód i choroba. U progu dwudziestego pierwszego wieku. Nie potrafił zaradzić im ani wójt, ani lokalny GOPS, ani nawet kościół, choć Stanisław Wereszczuk zarzekał się, że zrobi wszystko, by pomóc swoim owieczkom.

Seweriusz, jak i reszta mieszkańców, szybko przekonali się, że to zwykły bełkot. Najpierw prałat pouczał ich o tym, że trzeba szanować innowierców i niewierzących, bo to tacy sami ludzie, jak każdy inny. Szalenie! Nie potrafił znaleźć dla nich słów uznania po tym, co stało się z Aurelią Malewską twierdząc, że tragedia, jaka się wydarzyła, spoczywa na rękach wszystkich mieszkańców. Błagał o wyrozumiałość. O miłosierdzie dla innych. I wciąż podtrzymywał te słowa nawet wtedy, kiedy na parafialnym cmentarzu, niemal dzień po dniu, skrapiał święconą wodą wciąż nowe mogiły, w których chował coraz to mniejsze dzieci. Był zaślepiony. Nie chciał słyszeć o klątwie. Wszystkie doniesienia o niej nazywał „bujdami na resorach”. Oskarżał mieszkańców o szerzenie guseł i niepotrzebnych głupstw.

- On też za to odpowie - powiedział Tochman do siebie, choć na tyle wyraźnie, że usłyszał to również Radzymiński. Obydwaj stracili w Wielkim Pomorze wszystkie swoje dzieci. Obydwaj utracili plony, a ich ziemie stały się zupełnie jałowe. Obydwaj, choć wtedy byli jeszcze młodzi, zupełnie opadli z sił, jakby ich ciała trapiła choroba.

Seweriusz nie miał wątpliwości co do tego, że liczba mieszkańców, którzy pójdą za jego głosem jest znacznie większa niż tych, którzy wciąż słuchają Wereszczuka. Sprawę nowoprzybyłej trzeba było rozwiązać w tylko jeden, odpowiedni sposób.

Mężczyzna zaczął się modlić w sobie tylko wiadomej intencji.

Żar palący wczesny ranek skończył się w jednej chwili. Na niebo wstąpiły ciemne chmury. Pierwsze krople deszczu zaczęły dudnić o ziemię. Padało i grzmiało coraz częściej. Niemal codziennie. Zupełnie, jak przed tragedią, od której wszystko się zaczęło.

Mimo, że noc była jeszcze młoda, on już był niewyobrażalnie pijany. Siedział w starym, popękany, skórzany fotelu. W pokoju paliła się tylko jedna mała lampka, która rzucała słabe światło rozświetlając jedynie to, co wydawało mu się najistotniejsze. Butelkę koniaku, szklanę i mały notes związany na rzemyk. Pozostała część pokoju skryta była w cieniach.

Stanisław Wereszczuk wpatrywał się w okno próbując dostrzec za nim coś więcej, niż tylko ścianę deszczu. Nie widział nawet zarysu budynku kościoła, który stał ledwie trzydzieści metrów dalej. Oddychał ciężko zastanawiając się, czy ilość wypitego trunku jest wystarczająca, by choć na parę godzin pozbyć się tłoczących się w myślach demonów wspomnień.

Czknął. Wciąż czuł się zbyt trzeźwy, by zasnąć spokojnie.

Sięgnął po butelkę z koniakiem i przelał do szklanki resztkę alkoholu. Spojrzał na niemal do pełna wypełnione naczynie i upił z niego kilka szybkich, nerwowych łyków. Załkał żałując, że tak bardzo się rozpił. Zachowywał się jak hipokryta na co dzień przestrzegając swoich wiernych i pouczając ich o złudnej pułapce alkoholizmu, po godzinach samemu siedząc i wtłaczając w ciało kolejne butle różnorodnych napitków. Niekiedy jego samotne pijatyki były tak poważne, że rankiem, spowiadając wiernych przed mszą widział, jak odsuwają się od krat konfesjonału odurzeni jego oddechem.

Żałował. Bardzo żałował swojego pijaństwa.

Czuł się jednak niczym renegat. Samotny pośród plemienia niewiernych. Nie potrafił bowiem inaczej określić ludzi, którzy uważali się za chrześcijan, podczas gdy wierzyli i krzewili zupełnie niechrześcijańskie idee.

Upijając kolejny łyk koniaku zaczął rozpamiętywać wydarzenia sprzed prawie dwudziestu lat, gdy był młodym, niedoświadczonym przez życie księdzem myślącym, że nie ma niczego łatwiejszego, niż głosić Słowo Boże na prowincji. We wsi, gdzie nie ma problemu z wiarą, a stuprocentowa frekwencja na niedzielnych mszach jest niemal pewna.

Mylił się tak bardzo, jak tylko mógł się mylić.

Spojrzał na leżący obok pustej butelki notes. Stary, z wyblakłą okładką, pożółkłymi kartkami, z widocznymi śladami wilgoci. Były w

nim jednak zapiski, które nie tyle wyjaśniały to, jak doszło do wszystkich tragicznych wydarzeń popularnie zwanych w Siedlanach „kłątwą”, lecz w znacznym stopniu ułatwiały zrozumienie chorej skądinąd sytuacji, która do nich doprowadziła.

Notes nie należał do niego. Tworzące go gęsto zapisane kartki były zbiorem myśli Michała Surzewskiego. Gloryfikowanego przez miejscowych. Uznawanego za bohatera, czy wręcz świętego.

- Panie, zmiłuj się nad nimi... - sapnął głośno Wereszczuk na samą myśl, jak pewnego dnia grupa ludzi zwróciła się do niego z prośbą o wystosowanie do biskupstwa oficjalnej prośby, celem rozpoczęcia działań mających na celu jego beatyfikację.

Wereszczuk nigdy nie potrafił zrozumieć, jak można uważać mordercę i chorego psychicznie człowieka, za świętego.

Zaklął wypowiadając słowa w kierunku pustej butelki. Jedyne go towarzysza swoich nocnych rozmyślań.

Deszcz kołatał w okna z taką mocą, jakby chciał przebić się przez szybę i zalać księdza kolejnymi partiami zimnej wody. Na orzeźwienie i otrzeźwienie.

Wereszczuk wziął do ręki notes i powoli zaczął go otwierać. Za każdym razem, gdy po niego sięgał rozmyślając o wszystkich miejscowych tragediach, czuł się niczym doktor zaglądający w umysł szaleńca. Nie było bowiem najmniejszych wątpliwości, że Surzewski był nikim innym, jak człowiekiem nie tyle nawet chorym, co napędzanym prawdziwym, niewyobrażalnym obłędem.

Otworzył pierwszą stronę notatnika. Westchnął i zamknął oczy.

Kiedy zjawili się po Surzewskiego zarówno policjanci, jak i sanitariusze, ci pierwsi przetrząsnęli jego gospodarstwo w poszukiwaniu dowodów popełnionej przez niego zbrodni. Było oczywiste, że niczego nie znajdą, a całość oskarżenia, w wyniku którego szalenciec skończył w zakładzie dla obłąkanych, oparto na relacji Wereszczuka. Wereszczuk jednak, w przeciwieństwie do policjantów traktujących tę sprawę po macoszemu, wiedział gdzie szukać tego, co może pomóc mu zrozumieć, co kierowało jego własnym kościelnym. Dlaczego ten na co dzień dobroduszny człowiek potrafił dopuścić się czynów, o jakich można posądzać tylko największych zbrodniarzy. Zakradł się więc w noc po jego zatrzymaniu na teren

gospodarstwa Surzewskiego. Ściągnął z drzwi policyjne plomby domyślając się, że funkcjonariusze, mając ich po prostu za tępych wieśniaków, najprawdopodobniej nigdy tutaj nie wrócą. Buszował po domu całą noc. Przetrzęsnał gospodarstwo w poszukiwaniu jednego, jedyne miejsce, o którym raz tylko wspomniał mu Surzewski.

- Sejfu co prawda nie mam, ale złodziei się nie boję, bo to co kosztowne mam głęboko ukryte w jednej ścianie - powiedział mu tamtej nocy na wół pijackim tonem.

Wereszczuk szukał więc tego tajemniczego miejsca mając nadzieję, że żaden z okolicznych mieszkańców nie zakłóci jego poszukiwań, wkradając się do domu Michała podobnie jak on. Szukał długo, intensywnie. Już chciał się poddać, kiedy zupełnie przez przypadek zajrzał do licznika prądu. Grzebiąc pomiędzy przestarzałymi bezpiecznikami poczuł z boku palców dziwny chłód, który naprowadził go na mały, wąski otwór, który po uchyleniu stawał się niewielkim schowkiem. To tam, pośród kilku złotych łańcuszków, pamiątkowego zegarka i niewielkiego pliku pieniędzy, znalazł trzymany przez siebie w ręce notatnik.

Gdy czytał go po raz pierwszy był przekonany, że to nie może być cokolwiek należącego do Surzewskiego. Nie do Michała, którego znał już niemal dwa lata, i z którym zdążył się zaprzyjaźnić. Później jednak zrozumiał, na co patrzy. Co czyta trwożąc się każdym kolejnym zdaniem, gdy pot zlewał się z niego falami, a serce łomotało z przestachu. Niewielki notatnik był bowiem jednym, wielkim zapisem szaleństwa i bezpośrednim dowodem na to, że Michał Surzewski - uczynny kościelny, człowiek wiary, pobożny i dobry mieszkaniec Siedlan - cierpi na schizofrenię paranoidalną w jej najgorszej, najbardziej druzgocącej odmianie.

„Ten prostak, który włada mną za dnia, nie będzie w stanie mi przeszkodzi”, brzmiały jedne ze słów, które uświadomiły Wereszczuka z czym ma do czynienia. Z jak wielkim złem drzemającym w jego umyśle musiał walczyć na co dzień Michał Surzewski.

„Umrze kurwa, umrze bachor! Pomrą i oddalą kłatwę”.

Siedzący w fotelu, dopijający do końca swój ulubiony koniak Wereszczuk, zupełnie jak tamtej, pamiętnej nocy gdy czytał notatnik po raz pierwszy, przekartkował go uważnie zatrzymując się na ostatnich

ustępach. Na tych, gdzie alter ego Surzewskiego wypisało dokładnie początek swojego istnienia. Początek szaleństwa zdrowego na umyśle, do tej pory, kościelnego. Nigdy wcześniej Wereszczuk nie słyszał od mieszkańców Siedlan legendy związanej z niektórymi grobami na zapomnianym cmentarzu choleryków. Legendy zapisanej w jednej, bardzo starej księdze znajdującej się w posiadaniu Surzewskiego, wedle której pomór, jaki spadł na Siedlany przed ponad wiekiem w postaci choroby, był określany, jako „klątwa pielgrzymów”. Była to stara historia, niemal zapomniana, opisująca, jak pewnego roku, tuż po święcie Bożego Ciała, przybył do wsi tajemniczy pochód. Kilku wędrowców odzianych w grube, czarne szaty przypominające łachmany skrywające nawet twarz, przewędrowało przez wieś pytając o pomoc. Jako, że była to niedziela, ludzie ze wsi szybko zbiegli się na główną ulicę zaciekawieni tajemniczymi postaciami. I być może owi wędrowcy otrzymali by upragnioną pomoc, gdyby nie pewna kobiet, która wykrzykując „trędowaci!” tym jednym, jedynym słowem zmieniła bieg historii całej, małej wsi.

1899

ROZDZIAŁ XI

Nadciągnęli z północy, czarni niczym muchy zwabione przez rozkład i zgniliznę. Kroczyli nieśpiesznie, stąpając po wysuszonej ziemi prażonej przez niemiłosierne, czerwcowe słońce. Choć było to niemożliwe, zdawało się, iż nawet ze znacznej odległości wyczuć można trupi odór ciągnący się wraz z nimi.

Pierwszymi, które ich dostrzegły, były trzy małe dziewczynki. Zbierały z ulicy na wpół zgniłe płatki kwiatów, jakie pozostały po niedawnej procesji Bożego Ciała. Chichrały się przeskakując przez kamienie, grały w berka kryjąc się przed sobą w porośniętych trawą przydrożnych rowach. Z uśmiechem na ustach wystawiały swe młode, zadowolone buzie wprost w promienie palącego słońca.

Ich śmiech ucichł jednak, gdy tylko poczuły powiew zimnego wiatru, jaki przeszył ich ciała. Usłyszały szuranie ciężkich butów i odwróciły się w stronę hałasu tylko po to, by ich własny krzyk rozdarł ciszę niedzielnego południa.

Z okolicznych domów wybiegli ludzie. Starzy i młodzi. Przerażeni i zaciekawieni. Z daleka spoglądali na przybyszów, którzy na pierwszy rzut oka wyglądali niczym pielgrzymi. Stroje siedmiu piechurów do złudzenia przypominały habity, dodatkowo jeszcze przykryte czymś w rodzaju opończy, pod której kapturami skrywały się w głębokich cieniach, niedostrzegalne twarze. Siedmiu kroczących nieprzerwanie pielgrzymów zatrzymało się dopiero na głównym trakcie prowadzącym przez wieś, gdy przed nimi - niczym mur - wyrósł rząd zaciekawionych mieszkańców. Patrzyli na przybyłych spode łba, nie do końca przekonani, co do ich intencji.

Dzieci skrywały się w ramionach matek i ojców. Ci zaś wystąpili przed szereg wznosząc swoje ręce w powitalnym geście.

- Szczęść Boże wam pielgrzymi. Dokąd bieżycie? - zapytał jeden z mężczyzn ze wsi. Był postawny i pełen młodzieńczego wigoru. Na jego spracowanej twarzy odznaczały się błyszczące, bystre oczy.

Mężczyzna nie doczekał się jednak odpowiedzi.

Siedmiu pielgrzymów popatrzyło po sobie bez słowa, wciąż nie ściągając z głów obszernych kapturów, pozwalając, by ich twarze pozostawały w mroku nieprzeniknionym nawet mimo silnego słońca.

- Gdzieś idziecie? Czy pokutujecie? - głośnie pytanie padło od kogoś z tłumu. Ludzie coś między sobą szeptali. Staruszki czyniły znak krzyża.

- Wody... - cichy szept padający z ust przodownika czarnych piechurów dał się słyszeć z siłą krzyku. - Wędrujemy w gorącu już długi czas...

Głos pielgrzyma, choć mocny, nie był dźwięczny. Przypominał chrzęst łamanego, suchego siana. Wypełniał powietrze w bardzo nieprzyjemny dla ucha sposób.

Ludzie nie odpowiedzieli od razu na zawołanie. Nikt nie pobiegł do swego domu, by napełnić dzbanek zimną wodą prosto z głębokiej studni. Wszyscy stali, milcząco przypatrując się siedmiorgu.

- Coście za jedni? - zapytał mężczyzna, który poprzednio pierwszy się do nich odezwał.

Jego pytanie było niczym wypowiedzenie na głos obawy wszystkich mieszkańców wsi. Zaciekawienie na ich twarzach zmieniło się w lęk, dobrze widoczny na wykrzywionych ustach.

Piechurzy milczeli. Patrzyli tylko na siebie, nieznacznie poruszając zakapturzonymi głowami.

- Jedynie wody pragniemy... - odpowiedział ich przodownik wyciągając rękę w kierunku zgromadzonych.

- Trędowaci! - krzyknęła nagle jakaś kobieta. W jej głosie słyhać było prawdziwą panikę. - Widziałam trąd na jego ręce! - powtórzyła, tym razem mocniej.

Wszyscy mieszkańcy, jak na rozkaz, odsunęli się od pielgrzymów. Niektóre kobiety - te najbardziej przerażone - prędko uciekały do swych domów z płaczącymi dziećmi na rękach. Tłum był niezdrowo poruszony.

- Nic prócz wody... - wybrzmiało po raz kolejny z ust pielgrzyma. Niemal błagalnym tonem.

- Precz! - ktoś zaczął krzyczeć. Tłum mu wtórował.

- Chryste Panie przegoń plagę z naszego miasta! - odezwał się ktoś inny pośród wszechobecnego zawodzenia, lamentu i tumultu podniesionych głosów.

Stojący do tej pory nieruchomo pielgrzymi zaczęli powoli iść w stronę ludzi. Podniósł się prawdziwy krzyk. Większość zgromadzonych zaczęła uciekać, oglądając się za siebie, by zobaczyć, czy tak samo postąpią inni.

Niektórzy jednak zostali. W przypływie chwili zaczęli podnosić z ziemi kamienie i ciskać nimi w pielgrzymów. Rzucali z całej siły, nie bacząc na to, czy ranią zwykłych ludzi czy zakonników. Rzucali tak mocno i tak celnie, jak tylko mogli. Mężczyźni zdążyli pobiec do swych gospodarstw, by stanąć przy rzucających z kosami w rękach.

- Precz! Powiedzieliśmy precz! - powtarzali patrząc, jak piechurzy uginają się pod gradem trafiających ich kamieni.

Żaden z zaaferowanych zgromadzonych nie spostrzegł nawet, że upalna niedzielna zbyt wcześnie dobiegła końca. Słońce schowało się za masywnymi chmurami, żar przegrał z chłodnymi powiewami wiatru. Mimo południa nastały przedwieczorne ciemności.

Przodownik pielgrzymów, który kroczył w zaparte przed siebie, upadł w końcu na ziemię. Dźwięk jego kolan obijających się o pokrytą kamieniami, piaszczystą drogę przypominał odgłos pękającej ceramiki. Jego ryk, chrzęszczący i potężny, uniósł się ponad całą wsią. Słyszac go mieszkańcy zamarli. Stanęli w bezruchu. Miny na twarzach zastygły w nerwowym oczekiwaniu.

Z wielkim trudem, jakby w agonialnych mękach, przodownik pielgrzymów podniósł się na kolanach. Szybkim ruchem zdarł z twarzy przysłaniający ją kaptur sięgając do niego drżącymi rękoma.

I wtedy, w ciągu jednej chwili, jednego momentu, który nie mógł trwać więcej niż jedno tchnienie, cały zgromadzony tłum zawył żałością, wznosząc ku niebiosom prawdziwie cierpiętniczy okrzyk.

Pielgrzym w czarnych szatach był maskarą. Ludzką groteską z twarzą pokrytą ranami. Z widocznymi fragmentami odpadającego, szklącego się rubinową mazią ciała. Z krwawymi strzępami w miejscach, w których kiedyś znajdowały się nos i usta. Jego oczy były

nienaturalne, zalane bielmem, które zdawało się zachodzić czernią zakrzepłej krwi.

Monstrualna twarz obróciła się w stronę tłumu. Drżąca dłoń, równie parszywa, jak lico, wskazała na zebranych.

- Obyście zdychali, w podobnych co my męczarniach! Obyście nigdy nie zaznali spokoju ducha, a wasze dzieci rodziły się martwe! Obyście nie nadążali z kopaniem grobów dla siebie i swych bliskich!

Gdy litania obelżywości - swoista klątwa czy też urok - ostatecznie się zakończyła, a przodownik pielgrzymów stęknął tak głośno, jakby wydał z siebie ostatnie tchnie, padł na ziemię.

Wbrew logice, wbrew wszystkiemu, co do tej pory widzieli i w co wierzyli wieśniacy, sylwetki odzianych w czerń piechurów nagle zniknęły. Jakby rozwiały się na wzmagającym się wietrze.

Tłum stał tylko i wpatrywał się w czarne jak noc szaty leżące beładnie na drodze, w których nie sposób było znaleźć choćby śladu człowieka.

- To śmierć przeszła przez naszą wieś! Śmierć i jej pomagierzy! - panika ogarnęła wszystkich zgromadzonych. Pogoda, która zmieniła się całkowicie, jakby ona też podlegała naturalnym prawidłom klątwy, również strwożyła ludzi. Ktoś zdołał pójść po księdza, który zjawił się zdyszany i przerażony. Stary, wierny sługa Kościoła spojrzał na twarze ludzi dostrzegając obłęd i panikę. W powietrzu, prócz zapachu nadchodzącej burzy, unosił się lament i płacz. Pisk małych dzieci i zawodzenie starców.

- Wszyscy do domów! Natychmiast! - ksiądz krzyczał. Zdawał się być pewny siebie, choć w jego głosie pobrzmiwał strach. Przeżegnał się i ruchem rąk zaczął przepędzać tłum, by nie zbliżali się do leżących na ziemi szat choćby na krok. - Wy! Lećcież do domów po łopaty i worki, byle prędko! - słowa wypowiedziane w kierunku dwójki stojących najbliżej mężczyzn nie były prośbą, nie były nawet poleceniem. Były rozkazem, który potulnie został spełniony.

Zaczął padać deszcz. Pogodny, upalny dzień nabrał jesiennej aury. Zrobiło się chłodno i wietrznie. W oddali słyhać było pierwsze trzaski gromów.

Stojący w niedalekiej odległości od czarnych, pokutnych szat ksiądz przeżegnał się i odmówił szybką modlitwę. Nigdy w życiu nie był

świadkiem paniki, która objęłaby tylu ludzi naraz. Choć bardzo nie chciał, zaczął wierzyć, że słowa jakie słyszy za plecami od oddalających się w popłochu mieszkańców, są prawdziwe. Że widzieli oni na własne oczy śmierć. Że to jeden z demonów, pod ludzką postacią, i jego słudzy, zjawili się w ich wsi, by zgnieść dobroduszne, bogobojne społeczeństwo. Kapłan trząsał się jeszcze w momencie, gdy dwójka mężczyzn powróciła. Trzymała w rękach łopaty o ostrych sztychach i duże, płócienne worki na kartofle.

- Prędej! Nim zbyt długo dotykać będą naszej ziemi! Weźcie łopaty i ostrożnie powrzucajcie łachmany do worów. Byle szybko!

Mężczyźni stali jednak i tylko patrzyli na czarne szaty. Rozwiewane przez wiatr, zmoczone gęsto lejącym deszczem, wyglądały, jakby żyły własnym życiem. Jakby tylko chwila dzieliła je od tego, że na powrót wypełnią się trędowatym, parszywym ciałem przeklętych pielgrzymów.

- Na litość boską! - wykrzyknął stary ksiądz, po czym wyrwał jednemu z mężczyzn łopatę i zbliżył się do łachmanów, by samemu sobie z nimi poradzić. Dopiero wtedy dołączyli do niego mężczyźni.

Cała trójka stała nad szatami i bardzo wolno i ostrożnie podnosili je z ziemi na łopatach, by w kolejnej chwili umieszczać je w obszernych worach.

- Cuchnie! Trupi odór! - zawołał głośno jeden z mężczyzn, po czym zaczął krztusić się, gdy jego żołądek wpadł w torsję.

- Prędej! Nie czas teraz na to! - ponaglenia księdza, gdy ostatnia spośród szat znalazła się w ostatnim worze, zdawały się tak oczywiste, jakby bez problemu można było poradzić sobie z nadciągającą falą wstrętu i obrzydzenia.

- Ostrożnie! Niech każdy weźmie po dwa worki.

Wszyscy podnieśli pakunki. Starali się trzymać je jak najdalej od siebie. Ksiądz ruszył przodem wołając za mężczyznami, by wzięli ze sobą łopaty. Usłuchali i czym prędzej udali się za nim.

Starzec truchtał tak szybko, na ile mógł pozwolić mu wymęczony, przerażony, liczący prawie siedem dekad organizm. Jakby był wiedziony instynktem, lub - w co wierzył - boską opatrnością, przedzierał się przez kolejne gęste zarośla, wiodąc mężczyzn po połaciach ciemnego boru. Deszcz szmeriał w nim ocierając się o liście wiekowych drzew, jakby szeptał, jakby wciąż mówił do kroczących jego ścieżkami

mężczyzn. Wszyscy byli przerażeni, a ich blade twarze niemal świeciły pośród cieni, rozświetlane niezliczoną ilością błysków wędrujących ponad nimi piorunów.

- Niech ojciec powie dokąd idziemy - odezwał się nagle jeden z mężczyzn. Panika odbierała mu pewność siebie sprawiając, że jego głos brzmiał żałośnie, niczym lament dziecka zdanego na łaskę rodziców.

Ksiądz jednak nie wiedział, gdzie biegnie. Chciał - po prostu - wybiec jak najdalej za wieś, udać się tam, gdzie przeklętych pakunków nikt nie znajdzie.

Nie pomyślał o tym, by je spalić. By niszczyć je w ogniu, a popiół rozrzucić. W czasie szaleńczego biegu przez ciemniejącą z każdą chwilą knieję, myślał tylko o jednym. O pogrzebaniu pokutnych szat widmowych, trędowatych pielgrzymów, zupełnie, jakby grzebał zmarłych. Gdy więc po kilkunastu minutach biegu w ostrym deszczu wyjrzał na leśną polanę i dalej - na ciągnący się za nią, wyjątkowo gęsty fragment lasu, gdzie drzewa i obrastający je bluszcz tworzyły prawdziwą roślinną ścianę - udał się tam niezwłocznie, nie odpowiadając na dociekliwe pytania kroczących za nim mężczyzn. W pośpiechu, jakby w jakikolwiek sposób miało to coś zmienić, przeszedł przez polanę i przedarł się przez kotarę z liści, gałęzi i bluszczu. Wybrał miejsce nieopodal wysokich, rozłożystych wierzb. Zziębnięty, rzucił trzy trzymane przez siebie worki na ziemię. W tym samym momencie dołączyli do niego dwaj mężczyźni.

- Kopać... - zaczął mówić próbując złapać oddech. - Trzeba wykopać... siedem grobów... - wskazał na worki, z których każdy skrywał czarne, śmierdzące rozkładem łachmany.

Dwaj mężczyźni, nie czekając długo, od razu rzucili się do pracy. W strugach coraz większego deszczu, przy akompaniamencie donośnych grzmotów brzmiących niczym pogrzebowe dzwony, kopali tak szybko, na ile pozwalały im drżące ręce. Ziemia pod ich stopami była wyjątkowo twarda. Wbijane w nią sztychy sprawiały wrażenie dziecięcych zabawek, nieznacznie szczerbiąc jej czarne pokłady. Kopane przez nich doły powiększały się jednak, mozolnie i z trudem. W tym samym czasie ksiądz składał modlitwy wznosząc oczy ku niebu. Z wyraźnym lękiem w głosie, wciąż nie mogąc złapać prawidłowego oddechu, szybko wypowiadał kolejne, łacińskie frazy. Mężczyźni nie wiedzieli, o co się modli. Ich znajomość łaciny ograniczała się tylko do

powtarzania *credo* podczas niedzielnych nabożeństw. Mieli jednak nadzieję, że cokolwiek pada z ust kapłana, jest silniejsze niż jakakolwiek modlitwa, którą znają.

Choć nie minęło więcej niż kilkanaście minut, w czasie których wykopali siedem grobów znacznej głębokości, im samym wydawało się, że w wyjątkowo gęstym lesie spędzili długie godziny. Niebo zdążyło pokryć się czernią chmur tworząc iluzję nocy, a deszcz przemienił się w ulewę.

- Nie ma chwili do stracenia - rzekł ksiądz widząc, że mężczyźni oparli się o sztychy łopat, pragnąc zaczerpnąć powietrza. Podeszedł do pakunków. Zdążyły nasiąknąć wodą do tego stopnia, że stały się niewyobrażalnie ciężkie. Próbując podnieść je z ziemi po raz kolejny odniósł wrażenie, że wypełnione są czymś więcej, niż tylko stertą łąchmanów. W ciągu jednej sekundy, w której zawahał się i postanowił, że każdy z nich po prostu przeciągnie po ziemi, a nie podniesie, ujrzał w myślach moment, jak otwiera kolejny wór patrząc z przerażeniem na znajdujące się w nim na wpół rozłożone ciała pielgrzymów. Momentalnie odsunął od siebie tę wizję. Nie miał zamiaru dawać się zwieść diablom, w jego mniemaniu, sprawkom.

Kolejne ciężkie worki łądowały w ciemnej ziemi z hukiem. Miały już nigdy nie ujrzeć światła dziennego. Podobnie jak cała historia z pochodem przeklętych pielgrzymów. Kapłan święcie w to wierzył. Wierzył w to w chwili, gdy pakunki zostały przykryte kolejnymi pokładami ziemi. Wierzył w to widząc spracowaną dwójkę mężczyzn, którzy ocierali pot i deszcz z czoła, gdy po raz ostatni uderzyli sztychem o muliste podłoże. Wierzył w to również wtedy, gdy surowo wzbronił im mówić komukolwiek o tym, co się tego dnia wydarzyło, gdzie byli i gdzie spoczywają jedyne dowody na to, że ta dziwna, odrażająca historia w ogóle miała miejsce.

- Więc wierzy ojciec w klątwę? - zapytał jeden z mężczyzn, gdy wracali w pośpiechu do wsi. - Wierzy ojciec w te wszystkie słowa, które powiedział ten trędowaty?

- Wierzę w to, że wszystkie złe intencje mogą się spełnić - odpowiedział po chwili namysłu. - Diabeł tylko czeka, aby wysłuchać takich bluźnierstw i pomóc w ich spełnieniu. Tym silniejsza powinna więc być nasza modlitwa, a nasze myśli powinny spoczywać jak najdalej od tego miejsca i tych wydarzeń - dodał spoglądając na każdego z

mężczyzn w bardzo wymowny sposób. Po raz kolejny próbując uświadomić im, że nikt nigdy nie powinien, choćby w pokątnych szeptach, dowiedzieć się o wszystkim w czym brali udział.

Kapłan, choć sam pouczał swoich wiernych o nie poddawaniu się złym myślom i zawierzaniu wszystkiego w ręce Bogach, spoglądając za siebie, na ciemny, gęsty gaj, w którym znajdowało się siedem poświęconych naprędce grobów, pomyślał, że jeszcze nigdy nie czuł w duszy tak wielkiego i tak dewastującego osamotnienia.

2019

ROZDZIAŁ XII

Wereszczuk skończył czytać zapiski o klątwie pielgrzymów. Po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo w nią nie wierzy. Zawsze uznawał ją za bzdurę. Zwykłą wiejską opowiastkę, którą można straszyć małe dzieci i panny na wydaniu w czasie długich, letnich wieczorów przy ognisku. Nie mógł również uwierzyć w to, jak łatwo stary Surzewski dał się zbałamucić swojemu drugiemu, wewnętrznemu głosowi, który tę wątpliwej natury legendę podniósł do rangi arcyważnego wydarzenia. Zupełnie, jakby całe życie Surzewskiego miało toczyć się wokół tej sprawy.

Prawda, jaką znał Wereszczuk, była o wiele bardziej prosta i оголоcona z niewyjaśnionych, paranormalnych zdarzeń. Jak się domyślał, siedem tajemniczych grobów znajdujących się obecnie na starym cmentarzu daleko poza obrębem wsi, było po prostu pierwszymi spośród wielu mogił zmarłych na cholere ludzi, o których zwyczajnie, przez lata, zapomniano. Choroba dotarła do Siedlan ledwie miesiąc po rzekomej wizycie przeklętych pielgrzymów. Kolejni umierający mieszkańcy stali się więc dla innych żywym - o zgrozo! - dowodem na prawdziwość rzuconej na nich klątwy. Miejsce pochówku piechurów przestało być tajemnicą. Stało się dogodną lokalizacją do stworzenia nowego, odpowiednio oddalonego od miasta cmentarzyska, gdzie składano ciała Wielkiego Pomoru, jak zaczęli określać cholere mieszkańcy. Istnienie klątwy podsyczał jeszcze jeden fakt. Większość zmarłych tamtego lata osób stanowiły dzieci. Siedlany, do tamtej pory tętniące życiem, pełne śmiechu i wiecznie uradowanych dzieci, zmieniły się w zastygłą wieś starców i ludzi w sile wieku, którzy zmęczeni chorobą, zbijaniem kolejnych trumien i chowaniem kolejnych

ciał, zapuścili swe pola do tego stopnia, że na wieś spadł głód. Tak wielki, jakiego żaden z jej mieszkańców nigdy nie uświadczył.

- Psia mać! - zaklął Wereszczuk głośno i wyraźnie wypowiadając kolejne słowa. Nie znosił przeklinać. Nigdy tego nie robił. Nie potrafił jednak inaczej zareagować na wspomnienie sprzed niemal dwudziestu lat, gdy Surzewski najpierw uśmiercił dziecko Aurelii Malewskiej z pewnością rozpamiętując słowa o powrocie klątwy, gdy tylko niewierna pocznie w ich wsi dziecko, a później wsią wstrząsnęła fala nagłych śmierci wśród najmłodszych i klęska nieurodzaju. Legenda nie tylko utrzymała się w ten sposób. Stała się mocniejsza i z każdym dniem, z każdym kolejnym jej wspomnieniem, wbijała się w myśli mieszkańców sprawiając, że zaczęli odwracać się od Kościoła.

Wereszczuk nie potrafił przemówić im do rozsądku. Słowa o tym, że w rejonie przechodziła fala epidemii odry, że nieurodzaj spowodowany jest największą od kilkudziesięciu lat suszą, nic nie dawały. Niemal wszyscy byli przekonani, że to sprawka Aurelii Malewskiej.

- Malewska, jak się powiesiła na drzewie, to tylko otwarła bramy dla tej klątwy, co ją Surzewski chciał raz na zawsze pokonać - usłyszał kiedyś od jednego z parafian w czasie spowiedzi. - Tu nigdy nie może postać noga niewiernego! Ta ziemia będzie brodzić we krwi, jeżeli tu choćby kto taki postanie, a jakby tu się miał jaki bachor niewierny narodzić - sługus śmierci, jako i tamci pielgrzymi byli - to z pewnością, tym razem, będzie to nasz koniec!

To był ostatni raz, gdy Radzymiński przyszedł do kościoła. Od tamtego czasu, wspólnie z Tochmanem, żyli tylko tym. Można było mieć pewność, że jeżeli nie pracują w polu i nie zasiadają przy domu Seweriusza na długich pogawędkach, to chodzą na stary cmentarz choleryków.

- Czort wie po co... - szepnął pod nosem Wereszczuk i od razu przeprosił Boga za przywołanie nie tego, kogo trzeba.

Rzucił notes na biurko i przetarł zmęczone oczy. Było już bardzo późno, noc stawała się gęsta od smolistych cieni, a ulewny deszcz ani myślał się skończyć.

Wereszczuk westchnął ciężko. Przeciągnął się w fotelu zastanawiając się, co zrobić, by nie doszło do jakichkolwiek złych wydarzeń. Zdążył już usłyszeć, że we wsi pojawiła się nowa osoba.

Kobieta. Młoda, wyraźnie z miasta. W dodatku była w ciąży. Co gorsza, zamieszkała w dawnym domu Surzewskiego. W miejscu, gdzie jeszcze przed kilkoma miesiącami gromadzili się na pijatykach Radzymiński, Tochman i zgraja ich znajomków, dopóki na dobre nie przegoniła ich ekipa budowlana. Nie zmieniało to jednak sprawy, że jakakolwiek kobieta w ciąży, która zjawiała się w Siedlanach, wzbudzała w mieszkańcach nie tyle zaciekawienie, co wrogość. Stwierdził, że choć nie chce wystraszyć nowoprzybyłej, pójdzie do niej z samego rana. Wypyta delikatnie o wszystko, napomknie o zdecydowanie dziwnym nastawieniu mieszkańców.

- Bo wie pani, mieszkańcy mają w zwyczaju mordowanie ciężarnych, niewierzących kobiet - powiedział półgłosem próbując w sobie tylko wiadomy sposób poprawić nastrój wyraźnie głupkowskim żartem, improwizując mającą się odbyć rozmowę. Nie podziałało.

- Chryste dopomóż - po raz kolejny z jego ust uleciało błaganie. Zaczął się modlić, jednak nie potrafił poskładać myśli. Czuł się bezsilny. Pozostawiony sam sobie. Sam przeciwko zgrai fanatyków wierzących w liczącą ponad sto lat klątwę.

Wstał i chwiejnym krokiem przeszedł przez mały pokój. Choć wzrok już zaczynał mu się rozdwajać, otworzył jedną z szafek w starej, lakierowanej meblościance. Po chwili w jego dłoni spoczęła nowa, nieotwarta jeszcze butelka koniaku.

Zasiadając w fotelu i nalewając sobie kolejną, okazałą porcję alkoholu miał tylko nadzieję, że do rana wytrzeźwieje.

ROZDZIAŁ XIII

Wychodząc spod prysznic nie myślała o niczym, jak tylko o tym, jak bardzo fatalny był to dzień. Gorąca woda, która miała pomóc jej zmyć z siebie jego ciężar nie spełniła swojego zadania. Spłukując z Weroniki pot i pianę orzeźwiającego peelingu tylko rozbudziła ją sprawiając, że myśli o wszystkich wydarzeniach minionych godzin jeszcze mocniej utknęły jej w głowie.

Stanęła przed lustrem i kilkoma szybkimi ruchami dłonią pozbyła się zalegającej na nim pary. Spojrzała głęboko w zwierciadlaną taflę. Potrząsnęła głową, odwróciła wzrok, szybko wytarła się i przebrała w luźną, białą piżamę z nadrukowanym sercem w miejscu ciężowego brzuszka. Czuła się zupełnie nieswojo. Zagubiona gdzieś w świecie własnych myśli zapomniała nawet o swoim codziennym, wieczornym rytuale - oglądaniu całego ciała, zachodzących w nim zmian, i celebracji krągłego brzucha z największym skarbem, jaki posiadała. Tym razem ograniczyła się tylko do przelotnego nań spojrzenia, pobieżnego umycia zębów, nałożenia na ręce kremu przeciw wyschniętej skórze.

Zrobiło jej się słabo. Poczowała zawroty głowy. Opierając się najpierw o umywalkę, później o niewielką szafkę, przeszła kilka kroków w kierunku sedesu. Usiadła i głęboko westchnęła. Zamknęła oczy skupiając się na prawidłowym oddychaniu. Położyła obydwie dłonie na brzuchu i zaczęła go gładzić, jakby przeczuwała, że lada chwila poczuje kolejne, niezbyt mocne kopnięcie.

Tego dnia, po raz pierwszy od bardzo dawna, naprawdę się bała. Poczowała strach podobny do tego, jaki kiedyś - gdy była dzieckiem - zbudzał w niej ojciec. Wiele razy przekonała się o jego apodyktycznym usposobieniu i silnej, nie znającej umiaru ręce, która nie raz zostawiła jej ślady na ciele. Tymczasem dziś ktoś o niemal idealnej aparycji ojca przyszedł z samego rana sprawiając, że serce, razem ze wszystkimi

wnętrznosciami, podeszło jej do gardła. Ksiądz, którego zastała w drzwiach swojego nowego domu był przerażający. Nie w kategoriach wyglądu, lecz tego, jaką aurę wokół siebie roztaczał.

- Ale wyglądał na ochlejmordę, bez dwóch zdań - powiedziała do siebie wspominając jego zaczerwienione lico i przekrwione oczy. Sprawiał wrażenie nie kapłana, lecz bandyty, który ledwo co wyszedł na wolność.

Spotkanie z nim było cholernie niepokojącym doświadczeniem. Począwszy od zbyt wczesnej, jak na zwykłą, kapłańską wizytę godziny, poprzez sam jej przebieg i dziwne spojrzenia, aż po zupełnie irracjonalny koniec, kiedy Weronika poczuła prawdziwy strach. Gdy ksiądz spojrzał na nią wrogim, pełnym nienawiści wzrokiem, miała ochotę trzasnąć drzwiami, zaryglować je i ściskając kuchenny nóż w dłoniach czekać na Adriana. Nie zrobiła tego wyłącznie z jednego powodu - strach zupełnie ją sparaliżował. Zawsze myślała, że rodzący się w kobiecie, wraz z kolejnymi miesiącami ciąży, instynkt macierzyński pomaga w trudnych chwilach generując dodatkową porcję adrenaliny, ułatwiając podejmowanie szybkich działań w obronie dziecka. Tymczasem znajdując się w tak trudnej, nietypowej i poniekąd niebezpiecznej sytuacji, stała tylko, trzymała drzwi i niemrawo wpatrywała się w sylwetkę osoby, która powodowała, że dyskomfort psychiczny jaki czuła był oszałamiający.

Otworzyła oczy i powoli, wciąż powtarzając serie głębokich wdechów i wydechów, wstała z sedesu i powtórnie podeszła do lustra. Spojrzała na swoje złężnione, przemęczone oblicze i westchnęła.

W takich chwilach cieszyła się, że ma u boku Adriana. Był jedynym od dawna facetem, przy którym czuła się zarówno bezpiecznie, jak i pewnie.

- Kochany Adi - powiedziała pod nosem uśmiechając się lekko. W duszy dziękowała mu po stokroć, że zechciał zostać w Siedlanach. Zaopiekować się nią i mającym przyjść na świat dzieckiem.

Kiedy tylko przyjechał z walizką pełną swoich rzeczy i kilkoma torbami wypełnionymi jedzeniem, od razu rzuciła mu się na szyję. Nie zdążył wejść do domu, kiedy w nerwach opowiadała mu o dziwnym wydarzeniu z księdzem, o swoim strachu, o tym, że po raz kolejny czuła się potwornie. On ją pocieszał, tulił, mówił, że wszystko będzie dobrze.

Przekonał ją do tego, by nie wracała do miasta. By dała sobie czas na zaaklimatyzowanie się, oswojenie z nowym otoczeniem, przywyknięcie do innych, niż miastowe, realiów.

- Pragnęłaś tego, głupia - powiedziała patrząc w lustro.

Adrian miał w tej kwestii stuprocentową rację. O ile próbował ją odwieść od pomysłu przeprowadzki z powodu ciąży i obaw o odpowiednią opiekę prenatalną, o tyle pod kątem przeprowadzki, jako nowego rozdziału w życiu i świeżego startu, był w zupełności przekonany, że może to jej wyjść wyłącznie na dobre.

Weronika od zawsze marzyła o wyrwaniu się z miasta. Z huku, który przypominał jej o dawnych problemach. Z otoczenia, które kojarzyła w znacznie mierze poprzez pryzmat złych lub bardzo złych momentów swojego życia.

- Jeszcze jeden rok lub dwa takie wspaniałe lata, a stać mnie będzie na dom - powiedziała kiedyś do siebie, gdy otrzymywała pierwsze transze za sprzedane książki. Nie była zatrudniona na kontrakcie, otrzymując wynagrodzenie od każdego sprzedanego egzemplarza. W tamtym okresie umiejętne zastosowanie mediów społecznościowych zrobiło prawdziwe cuda. Jej pierwsza powieść sprzedawała się w setkach egzemplarzy dziennie. Po tygodniu otrzymała od wydawcy pierwszą informację o dodruku. Po miesiącu kolejną. W ciągu trzech miesięcy sprzedało się łącznie ponad siedemdziesiąt tysięcy egzemplarzy jej powieści. Wskoczyła na listy top we wszystkich sieciach księgarskich i sklepach internetowych w całym kraju. Literacki świat stanął przed nią otworem.

Teraz jednak, gdy książki sprzedawały się praktycznie same - na fali popularności jej nazwiska - najbardziej przejmowała się tylko dzieckiem i tym, by stworzyć sobie swój wymarzony, mały świat, o jakim zawsze marzyła. Dom już miała i z pewnością - jak podkreślał Adrian - musiała się do wszystkiego przyzwyczaić.

- Jeżeli to się nie zmieni, to po prostu go sprzedasz - powiedział do niej, gdy tuliła się do niego po obiedzie, po raz kolejny mówiąc o swych lękach. - Zobaczysz, czy będzie ci tu dobrze, czy się zaaklimatyzujesz. Poczekaj do porodu, niech dziecko podrośnie, a jeżeli sytuacja się nie zmieni, to poszukasz czegoś bliżej miasta. We wszystkim ci przecież pomogę.

Weronika uśmiechnęła się po raz kolejny na wspomnienie miłych słów Adriana. Z każdą kolejną chwilą coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Adrian po prostu jest jej pisany. Idealny współnik, idealny przyjaciel, idealny mąż - pomyślała wyliczając dodatkowo wszystkie jego zalety.

Po raz kolejny spojrzała w lustro. Jej własne odbicie wydawało się teraz nieco bardziej pogodne. Nie było już na nim tego charakterystycznego lęku i duszącego jej naturalne piękno strachu.

Ubierając szlafrok i kierując się w stronę wyjścia z łazienki pomyślała, że Adrian musi być po prostu jej.

Idealny facet.

Idealny mąż.

* * *

- Co za głupia idiotka! - pomyślał Adrian przygotowując Weronice filiżankę melisy. Nie wiedział, czy to ciąża, czy przybycie do nowego miejsca tak na nią wpływało, jednak w bardzo szybkim tempie stawała się pozbawioną choć odrobiny racjonalności trzęsidupą.

Westchnął słysząc przez cieką ścianę kuchni, jak wchodzi pod prysznic. Miał nadzieję, że jej wieczorna toaleta da mu przynajmniej kilkanaście minut spokoju i czasu na przemyślenia.

Cały mijający dzień wydawał się jedną, wielką farsą. Potworną groteską pełną tak bardzo teatralnych zachowań i wydarzeń, że można by było pomyśleć o nim jak o kiepskim żarcie scenarzysty podrzędnego sitcomu. Gdy tylko przyjechał do Siedlan z zakupami, Weronika od razu rzuciła się na niego, tuląc tak mocno, jakby - dosłownie - chciała wydusić z niego życie. Przez łzy opowiedziała mu o wizycie księdza.

- Jaki to był odrażający typ! Strasznie się go bałam! Tak bardzo! Czuję, że patrzy na dziecko! - wrzeszczała łkając i prosząc, by jej nie opuszczał.

Adrian nie dawał wiary wszystkim słowom kobiety. Używając bardzo racjonalnych argumentów wytłumaczył jej, że nic, cokolwiek się stało, nie było odbiegające od wiejskiej normy.

- Przyszedł przed siódmą. To wcale nie jest wczesna pora. O tej godzinie większość mieszkańców już pewnie od dawna jest w polu. Dla nich to normalne - mówił do niej głaszcząc jej zapłakane policzki. - To,

że nie wyglądał jak miejscowy Shon Connery nie znaczy, że od razu musiałaś poczuć się niekomfortowo. Sama w swoich książkach piszesz, żeby nikogo nie oceniać na pierwszy rzut oka, a zrobiłaś dokładnie odwrotnie. Może i był trochę nachalny z tą propozycją wejścia na kawę, ale to wieś. Tu się po prostu tak żyje. Wszyscy znają wszystkich. Domy dosłownie stoją otworem.

- A jego zachowanie na końcu rozmowy? Jego wściekła twarz, kiedy powiedziałam, że nie chodzę do kościoła?

- Dziwi cię to? Ojczulek pewnie myślał, że będzie miał kolejną owieczkę w swoim wiejskim stadzie, a ty bardzo szybko pozbawiłaś go złudzeń. Pewnie to nie była wściekłość, a jakaś, no nie wiem, forma zasmucenia? Rety, po prostu przesadzasz...

Adrian przewertował całą ich poranną rozmowę. Słowo po słowie. Minutę po minucie. I choć udało mu się w tym czasie uspokoić nieco Weronikę, sprawić, żeby przestała łkać i zachowywać się jak roztrzęsione dziecko, to wciąż miał problem z przywróceniem jej dobrze mu znanego ładu psychicznego. Była też jedna kwestia, która zaintrygowała jego samego. Weronika, co do jednego, z pewnością miała rację. Furtka, przez którą wszedł ksiądz, była zamknięta. Tymczasem, kiedy powrócił z miasta zobaczył, że zamek w niej jej częściowo wyłamany, jakby ktoś długi czas mocował się z nim i w końcu - po wielu próbach - użył siły, aby wejść na ogród.

Weronika zwróciła mu na to uwagę, a on nie potrafił znaleźć rozsądnego wytłumaczenia. Obiecał jej jednak, że pójdzie do księdza i wyjaśni z nim tę sprawę.

- Ale jutro! Z samego rana! Dziś chcę mieć cię przy sobie! - powiedziała wtedy kobieta i po raz kolejny wpadła mu w ramiona.

Woda w łazience przestała się łać. Adrian słyszał, jak Weronika otwiera drzwi od kabiny i wychodzi z niej rozchlapując wodę po płytkach.

- Jak ja cię nienawidzę - syknął pod nosem zwracając się w kierunku ściany, za którą była łazienka. Starał się grać najlepiej jak tylko potrafił. Być tym samym, miłym, ciepłym, przyjacielskim Adrianem, którego znała. Stawać się coraz bardziej czułym, opiekuńczym. Udowodniać jej, że powinna zainteresować się nim w większym, niż przyjacielskim, wymiarze. Jednak ta gra pozorów, teatr słów, gestów, uczuć, był nie

tylko niezwykle wymagający. Sprawiał mu realny ból. Tulić czule kobietę, która była odpowiedzialna za śmierć jego siostry. Głaskać po włosach, ocierać łzy, mówić same ładne rzeczy w kierunku osoby, jaka jeszcze kilka lat temu sama nie знаła słowa „współczucie”. Ilekroć patrzył w jej oczy, ilekroć gładził ją po ręce, składał mały pocałunek na policzku bądź czole, tyle razy miał ochotę ją zabić. Skończyć z tym przedstawieniem. Zetrzeć w proch cały swój misternie uknuty plan mający doprowadzić Weronikę na skraj rozpacz i powieźć ją prosto w otchłań śmierci. Pragnął ukatrupić ją od razu. Dokonać tego, co chciał zrobić pierwotnie jeszcze gdy jego siostra żyła. Jednak zawsze w chwili, gdy bliski był tego, aby najzwyczajniej w świecie rzucić się na Weronikę, uderzyć jej głową o ścianę, dusić do nieprzytomności, jego umysł przeszywały myśli, że to zbyt szybka śmierć. Zbyt gwałtowna. Zbyt chaotyczna.

- Będiesz cierpiała. Długo. Bardzo długo - syknął przez zaciśnięte zęby.

Spojrzał na stół. Melisa już dawno zdążyła się zaparzyć. Podeszedł do filiżanki i wyciągnął z niej napęczniałą torebkę. Wziął naczynie w dłoń, zgasił małą jarzeniówkę świecącą ponad blatem, i wyszedł z kuchni w tym samym momencie, w którym Weronika otworzyła drzwi do łazienki. Znow musiał przybrać teatralną, pełną zatroskania minę.

- Jak się czuje moja primadonna polskiej literatury?

- Już trochę lepiej - odparła kobieta stonowanym głosem, po czym przeszła dwa kroki i pocałowała go lekko w policzek.

- O, a to za co? - zapytał. Udawał zdziwionego i przyjemnie zaskoczonego. Wiedział jednak, że prędzej czy później ukradkowe pocałunki zmieniają się w coraz częstsze epatowanie silnymi uczuciami.

- Za to, że jesteś.

- A za to, że nigdzie się nie wybieram? - zapytał nadstawiając drugi policzek.

Weronika uśmiechnęła się. Jej twarz była rozpromieniona. Skierowała swoje wargi, by ucałować twarz Adriana. Ten jednak, szybkim ruchem, zmienił pozycję sprawiając, że ich usta zetknęły się w małym, delikatnym pocałunku.

- Tego się nie spodziewałam - odparła kobieta, gdy spojrzeli sobie prosto w oczy namiętym wzrokiem.

Adrian pocałował ją jeszcze raz. Wiedział, że taka okazja do zbudowania głębszej więzi może się szybko nie powtórzyć. Przełożył trzymaną przez siebie filiżankę z melisą z jednej ręki do drugiej, po czym delikatnie wsunął dłoń we włosy Weroniki. Całował ją jeszcze chwilę, gładząc po głowie delikatnie i spokojnie.

- Choć na górę. Zrobię tylko coś jeszcze i do ciebie dołączę - wyszeptał jej do ucha.

Weronika posłusznie, obdarzając Adriana wzrokiem, w którym nie dało się zamknąć większej porcji erotycznego naładowania, weszła po schodach biorąc od niego filiżankę z napojem.

- Będę czekać - powiedziała z wyraźną nadzieją w głosie.

W tym momencie Adrian wiedział, że Weronika jest już jego i z pewnością od ostatecznego spełnienia dzieliła ich tylko krótka chwila.

- Przez strach do łóżka - powiedział w myślach żartobliwie stwierdzając, że zachowanie Weroniki potwierdza odwieczną prawdę. Wystraszona kobieta, która widzi psychiczne i fizyczne wsparcie w jakimś mężczyźnie, prędzej czy później wyląduje z nim w łóżku.

- Zaraz przyjdę. Czekać na mnie grzecznie - odprowadził ją wzrokiem dopóki nie zniknęła za winklem na piętrze. Dopiero wtedy odetchnął głęboko, ściągnął z twarzy wymuszony uśmiech i błogi wygląd, wszedł do kuchni po raz kolejny i przemyślał wszystko raz jeszcze.

Na sex z Weroniką musiał przygotować się przede wszystkim psychicznie. Sama myśl o tym, że będzie posuwał kogoś takiego sprawiała, że zbierało mu się na wymioty. Wiedział jednak, że musi to zrobić. Było to przecież częścią jego misternego planu.

Nagle usłyszał dziwny szmer. Coś szurało po podłodze w przedpokoju. Zamarł w bezruchu, wstrzymując oddech. W jednym momencie wszystkie jego zmysły wyostriły się. Po chwili nasłuchiwania wypadł z kuchni jak opętany rozglądając się po wąskim korytarzyku tuż przy drzwiach. Nikogo tam jednak nie było. Na podłodze natomiast leżała zgięta w pół kartka, odznaczająca się swoim białym kolorem pośród cieni pomieszczenia.

Adrian natychmiast podbiegł do drzwi. Kilkoma szybkimi ruchami otworzył wszystkie zamki i wyjrzał w czarną przestrzeń wiejskiej nocy. Wszędzie było cholernie ciemno. Księżyc nie rozświetlał swoją poświatą

krajobrazu, a przy głównej drodze dwie stare, marne lampy uliczne nie paliły się. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, była tylko smolista czerń rozpraszana przez nieznaczną lunę padającą z wnętrza domu. Adrian wertował wzrokiem każdy skrawek ciemności. Czekał długi czas, aby zobaczyć, czy ktoś poruszy się czy to na ogrodzie, czy też tuż za bramą. Nie dostrzegł nikogo ani niczego.

Cisza i czerń nocy.

- Adi? - usłyszał głos Weroniki dobiegający z piętra. - Co się dzieje?

- Nic takiego, sprawdzam czy wszystko zamknąłem - skłamał zatraskując drzwi i ostentacyjnie, z przesadnym hałasem, blokując kolejne zamki i zakładając mały łańcuch. Wyjrzał przez judasza, jakby licząc, że przez małe szkiełko w cudowny sposób dostrzeże więcej, niż przed kilkoma sekundami, gdy stał na zewnątrz.

Zerknął pod nogi, gdzie leżała tajemnicza kartka. Patrzył na nią ze zdziwieniem i niepokojem. Schylił się i podniósł ją, po czym bez namysłu otworzył.

Kawałek papieru skrywał tylko jedno, napisane koślawymi literami słowo.

„Uciekajcie!”.

- Pieprzeni wieśniacy! - syknął pod nosem, po czym zaczął drzeć kartę na coraz mniejsze kawałki. - Banda tępych pastuchów! - powiedział nieco głośniej. Nagle zaczął wierzyć w dziwne zachowanie kapłana, o którym powiedziała mu Weronika. Nie próbował już - nawet sam przed sobą - udawać i wyjaśniać każdego, dziwnego zachowania, z którym mieli do czynienia ze strony postronnych. Był nie tyle wystraszony, co wzburzony. Przez jego myśli zaczęły przewijać się wizje coraz bardziej nasycone agresją.

- Zatłukę sukinsyna! - powiedział z wyraźną wrogością w głosie, gdy wyrzucał kawałki papieru do kosza. Domyślał się, że to sprawka nikogo innego, jak księdza, który rano odwiedził Weronikę. Najwyraźniej naprawdę nie życzył sobie w swojej wsi nikogo, kto nie chodzi do kościoła. Tym razem jednak, włamując się na ich teren, zostawiając kartkę z groźbą pod ich drzwiami, przesadził. - Rozłupię tę twoją nalaną gębę! - syknął nie mogąc się opanować.

- Idziesz Adi? - usłyszał po raz kolejny głos Weroniki.

- Już biegnę! - odparł starając opanować drżenie w głosie. Nie mógł wyglądać na wzburzonego. Nie mógł pozwolić sobie na to, by zaczęły targać nim nerwy. Odetchnął głęboko kilka razy, poklepał się po twarzy, po czym - znów nakładając wymuszony, teatralny uśmiech - zaczął wchodzić na górę. Gdy stanął w progu sypialni Weroniki, kobieta była już naga. Leżała na łóżku w lubieżnej pozie wyrażającej tylko jedno pragnienie.

Adrian wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Wyglądało na to, że czeka go bardzo intensywna praca.

ROZDZIAŁ XIV

Radzymiński i Tochman kierowali się w stronę cmentarza choleryków. Drogę wśród poskręcanych, powyginanych konarów i krzewów oświetlali sobie tylko jedną, starą latarką rzucającą mdłe, pomarańczowe światło. Strumień światła co chwilę nikał co sprawiało, że brzęcząca od czasu do czasu latarka dostawała solidne uderzenie od trzymającego ją Seweriusza. Za każdym razem, kiedy nocną porą wybierali się do najbardziej przekłętego miejsca jakie znali, słusznie mówili między sobą, że „od razu słysząc, że ciąży na nim klątwa”. W tym pokrętnym stwierdzeniu zawierało się spostrzeżenie, iż nigdy jeszcze nie słyszeli, by jakiegokolwiek miejsce – jakiegokolwiek las, gaj, bór czy cokolwiek, gdzie mogą żyć nieprzebrane ilości zwierząt – było tak ciche. Do bólu martwe. Uderzające absolutną dźwiękową pustką tak cichą, że bez najmniejszego wysiłku można było w niej usłyszeć bicie własnego serca, a każdy szept zdawał się unoszącym w przestworza krzykiem. Nie inaczej było i tym razem, gdy znaleźli się na polanie, za którą mieściła się stara, cmentarna brama. Choć wsłuchiwali się uważnie, jak czynili to za każdym razem, nie mogli usłyszeć niczego prócz własnych oddechów i kroków wśród wysokich traw. W powietrzu nie unosiły się piski nocnych ptaków, nie było sowych pohukiwań i dźwięcznego koncertu cykad. W trawie nie buszowały jeże ani zające. Wszystko wskazywało, że nawet zwierzęta nie są tak głupie, by zakłócać swoją obecnością przekłętą ziemię, która widziała nic innego, prócz śmierci.

- Nadchodzi Boże Ciało - zaczął Tochman, gdy zbliżyli się cmentarnej bramy i z niemałym trudem i piskiem zawiasów otworzyli ją rozwierając na oścież jej skrzydła. - Trzeba wszystko przygotować tak, by tym razem nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, czy się uda.

- I uważasz, że to zadziała? Tak jak mówił Surzewski? - sepleniący Radzymiński wszedł pierwszy na teren nekropoli. Począł, aż dołączy do niego Tochman. Nie miał zamiaru wędrować w samotności pomiędzy starymi grobami.

- Krew niewiernej przełamie klątwę. Zniszczy ją raz na zawsze. Złe duchy zostaną pokonane tylko wtedy, kiedy ujrzą, że ich pobratymcy giną z rąk bogobojnych.

- Czyli to nie przypadek, że ta nowa pojawiła się tutaj zaraz przed świętem?

- Wolę myśleć, że niebiosa zesłały nam znak. Po latach męki wystawiają nas na ostatnią próbę. Jeżeli wypełnimy to, co miał wypełnić Surzewski, w Siedlanach zapanuje w końcu spokój i dobrobyt.

Przeszli kilkanaście metrów lawirując pomiędzy grobami. Ani razu nie spojrzeli w stronę siedmiu mogił, w których - w co wierzyli, podobnie jak Surzewski - spoczywają czarne jak noc łachmany pielgrzymów, którzy rzucili na nich klątwę.

Po kilku kolejnych metrach znaleźli się ostatecznie pod ścianą drzew wyznaczającą koniec cmentarza. To tutaj, w niepoświęconej ziemi, wciąż znajdował się odnawiany przez nich każdego roku dół, do którego Surzewski wrzucił dziecko Aurelii Malewskiej.

- Gdyby wtedy mu się udało... - westchnął Tochman, jakby z nostalgią wspominał starego kościelnego. - Do dziś nie wiem, jakim cudem ta przygłupia baba znalazła dół i zdołała wykopać ciało bachora.

- Mnie zawsze o wiele bardziej ciekawiło, gdzie była i co robiła przez ponad miesiąc od zniknięcia - Radzymiński uważał, że Malewska musiała chować się w jakiejś jamie, albo w dziczy, w lesie daleko poza wsią, gdzie nikt nie mógł jej znaleźć. - Może gdyby zniknęła raz na zawsze już wtedy, klątwa by się nie odnowiła.

- Ale zjawiała się. I, psia mać, zabiła na kościelnym dziedzińcu! - Tochman niemal krzyknął. - Pomyśl, jak tak wielkie bluźnierstwo umocniło klątwę! Ona z nas zakpiła!

Radzymiński nie potrafił się nie zgodzić. To, co stało się niemal dwadzieścia lat temu dokładnie w Boże Ciało, przekreśliło na zawsze spokój w ich wsi. Po raz kolejny dotknął ich Wielki Pomór. Po raz kolejny ziemia stała się jałowa, a na Siedlany spadł głód.

Tochman oddał latarkę Radzymińskiemu. Sam zrzucił torbę, którą miał przełożoną przez ramię i schylił się w jej kierunku. Otworzył ją i zaczął wyciągać po kolei niezbędne, w jego mniemaniu, rzeczy. Miały im pomóc poradzić sobie z problemem nie tylko raz na zawsze. Przede wszystkim miały sprawić, że błąd popełniony przez Surzewskiego już się nie powtórzy.

- Zdażyłeś już ją zrobić? - zapytał Radzymiński widząc, co Tochman przyniósł ze sobą.

- Nie będę zwlekał do ostatniej chwili - odparł Seweriusz wskazując znajomemu, by skierował światło latarki na stojące przed nimi drzewo. Chwilę później przez jeden z grubych, wiszących nieco ponad trzy metry nad ziemią konarów dębu, zwisał sznur. Na jednym z jego końców dyndała fachowo zawiązana pętla. - Tym razem nie będzie pomyłki.

Obaj mężczyźni skierowali swój wzrok na pętlę. W blasku migoczącej latarki wydawała się złowieszczym reliktem z dawnych, o wiele gorszych czasów. Oni zaś widzieli w niej tylko jedno. Prawdziwe wybawienie.

* * *

Zgromadzili się przy bramie prowadzącej na nekropolię. Wszyscy ubrani byli w stare, brunatne szaty wyglądające niczym łachmany. Twarze zasłonili dziwnymi niby maskami zrobionymi z suchych gałęzi. W mdłym, pomarańczowym świetle trzymany przez siebie lampionów wyglądali jak podrzędna trupa aktorska oczekująca potulnie, aż ktoś zlituje się i ich zatrudni. Byli jednak przekonani, że tak właśnie trzeba. Stojąc w miejscu przeklętym, będąc w bezpośrednim sąsiedztwie obarczonych klątwą mogił, pokutny strój miał im zapewnić bezpieczeństwo. Część ze zgromadzonych tam ludzi święcie w to wierzyła. Inni z kolei twierdzili, że to tylko pozorna pomoc, a cała ich niedola może zostać rozwiązana w jeden, bardzo określony sposób.

Poprzez rytuał.

Mieszkańcy Siedlan, pokornie idący za słowami ich mentora - Seweriusza Tochmana - gotowi byli do najgorszych czynów, byle tylko na powrót zaznać choć odrobiny szczęśliwości. Nie pierwszy raz więc spotykali się na nocnym zgromadzeniu, by w miejscu, w którym kiedyś

miało zakończyć się ich cierpienie, wysłuchać, co ma on do powiedzenia. Wielu z nich jeszcze do niedawna regularnie uczęszczało na mszę świętą i nie widziało innej drogi wiodącej do radości, jak tej głoszonej przez Stanisława Wereszczuka. Byli wśród nich jednak i tacy, którzy już dawno opuścili kościelną wspólnotę. Którzy, popadając w coraz większą bezradność, apatię i traumę, odwrócili się plecami od prałata i głoszonych przez niego nauk, szukając ukojenia i sposobu na odnalezienie spokoju ducha w osobie Tochmana.

- Niewierząca i jej bękart to słudzy samej śmierci - ktoś ze zgromadzonych zaczął nagle przemawiać, a reszta, jak na zawołanie, uciszyła się w jednej chwili. - Szatan działa zupełnie tak samo, jak dwadzieścia lat temu, gdy Malewska, tfu, bezbożnica poczęła dziecko. Nie inaczej jak klątwą, która ciąży nad Siedlanami, można to wyjaśnić. Nie inaczej, jak przez fakt, że wypowiedziane onegdaj słowa, które przekłęły wszystkie nasze rodziny, mają swój obraz w konkretnych osobach. Tak samo jak i Jezus kroczył ze swymi uczniami po ziemi, tak i diabeł i śmierć objawiają się wędrując pomiędzy ludźmi. A spośród wszystkich form, jakie mogą przybrać, najgorszą i najbardziej plugawą jest, gdy z niewierzącej ma narodzić się dziecko. Bękart powołany na świat na świętej ziemi, pośród pobożnych i bogobojnych osób. I za każdym razem, gdy tak się dzieje, na naszą ziemię spadają nieszczęścia, a w naszych sercach pojawia się trwoga. Bramy śmierci otwierają się na oścież, a kolejne mogiły, jedna za drugą, wypełniają się ciałami bezbronnych i niewinnych. Tak było dwie dekady temu, gdy my wszyscy utraciliśmy bliskich i gdy nasze pola, jako i dusze nasze, zmieniły się w ugór. Jałową ziemię dla której nie ma ratunku. Jednakże i teraz przychodzi nam się zmierzyć z czortem, który ponownie zagościł w naszej wsi. Który po raz kolejny przypuścił atak, by do reszty zgładzić nas i naszą wiarę.

Seweriusz Tochman dawał popis swych oratorskich zdolności. Jako mówca czuł się wyśmienicie za każdym razem. gdy przemawiał do idących za jego słowami osób. Kończąc każdy swój monolog otwierał szeroko oczy, by wpatrywać się w twarze ludzi, którzy tylko w nim, nie zaś w lokalnym księdzu, widzieli drogę wyjścia z opresji i przewyciężenia wszelkiego zła. Podobnie było i teraz, gdy stara nekropola była świadkiem spotkania mającego przypieczętować los nowoprzybyłej do wsi kobiety.

- Śmierć kobiecie i jej dziecku!
- Trzeba wypełnić rytuał!
- Odwrócimy klątwę!

Padające z tłumu kilkudziesięciu osób krzyki nie słabły. Wsłuchujący się w nie Seweriusz wiedział, że ludzie są podjudzeni i gotowi do działania.

- Ciało niewiernej i jej bękarta wypełni starą mogiłę - odrzekł po chwili. - Niechaj więc każdy się przygotowuje, bowiem jutro, w dzień Bożego Ciała, dokładnie w dwadzieścia lat po tym, jak nasze życia obróciły się w koszmar, wypełnimy dziedzictwo naszego męczennika, Michała Surzewskiego. Odwrócimy klątwę i raz na zawsze w naszych sercach i duszach zapanuje spokój.

Zgromadzeni ludzie wnieśli w górę trzymane przez siebie lampy w geście zrozumienia i gotowości. Choć ich twarze były zasłonięte przez maski, Tochman wiedział, że pojawił się na nich nikły uśmiech. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat.

- Czy przynieśliście z sobą to, o co was prosiłem? - zapytał.

Kolejne osoby przytakiwały tylko, by w następnym momencie podchodzić do Seweriusza i z nabożną czcią wkładać do trzymanego przez niego dużego, obszernego worka symbole swojego nieszczęścia. Relikty z zamierzchłych czasów, które przypominały o utraconych raz na zawsze radosnych chwilach.

Gdy wór wypełnił się Tochman spojrzał w jego głąb. Wiedział, że przyniesione przez mieszkańców dary aż nadto nadadzą się do zapełnienia powierzchni przygotowywanego przez niego i Radzymińskiego, prowizorycznego ołtarza.

Kiedy wszyscy zaczęli się rozchodzić do swoich domów a Seweriusz pozostał sam przy rdzewiejącej bramie, włożył do worka także i swój symbol życiowego nieszczęścia. Raz jeszcze spojrzał na zawartość worka, uniósł go nieco w górę, by poczuć jego ciężar, po czym zamknął oczy, odwrócił się w stronę spowijających cmentarz cieni i gorzko zapłakał.

Siedzieli na tarasie popijając aromatyczną kawę. Wtuleni w siebie spoglądali na słońce wschodzące ponad ścianą lasu. Rześkie powietrze pieściło ich ciała.

Dla Adriana miniona noc była długa i wyczerpująca. Od chwili, gdy zamknął za sobą drzwi do sypialni Weroniki, do momentu, w którym zeszedł na dół zaparzyć kawę, spał co najwyżej dwie godziny. Przez całą, długą noc uprawiał namiętny seks sprawiając, że Weronika nie tylko na dobre zapomniała o wszystkich strapieniach, lecz otworzyła się przed nim, jak nigdy wcześniej.

Mimo dużego, ciężowego brzucha wyginała ciało, jakby ten nie miał wpływu na żadną pozycję, w jakiej się znajdowała. Adrian od razu pomyślał o jej dawnych, kurewskich zapędach i dziesiątkach facetów, z którymi można ją było zobaczyć na mieście. Miał ochotę jej to wypomnieć. Po raz kolejny myślał, aby przerwać nagle nić, z której utkany był jego misterny plan, i rzucić jej – prosto i dosadnie – że wie kim jest i do czego doprowadziła. A później ukatrupić sukę.

- Tak mi było z tobą dobrze – przerwała nagle Weronika szepcząc mu do ucha kolejne, czułe słówka. - Mam nadzieję, że to było tylko preludium – zachichotała i przygryzła lekko jego małżowinę.

Zrobiło mu się niedobrze. Miał ochotę wstać, pójść do kuchni, chwycić pierwszy lepszy nóż, i wbić jej go prosto w gardło.

- To ty byłaś wspaniała – jego fałszywy uśmiech szedł w parze z nadobnym spojrzeniem. - Obiecuję, że dziś będzie jeszcze lepiej – odparł i uszczypnął ją w udo.

Weronika popatrzyła na niego wyzywająco. Nie miała na sobie ani grama makijażu i nie wyglądała, jak podrzędna ladacznica z najgorszej miejskiej speluny.

- Muszę tylko załatwić jedną sprawę – powiedział nagle Adrian. Przestał ją obejmować, odstawił pustą filiżankę i wstał z ogrodowego fotela.

- Co? Jaką? – zapytała kobieta, jakby zupełnie zapomniała o swojej prośbie sprzed kilkunastu godzin.

- Książdz, skarbie – napomknął uśmiechając się w jej kierunku. - Idę mu złożyć małą wizytę.

- Och... naprawdę zapomniałam – powiedziała skonsternowana. Popatrzyła na Adriana, który skierował swoje kroki w kierunku alejki wiodącej do furtki na froncie domu i dodała – tylko uważaj na siebie, proszę.

Adrian nie odpowiedział. Wykonał tylko gest salutu, jakby chciał powiedzieć jej „tak jest, moja pani!”, po czym zniknął za winklem domu zostawiając kobietę samą.

Kierując się w stronę wyjścia syknął pod nosem, że nie robi tego dla niej. O wiele bardziej, niż wczorajsza, poranna wizyta w domu Weroniki, mierzyła go kartka, którą ktoś wsunął pod drzwi. Ten ktoś zrobił to tuż pod jego nosem. Zakpił z niego. Jej treść natomiast można było potraktować nie jako radę, a groźbę. A Adrian bardzo nie lubił, kiedy ktoś mu groził i robił cokolwiek za jego plecami.

Przeszedł przez drewnianą furtkę otwierając ją kluczem. Zrobił to, choć wyłamany poprzedniego dnia zamek ledwo się trzymał. Bronił już tylko swojego honoru wisząc na jedynej, pozostałej w całości konstrukcji śrubie.

Nie minęła chwila, a mężczyzna był już na drodze prowadzącej do kościoła. Dom Weroniki dzieliło od niego nie więcej niż dwieście metrów. Przez kilka minut, w czasie których nieśpiesznie kroczył w kierunku białej budowli zakończonej wieżą w barokowym stylu, myślał, jak poprowadzić rozmowę z księdzem. Stwierdził, po raz pierwszy od bardzo dawna, że najlepiej będzie działać spontanicznie. Widząc niewielką przybudówkę mieszczącą się tuż obok kościelnego dziedzińca domyślił się, iż jest to plebania. Kilka leniwych kotów wygrzewało się w promieniach wstającego słońca tuż przy metalowym płocie. Na widok Adriana część z nich pierzchła za dom, jakby przeczuwała, że zmierzający w ich kierunku mężczyzna wcale nie ma dobrych intencji.

Bez zbędnego zastanowienia Adrian przeszedł przez na wprost otwartą bramę. Wszedł po trzech spękanych stopniach prowadzących na niewielki ganek, i załomotał z całych sił waląc pięścią w drzwi. Zrobił to z premedytacją. Widział przycisk od dzwonka umieszczony tuż obok, jednak wolał, aby jego wejście było znaczące. Odchrząknął, poprawił swoją koszulkę. Dłonią zasłonił wizjer judasza, jakby chciał, by osoba po drugiej stronie nie miała innej możliwości ujrzania kto czai się po drugiej stronie, jak tylko poprzez otworzenie drzwi. Po kilku sekundach usłyszał, jak ktoś kroczy w ich kierunku. Musiał to robić wyjątkowo niemrawo. Adrian słyszał kolejne potknięcia, a w pewnej chwili wydawało mu się, że do jego uszu doleciał również cichy brzdęk tłuczonego szkła. Chwilę później zamki w drzwiach zaczęły otwierać się jeden po drugim.

Przed Adrianem stanął niewysoki, szczupły mężczyzna w zwykłych dżinsach i niebieskiej koszuli. Fakt tego, że ma do czynienia z kapłanem zdradzała jedynie koloratka, nieco już pożółkła. Adriana aż cofnęło, gdy poczuł buchający od księdza odór alkoholu. Skonsternowany nie wiedział od czego zacząć. Mężczyzna w żadnym wypadku nie przypominał kogoś, kogo opisała mu Weronika. Był szczupły, sprawiał wrażenie zmęczonego. Z jego oczu biła rezygnacja. Pod żadnym względem nie miał ani nalanej, zaczerwienionej twarzy, ani przekrwionych oczu. Nie był też barczysty. Zupełnie nie sprawiał wrażenia osoby, która podchodzi do drugiego człowieka z pozycji kogoś lepszego. Co więcej, widząc go Adrian był najzupełniej w świecie przekonany, że kapłan jest w pewnym sensie strachliwy.

- Ta kartka pod drzwiami to twoja sprawka? Zachciało ci się porannych wizyt u młodej kobiety, tylko po co? - Adrian rzucał kolejne pytania jak najęty nie bacząc na to, że brzmiały zupełnie bez sensu.

- Ale o co... w sensie... Szczęść Boże - wydukał w końcu kapłan po kilku sekundach prezentowania stojącemu przed nim mężczyźnie całego zestawu pełnych zdziwienia min. - Nie za bardzo rozumiem, o co panu chodzi - wybełkotał.

- O to chodzi, żeby ksiądz nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. I miał choć trochę więcej ogłady w kontaktach z mieszkańcami.

- W dalszym ciągu nie mam pojęcia, o czym pan mówi...

Adrian spoglądał księdzu głęboko w oczy żałując, że w nerwach podarł kartkę, którą znalazł pod drzwiami. Po chwili zreflektował się i powiedział:

- Jest tu jakiś drugi ksiądz?

- Tylko ja - brzmiała odpowiedź. - Może zechce pan wejść i powiedzieć mi o wszystkim na spokojnie? Bo naprawdę, choć bardzo się staram, nie potrafię zrozumieć, po co pan tutaj tak właściwie przyszedł.

Adrian stał przed nim i nie wiedział, czy mu wierzyć, czy nie. Z jednej strony, w jego przepitej, wychudzonej i nieco przestraszonej twarzy nie potrafił odnaleźć choćby jednego szczegółu łączącego go z osobą, o której mówiła mu Weronika. Coś jednak podpowiadało mu, że za tym bladym licem kryje się prawda, która nie chce przejść kapłanowi przez usta.

- Po prostu się odpieprz - wybuchnął nagle Adrian. - I nie próbuj nas więcej nachodzić - dodał i natychmiast obrócił się, by szybkim krokiem wyjść z terenu plebanii.

- Ale... ja... - wybrzmiało z ust księdza. - Przepraszam... - odrzekła nagle zwieszając głowę i ścisząc głos.

Adrian momentalnie się obrócił. Teraz miał już pewność, że rozmawia z właściwą osobą.

- Ja naprawdę nie wiem, co robić... - głos kapłana był na skraju załamania. Adrian, który zrezygnował z pośpiesznego odejścia, kroczył w jego stronę. - To... to jest... - nie mógł dokończyć swojej przemowy.

- Masz nas za idiotów, księżulku? Myślisz, że wystarczy na nas pokrzyczeć, pogrozić nam, a później przeprosić, żebyśmy potulnie weszli w skład twojej owczarni.

- Zupełnie nie masz pojęcia o czym mówisz... - kapłan odrzekł w końcu wyrazistym głosem używając w pełni składnych zdań. - Wejdz, a wytłumaczę ci wszystko. Nie masz pojęcia - ty i ta kobieta - co się tutaj dzieje.

Adrian miał ochotę wejść do budynku tylko po to, by w ciągu następnej sekundy - używając wyłącznie siłowych argumentów - udowodnić księdzu, jak bardzo pomylił się próbując im, przede wszystkim jednak jemu, grozić. Wychudzona twarz kapłana była pozbawiona wszelkich złych zapędów, a przynajmniej tak się mężczyźnie wydawało. Mimo wszystko więc wszedł do środka zapraszany ręką przez księdza.

- Uwierz mi, dźwigam większy ciężar niż twoje nienawistne spojrzenie - powiedział, gdy bojowo nastawiony mężczyzna wpatrywał się w niego z wrogością. - To co, kawy?

ROZDZIAŁ XV

Rozpakowane kartony, których ilość zdecydowanie nie mogła równać się z tą, jaka jeszcze czekała na swoją kolej, leżały w jednym miejscu dużego pokoju. Tuż przy sofie, na której Weronika siedziała dopijając zaparzoną przez Adriana kawę. Sięgała co rusz to do jednego, to do drugiego pudła starając się zająć czymś zarówno ręce, jak i myśli. Wiedziała, że jeżeli nie zmieni swojego nastawienia, jeżeli wciąż tkwić będzie w martwocie samych wątpliwości i strachu, to nie skończy się to dla niej dobrze. W nocy, kiedy Adrian pokazał jej jak bardzo potrafi być męski, jak umiejętnie potrafi obchodzić się z kobiecym ciałem dając jej satysfakcję, jakiej nie czuła od długiego czasu, zdała sobie sprawę z tego, że właśnie znalazła się w punkcie, który – jak miała nadzieję i w co święcie wierzyła – o sto osiemdziesiąt stopni odwróci jej dotychczasowy pobyt w Siedlanach. W ciągu tych kilku godzin, kiedy zabawiali się swoimi ciałami pieszcząc je rękami i językami, znów poczuła się jak dwudziestolatka. Pełna życia, energii i wigoru. Momentami zapominała nawet o ciężowym brzuchu, przypominając sobie o nim dopiero w czasie zmiany pozycji.

Noc była fantastyczna. Otworzyła ją na z dawna zapomniane marzenia o tym, że mieć rodzinę i posiadać kogoś bliskiego sercu, to coś, czego naprawdę można w życiu doświadczyć.

Uśmiechnęła się pod nosem i dopiła kawę. Wciąż czuła między nogami Adriana. Chciało jej się tańczyć, śpiewać, kochać przez cały dzień.

Zarumieniała się czując kolejny przyływ gorąca pełnego erotycznej żądzy. Spojrzała na zegarek. Była dopiero szósta rano. Miała nadzieję, że Adrian szybko wróci i będzie mogła kochać się z nim w każdym pomieszczeniu, w każdym kącie i każdym zaułku domu. Ochrczą ogródek kochając się na tarasie, a później na trawie, w promieniach gorącego słońca.

- Niech patrzą i niech zazdroszczą - pomyślała o wścibskich sąsiadach, którzy dwa dni temu wgapiali się w nią, jak w obrazek. - Chcę być szczęśliwa i będę.

Wstała z sofy i podeszła do mieszczącego się na regale gramofonu podłączonego do pary małych, komputerowych głośników. Tandetny sprzęt, który kupiła jeszcze w czasach, gdy kariera autorki poczytnych, kobiecych powieści jeszcze stała przed nią otworem, wkrótce miał być zamieniony na sprzęt z prawdziwego zdarzenia. Póki co jednak musiało jej wystarczyć to, co miała. Włączyła gramofon i sięgnęła po jedną z płyt mieszczących się na półce. Wybór padł na jeden z albumów Scorpions. Szybkim ruchem wyjęła go i położyła na talerzu, by po kilku chwilach radować się pierwszymi dźwiękami *Rythm of love*. Zaczęła zalotnie kręcić biodrami, jakby Adrian stał tuż za nią, wpatrując się z rozkoszą w jej krągłości. Zamknęła oczy i dała ponieść się radosnej chwili. Czuła, że wszystko zaczyna się układać tak, jak trzeba.

Po chwili, czując lekkie zawroty głowy, usiadła na sofie. Sięgnęła na stolik, po butelkę z sokiem porzeczkowym i upiła go gładząc się po brzuchu.

- Będiesz miała wspaniałego tatusia - szepnęła myśląc o tym, że Adrian z pewnością spełni się jako ojciec.

Wspaniały ojciec.

Wspaniały mąż.

Uśmiechając się szeroko rozpląnęła się w marzeniach na temat ich związku, który z każdym dniem nabierał coraz silniejszych i bardziej wyraźnych kształtów. Po nocy spędzonej z Adrianem nie wyobrażała sobie, by mogła być z kimkolwiek innym.

Wspaniały, czarujący, opiekuńczy, dowcipny.

Idealny.

Zaczęła rozmyślać o chwili, kiedy zdecydują się pójść o krok dalej i sformalizować związek. Czy on zaprosi ją na wykwinną kolację w świetnej restauracji i w jej czasie uklęknie przed nią, by po wymówieniu długiego monologu o tym, jak bardzo ją kocha, włożyć na jej palce pierścionek z brylantem prosząc, by została jego żoną? A może zrobi to niespodziewanie, gdy wyjadą gdzieś na wspólną wycieczkę, bądź piknik? A może zrobi to jeszcze w inny sposób? Tak bardzo inny, a jednocześnie tak bardzo romantyczny i wspaniały, że ona sama będzie

oniemiała? Jakkolwiek by tego nie zrobił, jakkolwiek nie wypowiedziałby w jej kierunku słów „czy zostaniesz moją żoną”, Weronika doskonale знаła swoją odpowiedź. „Tak” wybrzmiewające z jej ust będzie pełne miłości, ciepła, nadziei i – przede wszystkim – podziękowania za to, że zrobił to właśnie on. Adrian Ostaszewski. Jej Adrian.

- Weronika Ostaszewska, heh - uśmiechnęła się pod nosem na myśl o tym, że przyjdzie jej zmienić nazwisko. Choć do tego momentu z pewnością minie jeszcze sporo czasu, już teraz chciała wyobrazić sobie, jak to będzie żyć u boku Adriana, codziennie odkrywając go na nowo.

Jej Adriana.

Adriana Ostaszewskiego.

Nagle, jakby szczęśliwość, którą czuła była niczym więcej, jak wątłą ułudą, poczuła dziwne ukłucie zarówno w sercu, jak i umyśle. Coś nie mogło dać jej spokoju. Dziwna myśl, jaka przebiegła przez pola i łąki zanurzonego w radości umysłu, sprawiła, że poczuła się nieswojo. Zupełnie dziwnie, zupełnie inaczej niż jeszcze przed chwilą, gdy oddawała się marzeniom.

Igła gramofonu nagle zapiszczała kończąc swoją pracę na ostatnich liniach płyty winylowej, jakby wewnętrzny spokój Weroniki wiązał się z płynącą z głośników muzyką. Jej brak z kolei wywołał w niej głęboko skrywane poczucie strachu. Dojmujące uczucie, że gdzieś głęboko w swojej podświadomości, na krańcach wspomnień, wie o czymś, o czym starała się zapomnieć przez bardzo długi czas. Coś, co wyrzuciła ze swoich myśli dawno, bardzo dawno temu.

Zamrugwała kilkukrotnie. Westchnęła i upiła kolejny łyk soku porzeczkowego próbując mentalnie powrócić do chwili, w której nagle zrodzona w jej głowie nieokreślona idea, przeraziła ją.

Myślała o szczęściu. O Adrianie.

O ślubie. Miłości. Rodzinie.

O Adrianie.

O życiu u jego boku.

O Adrianie.

Jej Adrianie.

Adrianie Ostaszewskim.

Ostaszewskim...

- O kurwa... - zaklęła tak nagle i tak głośno, że poczuła ukłucie w brzuchu, jakby siedzące w nim dziecko dźgnęło ją nożem, którego ostrze rozpruło nie tylko jej ciało, lecz i duszę.

Zrobiło jej się słabo. Zaczęła drżeć, a serce wydawało się pulsować szybko i na tyle mocno, aby roztrzaskać jej klatkę piersiową i wyskoczyć gdzieś daleko. Szklanka z niedopitym sokiem wypadła z jej rąk i upadła na podłogę. Nie roztlukła się, lecz przeturlała kilka metrów ciągnąc za sobą ciemny, niemal czarny ślad po soku. Weronika czuła, że się dusi. Jakby jakieś wielkie, monstrualne palce objęły jej szyję niczym w imadle. Dyszała ciężko nie mogąc sprawić, by jej oddech powrócił do normy. Miała ochotę krzyknąć i kląć, lecz wbrew sobie nie potrafiła wydusić z siebie choćby jednego słowa.

Wstała rozgorączkowana. Sunęła przez pokój na glinianych nogach. Błada jak ściana. Jak duch, który sam się czegoś przestraszył. Nie wiedziała, jak mogła żyć w takiej nieświadomości. W perfekcyjnym zapomnieniu o rzeczach i wydarzeniach z zamierzonych czasów, które jej samej wydawały się teraz tylko złym snem, nie zaś wspomnieniami. Idąc dalej, opierając się to o meble, to o ścianę, kroczyła naprzód - w stronę leżącej na stoliku przy drzwiach fotografii - jakby zmierzała w kierunku pradawnego artefaktu mogącego podważyć istnienie rodzaju ludzkiego lub zburzyć podwaliny teorii czasu i przestrzeni. Gdy doszła do niewielkiej fotografii zamkniętej w prostej, nowoczesnej ramce z bielonego drewna, uniosła ją drżącymi rękami wpatrując się w nie szeroko rozwartymi oczyma.

Na zdjęciu znajdowała się ona oraz Adrian. Obydwoje zadowoleni i uśmiechnięci. Z szampanem w rękach, z pióropuszem konfetti nad ich głowami. Zdjęcie zrobiono w głównej siedzibie jej wydawcy z okazji sprzedania stu tysięcy egzemplarzy pierwszej powieści. Wspaniały, dobry czas. Piękny dzień.

Weronika jednak przykuwała uwagę tylko do jednej rzeczy. Do jednego szczegółu, który teraz wydał jej się tak oczywisty i tak pewny, że nie mogła uwierzyć, przez jak długi czas nie domyśliła się straszliwej prawdy.

- O Boże... - wybrzmiało z jej ust wypełnionych trwogą i strachem. - To on...

Nagle, w ciągu jednej chwili, wrota jej umysłu zaczęły otwierać się z gwałtownością pozwalając, by przewędrowała przez nie do mistycznej krainy swoich zapomnianych, dawnych wspomnień, których teraz – wiodąc niezwykle udane życie pisarki – nie chciała pamiętać. Których się brzydziła i, gdyby mogła, pozbyła raz na zawsze, najchętniej cofając czas i zmieniając wszystko, krok po kroku.

Naraz stanął jej przed oczami obraz siebie samej sprzed kilkunastu lat, gdy prowadziła życie zupełnie inne od tego, jakie ma obecnie. Stare, licealne czasy, w których była człowiekiem złym, zapalczywym. Szukającym szybkich i intensywnych podniet. Dziewczyną, która nie tylko zachowywała się lubieżnie, ale i agresywnie. I przez którą, w co nigdy do końca nie wierzyła, stała się tragedia.

- To on... - wyszeptała szukając potwierdzenia w ciszy panującej w jej wiejskim, nowym domu. - Ale... jak... kiedy... - nie mogła skonstruować klarownego pytania, na które potrafiłaby udzielić sobie poprawnej odpowiedzi.

Jeżeli Adrian Ostaszewski, który przez ostatnie trzy lata dotrzymywał jej towarzystwa będąc nie tylko przyjacielem, ale i literackim agentem, jeżeli to ten sam człowiek, który zawsze szedł jej z pomocą, a teraz – co najgorsze – zacieśniał z nią więź, był tym samym Adrianem Ostaszewskim, o którym jej pamięć niemal zapomniała, to oznaczało to tylko jedno. Absolutne zniszczenie wszelkich filarów, na jakich utrzymywało się jej zdrowie, szczęście i kariera.

Gdyby mogła zobaczyć się w lustrze z pewnością ujrzałaby oczy pełne paniki i dygoczące ciało. Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy dowiedziała się, że Martyna Ostaszewska – cicha i nieśmiała dziewczyna, którą upodobała sobie jako obiekt szkolnych naprzykrzań i wyładowania wszelkich złych emocji – popełniła samobójstwo wieszając się na jednym z drzew w przydomowym ogrodzie. Wtedy, tamtego dnia, gdy ta wiadomość dotarła do jej szkoły, śmiała się razem ze swoimi przyjaciółkami. Drwiły z jej śmierci tak bardzo, jak tylko można drwić z czyjegoś nieszczęścia. Z powodu samobójstwa Martyny zwołano specjalny apel szkolny. Mówiono, że to wynik agresji i prześladowania. Że była kruchą istotą, która w końcu pękła, niczym cienki, drogocenny kryształ. Wtedy nie robiło to na niej najmniejszego wrażenia. Podobnie jak obchodzona w szkole żałoba i – przede wszystkim – wzrok brata

Martyny, który co rusz, przechodząc obok Weroniki, spoglądał na nią nienawistnie, jakby wiedział, że to ona stoi za tą całą tragedią.

Wtedy jednak wyglądał inaczej. Bujna czupryna skrywała większą część twarzy. Workowate spodnie i obszerne bluzy ukrywały chuderlawą budowę ciała. Ale oczy... oczy były takie same. Ten sam, chłodny i jednocześnie rozogniony wzrok. Nie można go było pomylić z jakimkolwiek innym. Dlaczego więc, patrząc w oczy Adriana, z którym była tu i teraz, który towarzyszył jej przez ostatnie trzy lata niemal codziennie, nie potrafiła dostrzec tych konkretnych, niepowtarzalnych cech? Może przez świetnie skrojone, szyte na miarę ubranie, może przez schludny, wypielęgnowany trzydniowy zarost, może przez modą fryzurę z zaczesanymi do tyłu włosami?

Zdjęcie wypadło jej z rąk. Ramka z głuchym hukiem uderzyła o stół. Weronika zapała się o niego. Czuła się, jakby miała za chwilę zemdleć. Jakby sekundy dzieliły ją od zapaści.

Dziecko w jej brzuchu poruszyło się. Po raz drugi w ciągu kilku minut kopnęło z taką siłą, że miała ochotę zakrzyknąć.

Powoli opadła na kolanach na podłogę. Dyszała ciężko, z trudem łapała oddech.

Jeżeli Adrian Ostaszewski, z którym jest teraz - zaczęła się zastanawiać - to ten sam cichy i spokojny chłopak, który obdarzał ją nienawistnym wzrokiem tuż po śmierci swojej siostry, to czy on sam ma pojęcie, z kim się zadaje? Komu pomaga w karierze, z kim spędza całe dnie, z kim uprawiał wyuzdany seks?

Weronikę zmroziła myśl o tym, że Adrian - jeżeli to naprawdę on - nie ma pojęcia z kim tak naprawdę ma do czynienia. Po chwili jednak o wiele bardziej przeraziła ją idea, że Adrian Ostaszewski - jej agent, przyjaciel, czuły, troskliwy i opiekuńczy facet, z którym chciała związać się na całe życie, doskonale wie, kim ona jest.

I planuje coś absolutnie okropnego.

ROZDZIAŁ XVI

- Zabobonny, kłamliwy ochlejmorda! - idący szybkim tempem w kierunku domu Weroniki Adrian nie miał najmniejszych złudzeń co do tego, że wszystko co wydukał z siebie miejscowy ksiądz, było stekiem bzdur. Potwornie złym snem starego fantasty i fanatyka religijnego w jednym.

Kapłan przyznał się, że to on podrzucił im kartkę z ostrzegawczym napisem. Opowiedział też Adrianowi zupełnie nierzeczywistą, niewiarygodną historię na temat Siedlan i ciężającej na wiosce klątwie.

- Debile, wszędzie debile - syknął mężczyzna kopiąc przydrożny kamień.

Był wściekły. Czuł się tak, jakby został potraktowany niczym pierwszy lepszy idiota. Łatwowierny głupiec, któremu można wcisnąć nawet najbardziej niesamowitą opowieść.

Ksiądz nie przyznał się do odwiedzin u Weroniki. Do wizyty złożonej jej z samego rana tuż po tym, jak on odjechał do miasta. Adrian jednak, po wszystkim co usłyszał miał pewność, że choć kapłan nogami i rękami zapiera się, że to nie on, złożył wizytę Weronice próbując ją nastraszyć. Przekonać o wrogości mieszkańców do nowoprzybyłych. Wzbudzić w niej strach, gdy tylko dowiedział się, że kobieta nie chodzi do kościoła.

Choć przysięgał, że wszystko co mówi to najszczerza prawda, to Adrian nie mógł darować mu wypowiedzianych przez niego gróźb.

„Matka i dziecko umrą, jeżeli stąd nie odejdą. I wszyscy, którzy będą próbowali ich obronić”.

Miał serdecznie w dupie co stanie się z Weroniką. W swoich planach mających na celu tylko jedno - finalne uśmiercenie kobiety - nawet spodobała mu się idea, w której banda złych, zabobonnych wieśniaków zabija ją, odciążając go od tego obowiązku. Problemy były jednak trzy. On jeszcze nie był jej mężem i niczego by po niej nie odziedziczył, jej

śmierć odbyłaby się zdecydowanie za szybko, tymczasem on pragnął – gorąco pożałował – aby jej cierpienie było jak najdłuższe, jak najbardziej spektakularne, i w końcu po trzecie – on sam chciał doprowadzić do jej ostatecznej śmierci. To była powinność, którą obiecał na grobie siostry. Którą poprzysiągł wypełnić wszelkimi możliwymi sposobami.

Groźba, którą wypowiedział kapłan dotyczyła również jego. „Wszyscy którzy będą próbowali ich obronić”. A on, choć na takiego nie wyglądał, bardzo nie lubił, gdy ktoś mu groził. Kiedy więc ksiądz zakończył swój szaleńczy monolog został przez niego poczęstowany kilkoma solidnymi uderzeniami, po których – jak miał nadzieję Adrian – nawet nie pomyśli, aby zbliżyć się do nich choćby na krok.

Siedlany irytowały go w każdy możliwy sposób. Otoczenie, upał, cholernie dziwni ludzie. Miejscowe anegdoty o klątwach. Zupełnie, jakby wieś w dalszym ciągu pogrążona była w świecie sprzed wieku lub dwóch, gdzie racjonalne myślenie znajdowało się na dalekim miejscu za wiarą w zabobony, gusła i czary.

Zaklął kilkakrotnie pod nosem, gdy wyszedł z zacienionej alejki wiodącej od kościoła prosto w pałac słońce poranka. Była dopiero siódma rano, a rozogniona bańka na czystym niebie świeciła z taką mocą, jakby chciała wypalić na ludziach swoje własne znamiona.

Był tuż pod domem. Musiał ochłonać i przestać wyglądać na nabuzowanego faceta, który przed chwilą pobił na wpół pijanego księdza. Odetchnął głęboko. Zamknął oczy i pomyślał o swoim planie. Teraz najważniejszym było podtrzymanie doskonale rozkwitającej relacji z Weroniką. Usidlenie jej w taki sposób, aby myślała, że to ona przyparła go do muru zwanego miłością. Wszedł przez furtę w bramie i podbiegł do ganku. Wkroczył do domu prezentując zupełnie odmienny wyraz twarzy. O wiele bardziej spokojny i zwyczajny. Nie wyglądał już jak ktoś pełen złości, a raczej facet, który wraca ze sklepu. Szczęśliwy, że już jest w domu.

- Załatwione – zawołał od progu sądząc, że Weronika wciąż przesiaduje w salonie. – Słyszysz, Wera? Ten facet już nie będzie cię...

Wszedł do dużego pokoju i zobaczył ją skuloną na sofie, ze wzrokiem błędzącym gdzieś poza wychodzącym na jedną stronę ogrodu oknem.

- Skarbie, coś się stało? – zapytał podchodząc.

Weronika podskoczyła jak oparzona. Zupełnie nie zauważyła jego powrotu. O tym, że ktoś jest w domu uświadomiła sobie dopiero w chwili, kiedy Adrian był już niemal przy niej.

- Boże, Wera! Wyglądasz fatalnie! - zawołał, po czym zreflektował się i dodał - To znaczy... błado. Jak ściana. Co się stało?

Kobieta sprawiała wrażenie głęboko zagubionej w swoich myślach. Myślach nieskładnych i chaotycznych, jednak o jednej określonej naturze - bazującej na strachu i przerażeniu.

- Nie... to nic... - odparła po chwili kuląc się jeszcze bardziej. Wyrzucała z siebie kolejne słowa zupełnie bez zastanowienia. W ten sposób do uszu Adriana dotarł bełkot o zupełnie niezrozumiałym znaczeniu. Mężczyzna zauważył jednak, że Weronika wpatruje się w niego dziwnym, przeszywającym wzrokiem.

Jeżeli prawdą jest to, co mówią o oczach jako zwierciadłach duszy, to Adrian musiał zastanowić się dwa razy, nim zadał kobiecie kolejne pytanie. Jej wzrok, pełen głębokiej trwogi, sprawiał wrażenie nie tyle oskarżycielskiego, co udręczonego. Można było odnieść wrażenie, że na sam widok Adriana Weronika struchlała. Jeśli bowiem do tej pory siedziała na sofie głęboko pogrążona w swoich myślach, tak teraz zdawała się całkowicie poddawać napadowi apatii, który z namiętnej kochanki, jaką była jeszcze parę godzin temu, zrobił małą, bezbronną dziewczynkę bojącą się wszystkiego i wszystkich.

- Powinnaś się położyć - powiedział i dotknął jej ręki. Była przeraźliwie zimna. - Boże, Wera! Co się dzieje? Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć. Rodzisz?

Jak na komendę Weronika rozbudziła się choć trochę, poprawiła na sofie i dotknęła ręką czoła.

- Jestem po prostu wykończona... przez noc. Musze się przespać - skłamała, byle tylko nie musieć patrzeć prosto w oczy Adriana. Spuściła wzrok i wstała z miejsca. Jej chwiejny krok sprawił, że mężczyzna wziął ją pod rękę. Czuł, że gdy tylko ją dotknął, kobieta zadrżała, niczym w drgawkach.

- Dasz mi parę godzin? - zapytała słabym głosem, gdy obydwoje byli już na pięttrze. Nie czekając na odpowiedź położyła się w swoim łóżku. Nie przejmowała się tym, że pościel wygląda tak, jakby przez pokój przeszedł huragan, a unoszący się w powietrzu zapach potu i nasienia,

przypominający o szalonej nocy mdlił ją sprawiając, że czuła się jeszcze gorzej. – Parę godzin, proszę.

Złożyła głowę na poduszce. Ani razu nie spojrzała w stronę Adriana. Od razu zamknęła oczy.

Mężczyzna wyszedł z pokoju cicho zamykając za sobą drzwi. Ukradkiem spojrzał raz jeszcze na leżącą na łóżku kobietę. Coś w jej zachowaniu bardzo mu nie pasowało. Zachowywała się tak, jakby tuż po jego wyjściu trzasnął w nią jeden z tych piorunów kobiecości, który – po upojnej nocy pełnej czułych słówek i myśli o przyszłości – kazał jej wycofać się w bezpieczne rejony dobrze znanej sobie krainy „ja i nikt więcej”.

Zszedł na dół zastanawiając się, co mogło być prawdziwą przyczyną takiego, a nie innego stanu ducha Weronika.

– Humorzysta kretynka – sapnął półgłosem myśląc o tym, że żałuje zostawienia jej w domu samej, choćby na kilkanaście minut. Gdyby nie wyszedł, gdyby wciąż z nią był mając szeptaniem do ucha kolejnych miłosnych strof, wszystko byłoby wspaniale. Wiedział o tym. Czuł to. Tymczasem Weronika, jak typowa kobieta, która stwierdza po prostu, że „pora się wycofać”, stała się w jednym momencie oziębła i zdystansowana. W jej wzroku hulała ta dziwna myśl o tym, iż może angażowanie się w coś nowego – w kolejną, życiową nowość w tak krótkim czasie – to nic dobrego. Może chciała przeczekać, uspokoić swoje myśli, powstrzymać się od erotycznych fantazji i miłosnych uniesień do chwili, kiedy urodzi. Instynkt macierzyński, jak wmawiał sobie przez kilka kolejnych minut Adrian, mógł sprawić, że poczuła się winna tego, że odwróciła całą uwagę od dziecka, poświęcając ją Adrianowi.

Wszedł do dużego pokoju i kopnął jeden z kartonów. Jakkolwiek czuł do niej nienawiść i chciał od niej tylko jednego – jej śmierci – jakkolwiek ziębiło go to, czy urodzi zdrowe dziecko, czy nie, tak nie potrafił zrozumieć, jak młoda matka, która oczekuje narodzin swojego pierwszego dziecka, może zachowywać się tak nieodpowiedzialnie. Nie myślał już nawet o samym fakcie przeprowadzki na kompletne odludzie, gdzie jakakolwiek opieka medyczna po prostu nie istnieje, a najbliższy szpital oddalony jest o kilkanaście kilometrów, tylko o zwykłych, bardzo prozaicznych rzeczach. Sam nigdy nie miał dzieci, nigdy żadna kobieta z jego bliskiego otoczenia nie była w ciąży, a mimo

to wiedział, że leżące w kolejnych kartonach ilości ubrań są niewystarczające. Łóżeczko, które kupiła Weronika było byle jakie. Zestawy do pielęgnacji noworodka zamykały się w kilku podstawowych produktach, jakby w supermarketach nie było ich wystarczająco, a ona sama – kupując je – cofnęła się do czasów głębokiego peerelu, kiedy nabycie czegokolwiek graniczyło z cudem. O samym dziecku rzadko mówiła, prawie wcale. Nie tak, jak inne matki, co chwilę napomykając o nim, dzieląc się nadchodzącą radością, obawami, planami na najbliższe miesiące. Adrianowi wydało się, że Weronika po prostu nie dba o swoje przyszłe dziecko tak, jak powinna. Tak, jak robiłaby to prawdziwa matka.

Dziecko po prostu miało być. Nic szczególnego. Nic znaczącego. Ledwie drobna zmiana w jej życiowym harmonogramie spraw ważnych i mniej ważnych.

- Głupia suka!

Im bardziej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ktoś taki nigdy nie powinien zostać rodzicem. Miała lekceważące podejście do tematu dzieci i ich wychowania. To z kolei – gdyby nie plan jej zabicia – mogłoby przełożyć się kiedyś na to, kim będzie jej dziecko. Adrian wcale nie musiał silić się na stworzenie konkretnych wyobrażeń, w których córka Weroniki staje się podobna do niej. W podobnym stopniu zawistna, agresywna, wyuzdana, pozbawiona skrupułów.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni – pomyślał i stwierdził, że ukrócenie życia zarówno jej, jak i dziecku, będzie wyśmienitym pomysłem.

ROZDZIAŁ XVII

Tochman i Radzymiński siedzieli na ławce przed domem Seweriusza. Gdyby nie to, że pola uprawne ich obydwojga zmieniły się w ostatnich latach w całkowity ugór, na którym nie chciały rosnąć nawet chwasty, o tej porze dnia z pewnością znajdowałyby się właśnie tam. Tymczasem prażyli się na słońcu przygotowując wszystko przed liturgią Bożego Ciała.

- Są z nami już niemal wszyscy - powiedział nagle Radzymiński kierując wzrok w stronę Tochmana. - Wieści o planach rozeszły się bardzo szybko. Praktycznie nikt z mieszkańców nie ma nic przeciwko. Można wręcz powiedzieć, że wyczekują tej chwili z utęsknieniem.

- Niemal? - zapytał Seweriusz, choć doskonale wiedział kto nie miał zamiaru podporządkować się ich wizji i ich planowi, by ostatecznie ściągnąć z Siedlan klątwę.

Radzymiński popatrzył chwilę na swego kompana, po czym odwrócił wzrok i splunął na ziemię.

- Wereszczuk.

Niczego więcej nie musiał dodawać. Tochman wiedział, że tylko ich lokalny kapłan jest na tyle głupi, żeby mu się sprzeciwiać.

- Sam był przy Surzewskim, jako pierwszy widział grób tamtego bachora - powiedział po chwili. - Zamiast pomóc Michałowi tylko sprowadził na niego nieszczęście. Zamiast zamknąć mordę i zrobić wszystko, żeby odpędzić od nas klątwę, tylko ją pogłębił.

Splunął na ziemię.

Ze wszystkich plag i klątw, jakie spadły na Siedlany, zawsze uważał, że Wereszczuk był tą największą. Ksiądz proboszcz z wielkiego miasta. Młokos, który wkupił się w łaski biskupa i po kilku latach od rozpoczęcia posługi kapłańskiej stał się prałatem mającym zagrzać na stałe miejsce w niewielkiej wsi pełnej żarliwych wyznawców Słowa Bożego. Seweriusz zawsze uważał Stanisława Wereszczuka za ten typ

kapłana, który szedł z nieszczęsnym „duchem czasu”. To nie był ktoś, kto potrafił potępić, powiedzieć wprost – w mocnych słowach – co myśli o bezbożnikach, o niewiernych. Wciąż mówił kazania o miłosierdziu. O tym, że Bóg nikogo nie przekreśla, a tym, którzy w niego nie wierzą, trzeba pomóc go odnaleźć, a nie „palić na stosie”.

Tochman żałował, że nie urodził się kilka wieków wcześniej. W pięknych czasach, gdy ponad miastami i wsiami, w powietrzu pełnym świeżych zapachów, unosiła się miła woń spalenizny płonących czarownic i bezbożników.

Co gorsza Wereszczuk nie wierzył w ich wiejskie opowieści. W kłątwy, w mieszkające wśród nich siły nieczyste. Wszystko to nazywał gusłami i zabobonami twierdząc, że „ten, kto modli się żarliwie niczego złego nie może się obawiać. Więcej ufności, moje owieczki!”.

Tochman sam nie wiedział, czy w Wereszczuku bardziej mierzyła go jego postawa, czy aparycja. Głupie gadki, czy głupi wygląd, którym sprawiał wrażenie podstarzałego, wiecznie przerażonego uczniaka, który gotów jest uciec wprost w objęcia matki, gdy tylko przydarzy mu się coś niedobrego.

Seweriusz wiedział jednak, że ma wyraźną przewagę nad Wereszczukiem. Przewyższał go we wszystkim. W wiedzy i inteligencji. Posiadał bardziej otwarty umysł na wszystkie rzeczy niezwykłe. Z łatwością przemawiał do ludzi zjednując ich ku sobie, by później móc to wykorzystać przekonując ich do swych racji. Ksiądz Stanisław już dawno pozbawiony był tej umiejętności. Głosił coraz bardziej żalosne kazania. Z każdym miesiącem ubywało mu wiernych, którzy nie mogąc znieść jego bełkotu przestali przychodzić do kościoła. W ciągu ostatnich kilku lat rozpił się do tego stopnia, że ciężko było spotkać go w chwili, kiedy nie był pod wpływem.

- Żalosny robak.

- Co mówiłeś? - Radzymiński jakby wybudził się z letargu.

- Nic. Sam do siebie gadam - Tochman odpowiedział z niechęcią.

Jedyną kwestią, jaka martwiła go przed obchodami święta Bożego Ciała - wspaniałego dnia, kiedy mieli dokonać prawdziwego oczyszczenia i raz na zawsze pozbyć się ciężącej na Siedlanach kłątwy - była obawa przed tym, aby Stanisław Wereszczuk nie pokrzyżował im

planów. Seweriusz wiedział, że ksiądz może coś kombinować. Mieć w zanadru podstęp, który uniemożliwi im dopełnienie całości.

Tochman wiedział, że tym razem, gdyby stanął mu na drodze, nie zawaha się zrobić nawet najgorszej rzeczy.

* * *

Weronika leżała na łóżku udając że śpi. Jej szeroko rozwarte oczy, błyszczące od pojawiających się co rusz łez, sprawiały wrażenie zastygłych w jednym, nieruchomym punkcie wypełnionym strachem i przerażeniem. Obejmowała swój brzuch tworząc znajdującemu się w nim dziecku iluzję bezpieczeństwa. Była całkowicie skonsternowana. Rozszarpywana przez multum zupełnie różnych myśli. Uczucia mieszały się w nich ze wspomnieniami. Teraźniejszość z przeszłością, a punktem wyjścia dla całości był Adrian Ostaszewski.

Kiedy wszedł do domu, kiedy podszedł do niej, a ona zagłębiła się w toni jego oczu, była niemal w stu procentach przekonana, że ma przed sobą człowieka, który swą osobą sięga daleko w jej przeszłość. Do lat minionych, o których zapomniała. O których chciała, aby pozostały martwe. Które nigdy, w jakikolwiek sposób, nie powinny zostać wskrzeszone. Tymczasem stojący przed nią, niewysoki, szczupły mężczyzna – choć uśmiechnięty, z twarzą wyrażającą same pozytywne myśli – przywoływał dawne wspomnienia w sposób tak gwałtowny i tak jednoznaczny, jakby było to jedyną istotą jego istnienia. Jakby był, żył i tkwił przy niej tylko po to, by jednym spojrzeniem skruszyć całość jej idealnego – na swój sposób – życia. Wpleść w nie pokazną porcję dramatu niwelującego całą dotychczasową, budowaną latami, radość.

- Nie, to nie może być on. To nie może być ten sam Adrian Ostaszewski.

Weronika próbowała samej sobie przemówić do rozsądku. Wskazać wszystkie aspekty potwierdzające fakt, że myśl o tym, że brat osoby, nad którą kiedyś się znęcała, był z nią teraz i, co więcej, wszedł do jej życia na tyle mocno, aby ona sama planowała z nim wspólne życie.

To było nie do pomyślenia.

Nie w chwili, kiedy wszystko w jej życiu powracało na dobre tory.

Nigdy.

Gdyby było inaczej, gdyby ten sam Adrian Ostaszewski był przy niej, to z pewnością wiedziałby, kim jest i kim była, nim stała się gwiazdą literatury.

- Boże, jakie ja brednie wygaduję! - powiedziała na głos stwierdzając, że przecież to Adrian był kimś, kto stworzył jej cały medialny wizerunek, za którym krył się finansowy sukces Weroniki Sobczyk - literatki wielkiego kalibru.

Odetchnęła głęboko. Dziecko poruszało się w jej brzuchu całymi falami. Rozpychało się, jakby naprawdę znalazło sobie idealne miejsce do pływania.

Usiadła na łóżku i pokręciła głową. Musiała odpędzić od siebie wszystkie złe i niestosowne myśli. Zwalić na karb ciężowych rozterek i zmian humoru wszystko, co źle kojarzyło się z Adrianem. W tym samym momencie usłyszała cichy dźwięk skrzypiącej nieznacznie klamki od drzwi. Spojrzała w ich stronę zaskoczona, by po chwili patrzeć prosto w oczy Adriana, który ukradkiem chciał wejść do jej pokoju. W rękach trzymał tacę z kanapkami i sokiem. Obok nich leżał świeży pęk dopiero co zerwanych, polnych kwiatów.

- Ech, i cały misterny plan bycia romantycznym nie wypalił - powiedział gdy skonstatował, że kobieta nie śpi. - Chciałem tylko zostawić ci co nieco, żebyś miała miłą niespodziankę, kiedy się zbudzisz. Ale chyba muszę jeszcze trochę poćwiczyć bezszelestne poruszanie się po domku.

Weronika patrzyła na Adriana, który maślanym wzrokiem wpatrywał się to na nią, to na przygotowaną przez siebie tacę z pysznościami i nie mogła uwierzyć, że jeszcze kilka minut wcześniej myślała o nim tak niestosownie.

To był jej Adrian - kochany, opiekuńczy, czuły facet, który nie mógł mieć w stosunku do niej żadnych złych intencji.

Jej Adrian.

I tylko jej.

Kochany Adrian...

ROZDZIAŁ XVIII

Stanisław Wereszczuk bardzo dokładnie oglądał swoją pobitą twarz. Oczyszczał rany wodą utlenioną, by w następnej kolejności nakładać na nie niewielkie paski plastrów. Szkody, jakie wyrządził mu Adrian Ostaszewski, jak przedstawił się mężczyzna który go odwiedził, były naprawdę poważne. Jak na kilka ciosów, które dostał do chuderlawego faceta, były wręcz ogromne. Przeszywający go ból rozchodzący się po całej twarzy szedł w parze z potwornym kacem, skutecznie utrudniając nie tylko jakąkolwiek koordynację ruchów, ale też trzeźwe myślenie.

Kiedy Ostaszewski zjawił się u niego z samego rana Wereszczuk był przekonany, że w jakiś sposób uda mu się przekonać mężczyznę do swoich racji i wytłumaczyć mu w jak najbardziej dobitny sposób, że zarówno on, jak i ciężarna kobieta mieszkająca w świeżo wyremontowanym domu, są w ogromnym niebezpieczeństwie. Tymczasem jedyną rzeczą, jaka w pełni udała się prałatowi, było rozsierzenie młodego mężczyzny do tego stopnia, że ten rzucił się na niego z pięściami, mając za nic ani jego wiek, ani fakt, że machinalnie, z wściekłością, tłucze po twarzy lokalnego księdza.

Spojrzał po raz kolejny w lusterko na swoją zboląłą, posiniaczoną i zakrwawioną twarz, po czym przerzucił wzrok na zegar wiszący tuż przy drzwiach. Dochodziła ósma. Za godzinę powinien rozpocząć uroczystą mszę Bożego Ciała. Równo w dwie dekady po tym, jak w taki sam piękny i słoneczny dzień, ujrzał truchło Aurelii Malewskiej zwisające z przykościelnego drzewa.

Zaklął pod nosem. Wszystko, dosłownie wszystko sprawiało wrażenie, jakby lada chwila w Siedlanach miała nastąpić kolejna, niewyobrażalna tragedia. Zamknął oczy i z całych sił starał się prosić Boga o wybaczenie. O to, by nie dopuścił, aby w jego małej parafii po raz kolejny wydarzył się dramat, jaki na wiele następnych lat mógłby przekreślić wszystkie starania.

Z niemałym trudem wstał z krzesła wciąż trzymając się blatu stołu. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, a boląca twarz dosłownie eksplodowała żywym ogniem. Wereszczuk zacisnął zęby i jeszcze raz zaklął w duchu. Wyjrzał przed okno - na dziedziniec i kościół - uzmysławiając sobie, że bardzo prawdopodobnym jest, że w tegorocznej procesji nikt nie będzie chciał dotrzymać mu towarzystwa. Wszystkie jego owieczki, każda jedna dusza, której poświęcił ostatnie dwadzieścia lat życia, była beznadziejnie pogrążona w słowach głoszonych przez Seweriusza Tochmana. W prawdziwych bluźnierstwach, jakie głosił.

Stanisław Wereszczuk nie mógł pogodzić się z tym, że przed laty, zamiast w porę zainterweniować i spróbować za wszelką cenę powstrzymać Tochmana przed rozpowszechnianiem bredni, pozwolił, by ten, jak gdyby nigdy nic, prawił swoje okropne wizje niemal jakby był księdzem. Nie raz zdarzyło się, że Seweriusz przerywał niedzielną mszę, stawał pośrodku kościoła i przekomarzał się z nim głosząc jedyną słuszną, w swoim mniemaniu, wersję wydarzeń i teorii na temat tego, jak przepędzić z Siedlan klątwę. Był wspaniałym mówcą - temu akurat Wereszczuk zaprzeczyć nie potrafił - który płomiennie, z przekonaniem wygłaszał kolejne frazesy na temat tego, aby porzucić słowo głoszone przez Wereszczuka i skupić się w pełni na "proroctwach" Surzewskiego. Stanisław Wereszczuk nie miał jeszcze wtedy pojęcia, jak wiele ludzi może pójść za głosem ich sąsiada i przyjaciela. Jak wiele osób może odwrócić się od Boga i głoszonych z ambony kazań o miłosierdziu. Mieszkańcy wioski, rok po roku, coraz bardziej zwracali się w stronę słów o konieczności spełnienia prawdziwej „ofiary”. O przelaniu krwi bezbożników, która przywróci wszystkim łaskę i sprawi, że Siedlany znów będą wioską pełną radości i szczęścia. Aż w końcu zdecydowana większość z nich przeszła na stronę Tochmana. Zamiast przychodzić na niedzielne msze i przyjmować sakramenty święte, zaczęli chodzić wraz z nim na stary cmentarz choleryków. Czynili to w prawdziwych pochodach - mrozącym krew w żyłach milczących procesjach odbywanych w środku nocy.

Stanisław Wereszczuk, mino tego, że bardzo kochał wszystkich swoich parafian i starał się zrobić wszystko, aby nie pozwolić Tochmanowi przekabacić ich na swoją stronę, nigdy nie zdobył się na odwagę, by wybrać się na zapomnianą niemal nekropole i przerwać

ohydne praktyki, jakie z pewnością miały tam miejsce. Choć bardzo chciał zrobić to nie raz, nie dwa, za każdym razem stawał mu przed oczami obraz jego męczeńskiej śmierci. Śmierci okropnej, po długich i wyczerpujących torturach. I choć wiedział, że z punktu widzenia zarówno Boga, jak i Kościoła śmierć taka byłaby dla niego drogą wiodącą wprost do nieba, to jednak nie miał odwagi, aby pozwolić zrobić ze swojego ciała przedmiot wielogodzinnych katuszy.

Wzdrygnął się, gdy kolejna fala bólu uderzyła go z całą siłą. Przeszedł przez pokój z niemałym trudem i sięgnął do szafki, w której trzymał drobne medykamenty. Pośród stosu mniej lub bardziej przeterminowanych leków znalazł plaketkę tabletek przeciwbólowych. Nie zastanawiając się zbyt długo wyciągnął z niej dwukrotność zalecanej dziennej dawki i popił zimną wodą.

Zanim wyszedł z plebanii kierując swoje kroki w stronę zakrystii pomyślał jeszcze raz o Seweriuszu Tochmanie oraz nowoprzybyłej kobiecie w ciąży. Był już niemal przekonany że dziś, praktycznie na jego oczach, dokona się jakaś niewyobrażalna tragedia. Przez chwilę zaczął się zastanawiać, czy nie powiadomić służb.

- I o czym niby byś im powiedział? - zapytał samego siebie. - Że przestępstwo ma się dopiero wydarzyć? Idiota...

Chwycił za klamkę i w tym samym momencie poczuł, że ktoś po drugiej stronie również próbuje otworzyć drzwi. Skonsternowany pozwolił, by tajemnicza osoba dopięła swego. W chwilę później zaczął tego bardzo żałować.

- Ojczulek pójdzie z nami.

Tochman i Radzymiński stali przed wejściem do plebanii. W rękach trzymali sznur i łom. Zanim Wereszczuk zdołał zorientować się o co może im chodzić, leżał na ziemi okładany przez Radzymińskiego starym, zardzewiałym łomem. Wydawało się, że głuchy trzask tłuczonego ciała unosi się echem daleko poza kościelny dziedziniec.

- Wystarczy. Musimy go mieć żywego - Tochman odciągnął swojego kompana od pobitego prałata. Pochylił się nad księdzem i zaczął wiązać mu ręce i nogi.

- Dzisiaj nikt, absolutnie nikt już nam nie przeszkodzi - wpatrzony w Radzymińskiego Seweriusz zdawał sobie sprawę z tego, że teraz to on

jest absolutnym panem sytuacji. Pierwszy raz w ciągu całego swojego życia.

* * *

Spokój ducha Weroniki trwał tylko kilka krótkich chwil. Gdy wydawało jej się, że Adrian nie może być tym, za kogo go nieopatrznie brała, on po raz kolejny sprezentował spojrzenie, w którym dostrzegła coś więcej, niż tylko troskę, ciepło i miłość. W jednym momencie, gdy siedzieli wtuleni w siebie w salonie rozmyślając o ułożeniu wszystkich zalegających w pudłach rzeczy, Weronika zerknęła na jego twarz w sekundzie, gdy jemu samemu wydawało się, że zamknęła oczy rozmarzona i pogrążona w radosnych myślach. To w tamtej, bardzo krótkiej chwili, która nie mogła trwać dłużej niż mrugnięcie okiem, Weronika zobaczyła, jak wyraz twarzy Adriana się zmienia. Jak ten krzywi się tuż po tym, gdy powiedział jej kolejne miłe słówka. Jak w jego oczach, skąd zazwyczaj bił ciepły, przyjacielski blask, zapanowało coś okropnie nieludzkiego. Coś, co w żaden sposób nie przypominało jej wzroku zakochanego faceta.

- Wiesz co skarbie? - rzuciła szybkie pytanie w kierunku mężczyzny. W myślach utkała chytry plan, który, jak miała nadzieję, pomoże jej raz na zawsze pokonać wszelkie wątpliwości i sprawdzić, czy faktycznie ma do czynienia z kimś, o kim w życiu nie pomyślałaby jako o przyszłym mężu. Wiedziała, że ryzykuje. Że słowa, jakie ma zamiar wypowiedzieć, a także sam sposób ich oznajmienia, mogą - w najgorszym wypadku - stać się powodem bezpośredniego zagrożenia ze strony mężczyzny. Choć bardzo bała się reakcji Adriana, nagłego wybuchu agresji, którego nawet mogła nie być świadoma, wołała w jeden prosty sposób, raz na zawsze, przekonać się, czy aby jej tok myślenia jest słuszny. Choć uczuciowy chaos, jaki zapanował w jej głowie trwał nie więcej niż kilkadziesiąt minut, kobieta sprawiała wrażenia rozerwanej na strzępy. Rozdarłej pomiędzy dwoma zupełnie skrajnymi scenariuszami, które w zupełnie różny sposób mogły wpłynąć na jej życie. Z jednej strony była przerażona na myśl o tym, że Adrian Ostaszewski lada chwila może spojrzeć na nią nienawistnym wzrokiem pełnym żądzy mordy, z drugiej zaś jej serce waliło jak oszalałe, a umysł zdawał się mówić, że ona sama nie wytrzyma psychicznie całego napięcia, jakie wywołały dawne,

niemal zapomniane przez nią wydarzenia i zupełnie świeże, wydające się abstrakcyjnymi, domysły.

- Taaaak? - odpowiedział pytaniem Adrian, z czułością gładząc Weronikę po jej długich włosach.

- Tak sobie pomyślałam... tak mało wiemy o sobie. To znaczy, ech... no wiesz... o naszej przeszłości - zaczęła udając, że nie wie jak zabrać się do tematu. - Nie chciałbyś opowiedzieć mi czegoś o sobie? No wiesz... z czasów zanim się poznaliśmy.

- Och... no a coś konkretnego chciałabyś wiedzieć?

Choć Adrian starał się zachować pozory kogoś, kto nigdy nie zostaje zbity z tropu, jego reakcja była zupełnie taka jak przypuszczała Weronika - sprawiał wrażenie osoby, która usiadła na gwoździu i nie chce się do tego przyznać. Jego twarz w momencie zastygła w czymś w rodzaju przerażenia i zaskoczenia jednocześnie. Zrobił się blady, a na jego czoło wystąpiły małe, niedostrzegalne na pierwszy rzut oka strużki potu.

- Studia, a może szkoła średnia, hę? - zagaiła po raz kolejny po przedłużającej się ciszy. - Chyba że chcesz wrócić się aż do czasów dzieciństwa.

Adrian w dalszym ciągu nic nie mówił. Siedział wpatrzony w Weronikę i zupełnie nie przypominał tego samego, wygadanego i żartobliwego faceta jakim był na co dzień.

- E tam - odpowiedział w końcu zbywając pytanie machnięciem ręki. - Nie lubię o tym gadać. Zresztą nie ma o czym - powiedział i uśmiechnął się. Widać było, że w tym pozornym spokoju ducha kryje się nerwowość, a za fałszywym, wymuszonym uśmiechem zupełny brak opanowania.

- No dalej! - zaczęła Weronika uśmiechając się od ucha do ucha. - Musi być coś, czym z chęcią byś się ze mną podzielił. Nie wiem nawet w jaki sposób zostałeś agentem literackim! To ci dopiero! - zażartowała i klepnęła go w ramię. Pod swoją delikatną dłonią czuła, że jego mięśnie są napięte niczym struny.

Adrian uparcie milczał. Starał się wybrnąć z sytuacji strojąc głupie miny i przesadnie gestykulując, jakby wszystko co powie miał od razu obrócić w żart. Weronika widziała jednak, że cała ta sytuacja obnażyła jego zupełne nieprzygotowanie się do tego fragmentu perfekcyjnie

odgrywanej przez niego roli. Tym bardziej więc zaczęła się bać. Choć za wszelką cenę próbowała nie dać tego po sobie poznać, z każdą kolejną chwilą, kiedy Adrian motał się z odpowiedzią na tak prozaiczne pytania, uświadamiała sobie, że jest niemal w stu procentach przekonana co do tego, że siedzi przed nią Adrian Ostaszewski – brat dziewczyny, która przez nią samą popełniła samobójstwo. I choć zdrowy rozsądek podpowiadał jej, aby nie brnąć dalej w to ewidentnie coraz głębsze bagno, choć jej mała córeczka niespokojnie poruszała się w łonie, to Weronika, jakby prawda była dla niej ważniejsza niż cokolwiek innego, postanowiła drążyć temat. Czuła, że jeżeli teraz nie dowie się wszystkiego czego chce, jeżeli w tym właśnie konkretnym momencie nie rozwieje wszystkich swoich wątpliwości, to nie zrobi tego już nigdy. Lub nigdy nie będzie jej dane tego zrobić.

- Bo wiesz... - zaczęła zawadiacko odrzucając głowę na bok. Jej włosy zafalowały skrywając część twarzy. - Ja na przykład wciąż mam w swoich myślach sprawę, która trapi mnie do żywego.

- Och, naprawdę? - Adrian, jakby kobieta wyszarpała go z głębokiego snu tym jednym, małym oświadczeniem, od razu spojrzął na nią zaciekawiony.

- Tak, tak! To stara sprawa. Prawie już o niej zapomniałam, ale tak jakoś nagle przyszła mi na myśl... - odczekała chwilę obserwując reakcję mężczyzny, po czym kontynuowała. - To było jeszcze w liceum. Boże, jakie wspaniałe czasy! Czułam się jak królowa! Byłam strasznie lubiana, wiesz? - zachichotała i wyzywająco spojrzała na wpatzonego w nią Adriana. Choć cała drżała była zaskoczona lekkością i pewnością swojego głosu. Zawadiackim, nieco wręcz cwaniackim tonem wypowiedanych kolejno słów. - Och! To były cudowne lata! Tylko jedna rzecz wciąż, po takim czasie, cholernie mnie wkurza.

Siedzący tuż obok Weroniki Adrian wpatrywał się jej głęboko w oczy. Wydawał się posągiem zastygłym w czasie. Skupionym na wszystkim, co mówi w jego kierunku tajemniczy obserwator.

- Była tam taka jedna, wredna dupa... - Weronika dostrzegła ukradkiem nerwową reakcję Adriana, który momentalnie zacisnął z całej siły swoją dłoń na obiciu sofy. - Strasznie jej nie lubiłam. Wtedy w ogóle nie lubiłam tych wszystkich płaczliwych bab, które nie potrafiły się nawet odezwać.

Adrian zamknął oczy. Jego wargi w ciągu ułamka chwili stały się wąskie i sinoblade. Widać było, że z całej siły próbuje powstrzymać się przez oświadczeniem czegoś Weronice w bardzo dosadny sposób.

- Jak ona się nazywała? - Weronika udawała, że nie może przypomnieć sobie imienia dziewczyny. - Chyba Martyna... tak, Martyna! - wykrzyknęła po chwili z takim entuzjazmem, jakby wygrała w lotto. - Strasznie pizdowata, strasznie brzydka i absolutnie niekobieca franca. Boże, jak ja jej nienawidziłam! Sama nie wiem dlaczego, wiesz? Po prostu chyba tak to już jest z niektórymi ludźmi. Patrzysz się na czyjaś gębę i wiesz, że nie znajdziecie wspólnego języka. Zresztą, nie znosiłam jak ta kretyńka spoglądała na mnie ukradkiem. Jakby z politowaniem, rozumiesz? Może i powinnam się tego wstydzić, ale cholernie podobało mi się, gdy jej dokuczałam. To był dla mnie taki moment odstresowania. W końcu, takie jest życie, co nie? Nie każdy może być królową, jak ja! - rozłożyła ręce w teatralnym geście wszechwładności. Przez tę małą chwilę udało jej się sprawić, że nie zdrząły nawet odrobinę.

Skończyła swój rozciągnięty w czasie monolog i spojrzała prosto na Adriana. Ten wciąż siedział i zaciskał gniewnie palce na sofie. Jego twarz trzęsa się nieznacznie, a on sam zrobił się cały czerwony. Wyglądał jak wulkan na chwilę przed wybuchem. Zdawało się, że spod jego wciąż zamkniętych powiek wyleje się lada chwila rzeka łez.

Weronika czekała na jego reakcję. W wielkim zniecierpliwieniu oczekiwała jakiegoś gwałtownego wybuchu. Całej litanii przekleństw i oszczerstw skierowanych w jej stronę. Bała się, że Adrian może nawet chcieć jej coś zrobić.

Nic takiego jednak się nie stało. Po dłuższej chwili ciszy mężczyzna odetchnął głęboko, otworzył oczy kierując swój wzrok gdzieś w eter, po czym spojrzał na kobietę z miną wyrażającą nic, prócz smutku.

- To naprawdę okropne co mówisz - stwierdził. - Nie sądziłem, że stać cię na tyle przekleństw w jednej wypowiedzi i tak nonszalanckie podejście do takiego tematu - zamilknął na chwilę. - Strasznie mnie to zabolalo, bo przypomniałaś mi moje licealne czasy. Byłem nielubiany. Wyłącznie dlatego, że jako chłopak byłem bardzo cichą i wyalienowaną osobą...

- Och... - zająknęła się Weronika zupełnie zaskoczona wywodem Adriana. Spodziewała się całkowicie innych słów. Tymczasem jego wyznanie było jak kubeł zimnej wody. - Prze... przepraszam cię najmocniej... ja tak naprawdę...

Kobieta nie zdążyła dokończyć swojej kwestii. Adrian wstał z sofy, odetchnął głęboko jeszcze kilka razy podpierając się za boki. Pokręcił głową, jakby nie dowierzał w to, co przed chwilą powiedziała mu Weronika. I przede wszystkim w jakim tonie.

- Daj spokój - odparł. W jego głosie słychać było kompletny zawód i smutek. - Po prostu byłeś w tej chwili w pełni sobą. I to mnie przeraziło, choć chyba jeszcze bardziej... zniesmaczyło.

Błada jak ściana Weronika nie wiedziała co odpowiedzieć. Czuła się tak bardzo zażenowana, że pozwoliła, by Adrian wyszedł z pokoju i przeszedł do kuchni trzaskając za sobą drzwiami.

Jeszcze przez kilka minut siedziała w jednej pozycji na sofie kompletnie nie wiedząc co ze sobą zrobić. Poczula się jak zupełna idiotka i kretyńka, która ubzdurała sobie coś w myślach i teraz - przez swoje niedojrzałe zachowanie i najwyraźniej niesłuszne przypuszczenia - oddaliła się od jedyne go człowieka, który był dla niej oparciem w codziennym życiu.

Nim minęła kolejna chwila, zalewała się rzewnymi łzami.

ROZDZIAŁ XIX

Gdy tylko drzwi do kuchni zamknęły się z potężnym trzaskiem, Adrian zdjął z twarzy maskę cierpiętника pełnego smutku i wewnętrznego bólu. Niemal natychmiast rozgorzała w nim furia, która dała o sobie znać w postaci absolutnie diabolicznego wyrazu lica. Zaciśnięte zęby zdawały się szurać o siebie, jakby wkrótce miały pęknąć, krusząc się w ustach mężczyzny. Jego ręce trzęsły się nerwowo i tylko cudem samoistnie nie wymierzyły ciosu jednej z wiszących szafek lub kuchennemu blatowi. Choć ze wszystkich sił starał się pohamować, Adrian miał ochotę rozłupać w drobny mak każdy przedmiot znajdujący się w kuchni. Najlepiej prosto na twarzy Weroniki.

- Co za kurwiszcze! - zaklął pod nosem, nie przejmując się zbytnio tym, czy kobieta go usłyszy. - Wredna suka! Pizda! - litania wyzwisk dalej padała przez zaciśnięte zęby, gdy nerwowym krokiem chodził z jednego końca pomieszczenia na drugi. W ciągu minuty całe jego ciało pokryło się kwaśnym potem do tego stopnia, że koszula którą miał na sobie zaczynała przypominać ubranie po intensywnym treningu.

Zatrzymał się pod oknem i zaparł na parapecie z całej siły. Był wręcz przekonany, że gdyby mógł wyrwałby go ze ściany bez najmniejszych problemów. Choć ze wszystkich targających nim w tamtym momencie uczuć najbardziej dosadnym był czysty gniew, to w środku - w strzępach jego duszy - dominował dojmujący smutek. W ułamku sekundy zaczął rozmyślać o swojej siostrze. O tym, jak bardzo mu jej brakuje i jak ciężko pogodzić mu się z tym, że już jej nie ma. Że to właśnie przez kogoś takiego jak Weronika Sobczak, jego ukochana siostra, która zawiniła światu wyłącznie tym, że była cicha i nieśmiała, targnęła się na swoje życie.

- To ty powinnaś zdychać... - wycedził wpatrując się gdzieś w dal, pogrążając swoje myśli wokół siedzącej w pokoju kobiety. - I zdechniesz!

Zamknął oczy i zaczął wyobrażać sobie, jak odbiera jej życie. Jak z namaszczeniem, radując się każdą kolejną chwilą, dokonuje na jej ciele absolutnie nieludzkich, odhumanizowanych praktyk, których celem było tylko jedno – sprawienie jej jak największego bólu. Jak największego cierpienia.

Zatapiając się w swoich morderczych myślach Adrian rozmarzył się próbując zwizualizować sobie chwilę, gdy na wpół żywa Weronika błaga go o darowanie jej życia, starając się wykrzyknąć swoją zmiażdżoną twarzą akt przeprosin złożony z nieskończonej wielu powtórzeń imienia jego siostry.

Zaklął siarczyście. Tym razem pod nosem. Zerknął przez ramię, czy aby Weronika nie zdążyła przemyśleć swojego zachowania i przyjść go przeprosić. Drzwi do kuchni wciąż jednak były zamknięte.

Adrian jeszcze przez chwilę wyładowywał swój gniew i frustrację wyłącznie w swoim umyśle, po czym zaczął zastanawiać się nad tym skądinąd cholernie dziwnym postępowaniem kobiety. Jej nagła zmiana zachowania, z którą miał do czynienia niemal od samego rana, mogła być wynikiem ciąży, jednak on nie dawał temu wiary. O wiele bardziej prawdopodobnym i jednocześnie o wiele bardziej przerażającym była myśl, że Weronika Sobczyk zaczęła zdawać sobie sprawę, że ma do czynienia z Adrianem Ostaszewskim. Tym samym Adrianem Ostaszewskim, który po śmierci swojej siostry przeszywał młodą Sobczykową wzrokiem pełnym nienawiści każdego kolejnego dnia.

- Psia mać! – pomyślał, po czym niemal natychmiast zreflektować musiał swoją ocenę sytuacji.

Weronika Sobczyk, jeżeli w pełni zdawała sobie sprawę z tego z kim się zadaje, nie miała najmniejszych powodów, by przymilać się do Adriana, zaciągać go do łóżka i, w co wierzył, próbować ułożyć sobie z nim życie. Z drugiej jednak strony mogła domyślić się wszystkiego dopiero niedawno i wpaść na isticie szatański pomysł, by również i nim, podobnie jak jego siostrą, zabawić się na wszystkich możliwych poziomach. Doprowadzić do psychicznej ruiny i zamęczać ciągłymi aluzjami o jego zmarłej siostrze. Wiedział, że do tego byłaby w pełni zdolna.

- Suka! – zaklął.

Żaden ze scenariuszy, który ułożył w głowie nie przewidywał sytuacji, w której kobieta domyśli się z kim ma do czynienia. To przerażało Adriana. Mroziło krew w żyłach i doszczętnie rujnowało cały, misternie utkany przez niego plan.

Wziął głęboki oddech. Puścił kurczowo trzymany parapet pozwalając, by zbielełe kłykcie jego dłoni w końcu odzyskały swój naturalny kolor. Musiał się uspokoić. Nie dać Weronice żadnych podstaw do tego, aby zaczęła sądzić, że to jej plan wypalił i teraz wie z kim ma do czynienia.

Odwrócił się na pięcie spoglądając na wciąż zamknięte drzwi do kuchni. Mógłby przysiąc, że tuż za nimi, z przystawionym prosto do nich uchem, stoi Weronika. Kto wie, może nawet podgląda mnie przez dziurkę od klucza, pomyślał.

Przeszedł energicznie przez całą długość pomieszczenia i z impetem otworzył drzwi. Zaskrzypiały. Za nimi jednak nie było nikogo. Tylko półmrok jaki pałętał się po korytarzu.

Adrian momentalnie przyjął swoją aktorską postawę i założył maskę człowieka zbolełego. Żywo dotkniętego słowami Weroniki. Zdołał nawet uronić kilka łez, które roztarł po policzkach, by wyglądać jeszcze bardziej żałośnie.

- Jeszcze jeden taki numer, suko, a umrzesz szybciej niż planowałem - pomyślał zanim wszedł do pokoju, by rozmówić się z kobietą.

* * *

Obudził się z ustami wtulonymi w pokłady wilgotnej ziemi. Pęknięte, broczące krwią wargi sprawiały wrażenie, jakby już na zawsze miały pozostać jątrzącymi się ranami. Ból głowy szedł w parze z nieznośnym, promieniującym po całym ciele bólem rozchodzącym się od nerek i klatki piersiowej. Napuchnięte powieki sprawiały wrażenie przybitych do małych kowadeł, które skutecznie uniemożliwiają otwarcie oczu.

Stanisław Wereszczuk, zmaltretowany, marzący tylko o tym, by fizyczne cierpienie tak po prostu się zakończyło, nie zdołał sięgnąć do twarzy by sprawdzić i oszacować wielkość obrażeń. Jego ręce, z jednym wybitym nadgarstkiem i - jak myślał - kilkoma połamanymi palcami, skrępowane były mocno solidną linką holowniczą. Podobnie jak i nogi,

które dodatkowo – jakby w takim stanie prałat mógł uciec co najmniej sprintem – obwiązane były wokół potężnego pnia jednej z przycementarnych olszyn.

Tochman i Radzymiński siedzieli nieopodal, na starym kamieniu mogiły i w ciszy spożywali swoje śniadanie, wpatrując się w nieznacznie wijącego się kapłana. Wokół nich panowała absolutna cisza, którą zagłuszało jedynie intensywne przeżuwanie Piotra. Wysoko zawieszona słońce, które niemiłosiernie traktowało swoim żarem całe Siedlany, tutaj – w cmentarnym zagajniku – niemal nie miało dostępu. Tylko jego nieliczne promienie potrafiły przebić się przez warstwę gęstego listowia sprawiając, że zapomniany cmentarz choleryków pogrążony był w przyjemnym w tak skworny dzień chłódzie. Seweriusz Tochman, niemal za każdym razem, gdy przekraczał starą, cmentarną bramę doznając momentalnego uderzenia chłodu, wmawiał sobie, że nie jest to zasługa niezwykle rozłożystych drzew, których bujne korony zasłaniały całe niebo ponad nekropolią, a najstarszych znajdujących się tam mogił. Co rusz więc zerkał ukradkiem w ich stronę – na siedem płyt nagrobnych pokrytych mchem i chwastami, jakby ujrzeć miał na własne oczy bijący z ich wnętrza chłód. Przeszywającą człowieka falę zimna, która dochodzi z głębi ziemi. Z miejsca, gdzie wciąż – w co święcie wierzył – spoczywają trędowaci pielgrzymi, jeżeli nie nawet sama śmierć.

– Mógłbyś przestać mlaskać jak pierwszy lepszy wieśniak? – zapytał z sarkazmem, rozkazującym tonem, gdy Radzymiński nieco zbyt głośno gryzł nadgniłe jabłko. – Kończ jedzenie i zabieraj się do roboty. Mamy mało czasu i bardzo dużo do zrobienia.

Widząc ognisty wzrok Seweriusza, Piotr niemal natychmiast przełknął zawartość swoich ust nie przejmując się zbytnio tym, że tkwił w nich jeszcze całkiem spory, niepogryziony kawałek owocu. Szybkim ruchem wyrzucił ogryzek daleko poza linię przycementarnych drzew i momentalnie wstał nie chcąc narażać się na kolejne uwagi Tochmana. Przeszedł przez kilka parceli nekropoli kopiąc po drodze leżącego na ziemi Wereszczuka. Ten zawył z bólu. Radzymiński jednak nawet na niego nie spojrzał. Jego wzrok skupiony był wyłącznie na jednym punkcie – prowizorycznym, zbitym ze starych, nieoheblowanych desek ołtarzu stojącym tuż ponad mogiłą, gdzie dwie dekady wcześniej Surzewski zakopać miał dziecko Aurelii Malewskiej. W pustym teraz

dole, odpowiednio powiększonym, oznaczonym dookołą dekoracją, miały spocząć dwa ciała. Tuż ponad ołtarzem zwiślał samotnie rytualny, szubieniczny sznur.

Patrząc w głąb czarnego jak noc otworu Radzymiński rozmarzył się myśląc o tym, jak pięknie będzie wykonać stary rytuał i ukatrupić winowajców ich nieszczęść i wszystkich niedoli

Splunął na ziemię, jakby chciał przypieczętować tym swoją chęć udziału w całym przedsięwzięciu. Zerknął na Tochmana, którego wzrok wbity był w najdalszą część cmentarza – w stare groby obarczone wszystkim, co najgorsze. Choć wielokrotnie powtarzał sobie, że to nieprawda, to jednak po raz kolejny dostrzegł w swoim znajomku to, czego nie spodziewał się wyczytać z jego twarzy.

Strach.

Nawet z takiej odległości widać było, że Seweriusz patrzy na tamte mogiły ze zgrozą. Mimowolnie zaciska dłonie w pięści i nerwowo tupie nogą.

Radzymiński odwrócił wzrok. Nie chciał pogrążyć się w myśleniu, że inicjator całej akcji, człowiek, od którego postępowania zależała przyszłość absolutnie wszystkich mieszkańców ich małej wsi, czegokolwiek się obawia.

- I tak wam się nie uda... - mamroczący głos Wereszczuka dobił do uszu Piotra tak niespodziewanie i gwałtownie, że ten aż podskoczył. Obrócił się w kierunku leżącego na ziemi prałata i spojrzał na niego z nienawiścią.

- Milcz klecho - rozkazał swoim bełkoczącym głosem.

Jeszcze kilka lat temu darzył Stanisława Wereszczuka całkiem sporą dozą sympatii, święcie wierząc w to, że jako kapłan ma kontakt z Bogiem i wie, że ten ich nie opuścił. Że mimo kolejnych tragedii, jakie spadały na Siedlany, ich życie się w końcu odmieni. Jednak z każdym kolejnym tygodniem, z każdym kolejnym miesiącem i rokiem, gdy Wereszczuk bredził wciąż jedno i to samo, gdy wieś w dalszym ciągu pozostawała prawdziwym przedsiönkiem piekła, zaczął tracić wiarę nie tylko we wszystko, co prałat głosił z ambony. W niego samego również zwątpił. W to, że w jakikolwiek sposób może im pomóc.

Piotr zaczął wspominać chwilę, gdy przyłączył się do Tochmana. Był pierwszym mieszkańcem Siedlan, który poszedł za jego słowami,

odwracając się od działalności Wereszczuka. Był pierwszym, który uwierzył w jego słowa o możliwości przezwyciężenia klątwy wyłącznie w bardzo radykalny, ale i stanowczy sposób. I to on miał teraz odegrać jedną z głównych ról całego przedsięwzięcia. A przynajmniej tak miał myśleć Tochman.

Piotr zerknął przez ramię. Seweriusz wciąż pogrążony był w zamyśleniu. Jego nalana twarz czerwieniejąca za każdym razem, gdy zbyt się denerwował, była niemal purpurowa. Spoglądał na najstarszą część cmentarza z przestraczem, a Radzymiński nawet nie wyobrażał sobie co by było, gdyby samozwańczy lider całej wiejskiej społeczności dowiedział się prawdy o wydarzeniach sprzed dwóch dekad i tego, że jego najwierniejszy kompan wcale nie jest takim bogobojnym świętoszkiem.

- Najciemniej jest zawsze pod latarnią - stwierdził uśmiechając się pod nosem. Uśmiech szybko zszedł jednak z jego twarzy, gdy ta wykłęciła się w nerwowym tiku. Bardzo specyficznym, bardzo przez Piotra niepożądanym. Przypominającym mu o tym, że w każdej chwili może stać się coś, czego sam nie będzie w stanie powstrzymać żadnymi siłami.

Uspokoił się biorąc długi, głęboki oddech. Jego wielkie pięści wyglądające niczym ociosane z granitu młoty drżały jednak. Radzymiński wiedział, że musi się czymś zająć. Przestać myśleć o tym aspekcie swojego życia, który w kilka sekund może go kompletnie zrujnować.

Podszedł bliżej prowizorycznego ołtarza i sięgnął po płócienny worek leżący tuż obok. Cały był przesiąknięty czymś śmierdzącym. Po otworzeniu worka Piotr zakrztusił się, a jego żołądek wpadł w torsje. Odczekał chwilę przyzwyczajając się do niebotycznego smrodu dochodzącego ze środka, po czym przechylił go i wysypał jego zawartość do mogiły po dziecku Aurelii Malewskiej.

Martwe, na wpół rozkładające się ciała kruków i wron wypełniły dolną część grobu. Wyglądały jak skumulowana masa czegoś nieokreślonego, czegoś tak bardzo iluzorycznego, że tylko łączące po truchłach robaki zdawały się potwierdzać, że to, na co patrzy Piotr jest jak najbardziej realne.

- Boże, przebacz im... - Wereszczuk po raz kolejny odezwał się słabym, ale stanowczym głosem.

- Zamknij gębę! - głos Tochmana rozszedł się echem po całej nekropolii. Najwyraźniej nawet on, siedząc kilkanaście metrów dalej, usłyszał stękającego prałata. Wstał z kamiennej płyty na której siedział i natychmiast skierował się w jego kierunku.

- Jesteś głupcem, jeżeli myślisz, że... - leżący na ziemi Stanisław nie zdążył dokończyć swojego przemówienia, gdy na jego twarz posypały się kolejne ciosy wymierzane mu przez Seweriusza.

- Taki byłeś pewny swego - zaczął Tochman, gdy skończył okładać Stanisława. - Taki hop, do przodu. Ciągłe gadałeś, że kłątwa jest brednią, że nie istnieje. A jakoś jej skutki odczuwamy cały czas. Nic, tylko zło panoszy się w naszej wsi.

- Ty jesteś za nie odpowiedzialny - zdołał wymamrotać Wereszczuk wypluwając pokaźną porcję krwi, jaka zalała mu usta. - Nikt inny...

Tochman uśmiechnął się pod nosem, by po chwili śmiać się górując nad trzęsącym się z bólu prałatem. Nie zamierzał uderzyć go choćby jeden raz więcej. Nie chciał pozbawiać go ani przytomności, ani tym bardziej życia. Jedyne, czego pragnął, to widzieć, jak Stanisław Wereszczuk staje się świadkiem jego wielkiego triumfu.

- Jedynym złem, jakie wyrządziłem, i to wyłącznie samemu sobie, był fakt, że kiedyś zaufałem ci tak, jak inni. Na szczęście w porę obudziłem się z tego myślowego letargu. Przejrzałem na oczy i sprawiłem, że wszyscy poszli za mną. Nie ma już w naszej kochanej wiosce nikogo, kto mógłby cię uratować. Kto jeszcze wierzy w twoje brednie, jakimi obdarzasz nas z ambony. Miłosierdzie? Cierpliwość? Też mi coś! Nas może uratować tylko działanie!

Serweriusz podniósł wzrok i spojrzał w oczy stojącemu nieopodal Radzymińskiemu.

- Wszystko gotowe? - zapytał, choć jego ton sugerował, że nie wyobraża sobie, by było inaczej.

- Możemy zaczynać - odpowiedział Piotr kiwając porozumiewawczo głową.

- W takim razie pora wyruszyć po tę niewierną dziwkę - Tochman był zmotywowany jak jeszcze nigdy wcześniej. - Krew jej bękarta już niedługo zakończy nasze cierpienia.

1999

ROZDZIAŁ XX

Unoszący się w powietrzu stukot butów niósł się echem w korytarzu zalanym śnieżnobiałym światłem padającym z jarzeniówek. Kroczący nim mężczyzna był spięty, jednak robił wszystko, by jego twarz wyglądała jak najbardziej naturalnie. Starał się również wyzbyć wszystkich nerwowych odruchów, gdy mijający go personel medyczny lustrował wzrokiem jego osobę oraz niechlujnie przypiętą do kamizelki plakietkę z napisem „Gość”.

Znalezienie miejsca, do którego zmierzał, nie zajęło mu zbyt wiele czasu. Raptem kilkadziesiąt sekund, w czasie których zdołał nie tylko zlokalizować salę numer 110. Przyjrzał się również siedzącym tu i ówdzie na krzesłach pacjentom. Wypisany na ich twarz wewnętrzny, dręczący umysł ból przypominał mu o nie tak dawnych czasach, o których wołał zapomnieć. Pogrzebać raz na zawsze w sobie tylko wiadomych rejonach umysłu.

Porzucił rozważania na ten temat gdy tylko przekroczył próg sali, a na najdalszym łóżku umiejscowionym pod oknem zobaczył leżącego na nim znajomego. Ten zaś, kiedy tylko jego wzrok padł na wkraczającą do pomieszczenia postać, przeląkł się tak bardzo, że nerwowo zaczął wciskać guzik alarmowy mający przywołać salowe bądź lekarzy. Widać było jednak z daleka, że nie działa, pozostającym tylko starym, bezużytecznym reliktem mającym wprowadzić choć trochę spokoju do pełnego nerwów życia pacjenta.

Leżąca na łóżku postać była przywiązana do niego pasami. Wyglądała przeraźliwie marnie nawet jak na kogoś, kto niemal ciągle przyjmuje leki, ale, wedle lekarzy, powraca do zdrowia i stabilności psychicznej. Zmierzający w jej stronę mężczyzna dziwił się jednak, że

uznawana za tak okropny przypadek medyczny persona, jaką był Michał Surzewski, leży w dużej, wieloosobowej sali, nie zaś w izolatce.

- To tyyyy... - zdołał wydusić z siebie Surzewski, gdy odwiedzający go mężczyzna podszedł w końcu do jego łóżka i jak gdyby nigdy nic usiadł na znajdującym się nieopodal koślawym krześle. Rzucił przelotne spojrzenie na stojącą obok szafkę i znajdujące się na niej rzeczy - wodę do picia i resztki owoców podanych na papierowym talerzyku - po czym przerzucił wzrok na pacjenta. Błada twarz Michała zrobiła się jeszcze bardziej blada, a on sam zaczął trząść się niczym w malignie.

- Wszystko im opowiem! Wszystkiego się domyśliłem i teraz wszystko wiem, ty pieprzony bydlaku! Przypomniałem sobie, kiedy tylko znowu zacząłem brać swoje leki!

Tajemniczy wizytator nie odpowiedział w pierwszej chwili. Wpatrywał się tylko w leżącego na łóżku znajomego, jakby zdawał sobie sprawę z tego, że żadna z jego gróźb nigdy się nie wypełni.

- Nie mam pojęcia o czym mówisz - odrzekł w końcu po dłużej się chwili ciszy.

- To ty mi powiedziałaś o klątwie i kazałaś w nią uwierzyć! Ty mi wmówiłaś, że Malewska to diabeł wcielony! Ty mnie zwiodłaś, omamiałaś! Stwierdziłaś, że leki pętają mój umysł!

Mężczyzna nie odpowiedział. Nie miał zamiaru zaprzeczać.

- Wiesz, że zostałem nowym kościelnym? - powiedział po chwili z wyraźnym zadowoleniem w głosie.

- Sukinsyn... - wycodził przez zęby Surzewski. Jego twarz na przemian ukazywała to przerażenie, to wściekłość. - To ty powinienes tu leżeć! Przykuty i zakneblowany! Pieprzony psychol!

- Nie ja zabiłem dziecko Malewskiej - kolejne słowa padały z ust tajemniczego mężczyzny z wyraźną nonszalancją.

- Ale to ty...yyy...yy... - Michał Surzewski nie zdążył dokończyć swojej litanii oskarżeń, gdy siedzący przy nim mężczyzna, w błyskawiczny sposób, zdołał wyciągnąć spod jego głowy poduszkę i przyłożyć mu ją do twarzy.

Surzewski, spętany pasami bezpieczeństwa, nie miał nawet najmniejszego pola manewru. Jeszcze długą chwilę rzucał się na łóżku. Starał się wykrzyczeć prośby o pomoc, jednak każde pojedyncze słowo ginęło pochłaniane przez warstwę grubego puchu.

Tajemniczy gość przytrzymał poduszkę przy twarzy Michała wydzierając z jego ciała życie z taką lekkością na twarzy, jakby nie pierwszy i nie ostatni raz miał zamiar kogoś uśmiercić. Co chwilę tylko zerkał za siebie - na pokój i pogrążony w odgłosach dnia korytarz - wypatrując, czy nikt się nie zbliża. Kiedy Surzewski przestał się nerwowo ruszać, a jego chuderlawe ciało stało się wiotkie niczym nac pietruszki, z powrotem umieścił poduszkę pod jego głową, jednocześnie modelując niechciany grymas rysujący się na martwej twarzy. Jeszcze chwilę poczekał upewniając się, że ten nie żyje, a następnie wyszedł z sali nie mogąc uwierzyć w to, że wszystko poszło tak łatwo, gładko i sprawnie. O wiele prościej niż znalezienie w leśnych ostępach tracącej zmysły Aurelii Malewskiej przyciskającej do piersi swoje martwe dziecko. Nie miał pomysłu na to, co z nią zrobi i jak ostatecznie rozwiąże jej kwestię, więc póki co wolał przetrzymać ją w małym, prowizorycznym pomieszczeniu w swojej starej szopie. Wiedział jednak, że musi się śpieszyć, bo smród rozkładu zalatujący od nieżywego dziecka był nie do wytrzymania, a i sama Aurelia zdołała już dwukrotnie spróbować ucieczki.

- Przepraszam! - usłyszał nagle za swoimi plecami, gdy był już niedaleko wyjścia. Krew od razu zastygła w jego żyłach, a on sam zaczął oddychać o wiele za szybko. Niemal natychmiast zaczął się również pocić.

- Czy ja pana skądś nie znam? - pielęgniarka była co najwyżej w jego wieku. Blond włosy opadały jej nieznacznie na czoło równo przyciętą grzywką, odcinając się niemal idealną linią od bystrych oczu przeszywających go piorunującym wzrokiem. - Chyba był pan nie tak dawno temu naszym pacjentem, nieprawda? Dobrze widzieć pana w pełni sił! - powiedziała i uśmiechnęła się, jakby była stuprocentowo przekonana o słuszności swoich słów.

- Nie mam pojęcia o czym pani mówi. Żegnaj - nie zważając na pytające spojrzenie, odpowiadając sucho, z nutą zawadiackiej beczelności, Piotr Radzymiński odwrócił się na piecie i wyszedł z budynku, by nie zawitać do niego już nigdy więcej.

2019

ROZDZIAŁ XXI

Adrian Ostaszewski mógł pogratulować sobie wprawnej taktyki prowadzenia rozmowy z Weroniką. Odpowiedni dobór każdego kolejnego słowa, wykonywanie niemal teatralnych gestów mimicznych mających ukazać jak bardzo dotknęło go wyznanie kobiety, a przede wszystkim wzrok – pełen żalu i rozgoryczenia – którym zalewał ją w każdej kolejnej sekundzie sprawiły, że siedząca po przeciwległej stronie kanapy Weronika płakała przeprasząc go po stokroć za to, co powiedziała.

Gdy tylko wszedł do pokoju od razu zasiadł przy niej i zaczął prowadzić swój długi, okraszony różnymi detalami monolog. Najpierw rzucił w stronę kobiety wiele uwag na temat jej zachowania. Paskudnego i odrażającego, pełnego lekceważącego tonu i klęć, których nie spodziewał się od niej usłyszeć. Później przeszedł do wymyślonej na szybko opowieści o sobie samym z lat młodzieńczych. O wielokrotnych przeprowadzkach rodziców, zmianach szkół, nieustannym poczuciu alienacji i inności. Ze szczegółami opisywał sposoby gnębienia go przez rówieśników i starszych. Niekończące się dni wypełnione strachem, które sprawiły, że musiał leczyć się na depresję.

Nawet on sam był zaskoczony tym, jak płynnie idzie mu oszukiwanie Weroniki. W pewnym momencie – przytaczając kolejną historię o pobiciu go przez jego najgorszych oprawców – rozplakał się jak małe dziecko. Było to tak realistyczne i tak dojmujące, że wpatrująca się w niego kobieta miała wyrzuty sumienia wypisane na zbolalej, białej niczym całun twarzy.

Adrian chciał wczuć się w swoją rolę jak najlepiej. Opowiadając Weronice anegdoty ze swojego młodzieńczego życia ciągle myślał o

tym, co musiała przechodzić jego siostra. Jak bardzo Martyna zamknęła się w sobie. Jak wiele złego musiało dziać się w jej głowie, aż w końcu nie wytrzymała. Krucha, bezbronna, niewinna istota. Gdy więc zakończył swoją przemowę pozwalając, żeby w pokoju zapanowała idealna cisza przerywana tylko łkaniem Weroniki, poczuł się o wiele lepiej. Choć miał spuszczoną głowę i cierpiętniczy wyraz twarzy, w duchu cieszył się, że doprowadził Sobczykową do takiego stanu. Słyszając jej płacz i zgrzytanie zębów miał nadzieję, że jest to jeden z wielu momentów ich wspólnego życia, kiedy ona będzie przytłoczona, przybita i kiedy będzie czuć się winna za wszystko, co złe.

Wstał z kanapy raz jeszcze obdarzając kobietę wzrokiem pełnym zawodu.

- Przepraszam... - wydukała pomiędzy kolejnymi spazmami płaczu.

Nic nie odpowiedział. Sięgnął tylko po znajdujące się na stoliku kluczyki zwracając uwagę, by dźwięcznie zastukały przykuwając uwagę Weroniki, po czym skierował się w stronę wyjścia.

- Gdzie idziesz? - w głosie kobiety słychać było pewnego rodzaju przerażenie. Zupełnie, jakby słowa „błagam, nie opuszczaj mnie teraz” i „ja naprawdę nie chciałam” złączyły się w psychologicznym mariażu.

- Muszę wyjść. Ochłonąć - odpowiadając zdawkowo Adrian próbował dać jej do zrozumienia, że jego złe samopoczucie prędko go nie opuści.

- Nie! Proszę! - zdążyła zawołać Weronika, jednak mężczyzna wyszedł, odcinając się od niej nieznacznym trzaśnięciem drzwiami.

Zanim udało jej się wstać z sofy i podejść do frontowych drzwi, usłyszała charakterystyczny dźwięk sinika odpalanego lexusa, by po chwili ujrzeć tumany kurzu wzbijające się za szybko odjeżdżającym samochodem.

Skuliła się nieznacznie i znowu zaczęła płakać. Dziecko kopnęło ją z całej siły sprawiając, że miała wrażenie, jakby jelita przestawiły jej się z góry na dół.

Stęknęła zaciskając usta. Czym prędzej wróciła do pokoju i usiadła. Upiła łyk wody i zaczęła głęboko oddychać. Musiała przestać się denerwować i płakać. Jej córka z pewnością wszystko czuła. Nie mogła więc ulegać złym nastrojom i niepokojom. Tym bardziej była na siebie zła, że dopuściła się takiego kretyńskiego zachowania.

- Co ja sobie myślałam - powiedział półgłosem nie mogąc uwierzyć, że w ciągu paru chwil prawdopodobnie spieprzyła wszystko, co udało jej się zbudować w relacji z Adrianem.

Gdy zaczęła o wszystkim myśleć raz jeszcze - o swoich bezsensownych przypuszczeniach, o tym, jak bardzo dała się omamić własnemu głupiemu myśleniu - zaklęła na głos zastanawiając się, jak to wszystko odkręcić. Wciąż nie mogła uwierzyć, że tylko przez zbieżność nazwiska pomyślała o Adrianie jako o kimś, kim nie był. Kręciła z niedowierzaniem głową wspominając każde swoje słowo, jakie powiedziała w jego kierunku tym swoim aroganckim głosikiem. Wyszła na totalną sukę. Na kobietę, która w ogóle nie zasługuje na takiego świetnego faceta jak Adrian.

Zamknęła oczy starając się odprężyć. Głaskała brzuch ciągle czując ruchy swojego dziecka. W myślach prosiła niebiosa, by Adrian przyjechał do niej jak najszybciej. By już się na nią nie złościł, by było tak, jak wczoraj - pięknie i romantycznie.

Wyciągnęła rękę w kierunku komórki. Chciała natychmiast do niego zadzwonić błagając, by wrócił. Powiedzieć, jak bardzo samotna czuje się bez niego. Jak bardzo żałuje za wszystko, co powiedziała. Telefon jednak odpowiedział jej wyłącznie ciszą. Nie miała nawet jednej kreski zasięgu. Zdenerwowana rzuciła go na stół. Zaklęła po raz kolejny.

Za oknem wspaniały, słoneczny dzień zaczął zmieniać się z sekundy na sekundę. Promienie słońca przygasły, by w następnej minucie pozostać tylko wspomnieniem. Jakby wkrótce miała rozpętać się prawdziwa, huraganowa burza, na niebo wstąpiły ciężkie, ołowiane chmury. Wiatr zaczął dąć w szyby i pisać w rynnach.

Weronika wstała i zaczęła iść w stronę wyjścia na taras czując rozprzestrzeniający się po domu przeciąg. Tylne drzwi były otwarte, a zawieszona przy oknach firana wydymała się przybierając formę lewitującej nad podłogą zjawy.

Mimo ciągłego bólu powodowanego przez ruszające się dziecko, podeszła najszybciej jak tylko mogła do drzwi i zamknęła je czując chłodny wiatr wędrujący po jej ciele. Sekundę później, na drewniane schody tarasu zaczęły spadać pierwsze krople deszczu.

Weronika wyjrzała przez szybę roztaczając wzrok po zachmurzonym niebie, by chwilę później wpatrywać się w wyginane pod naporem

wiatru drzewa wyznaczające linię lasu tuż za jej domem.

Zamarła.

Wydawało jej się, że pośród starych, wiekowych pni i wznoszących się tylko nieznacznie ponad ziemię krzaków, dostrzegła jakiś ruch. Skupiła wzrok na tym miejscu, by po chwili, kątem oka, dostrzec to samo tuż obok. Jakby między drzewami ukrywała się jakaś osoba, która z niezwykłą prędkością przemieszczała się zanim wzrok Weronik zdołał jej dosięgnąć.

Kobieta stała jeszcze przez parę minut przy oknach wychodzących na taras, próbując utwierdzić się w przekonaniu, że to tylko wiatr płała jej figle.

- Znów wszystko demonizujesz - powiedziała, jakby musiała przekonać siebie samą. Podskórnie bowiem poczuła dziwne ukłucie strachu. Momentalnie przypomniała sobie swoich sąsiadów, którzy dziwnym wzrokiem wpatrywali się w nią pierwszego dnia, tuż po przyjeździe. Weronika była zła na siebie i na swoje myśli, które podsunęły jej obrazy całego wiejskiego zgromadzenia, które w ukryciu - schowane pomiędzy drzewami - przypatruje jej się każdego dnia i każdej nocy. Bacznie obserwuje każdy ruch. Czeka na coś, o czym wiedzą tylko miejscowi.

- Boże, co za bzdury... - szepnęła, po czym zaczęła kierować się w stronę pokoju. Przechodząc przez korytarz i przerzucając swoje myśli z powrotem w stronę rozważań o Adrianie, usłyszała ciszy szmer. Niemal niedostrzegalny, delikatny, budzący jednak niepokój. Zaczęła nerwowo rozglądać się wokół siebie. Raz jeszcze zerknęła w stronę wyjścia na taras, przerzuciła wzrok w kierunku salonu i zamkniętych drzwi prowadzących do kuchni. Dopiero po pewnej chwili jej wzrok padł na znajdujące się na końcu korytarza drzwi frontowe.

W ciągu jednej sekundy struchlała, nogi się pod nią ugięły, a żołądek wpadł w nerwowe torsje. Szeroko rozwarte oczy wyrażały jedynie strach, który doskonale uwidaczniały trzęsące się dłonie.

Klamka od drzwi wejściowych nieznacznie się poruszała. Widać było, jak milimetr po milimetrze, kawałek po kawałku, opada w dół. Po drugiej stronie ktoś próbował bardzo cicho i niemal niezauważalnie dostać się do środka. Naciskał klamkę prawie bezszelestnie.

Weronika doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie może to być Adrian. Nie było najmniejszego powodu, dla którego miałby w taki, a nie inny sposób, wchodzić do domu.

Kobieta przeraziła się, a jej umysł stał się w momencie jedną wielką pustką. Nie było w nim żadnych, nawet najmniejszych, oznak racjonalnego myślenia, które mogłyby pomóc w rozpoznaniu sytuacji. Zamiast działać od razu, bez zastanowienia – powierzyć wszystko pierwotnemu instynktowi – wpatrywała się tylko, jak klamka opada niżej i niżej. Wsłuchiwała się w nikły dźwięk kurczącej się sprężyny w zamku, z napięciem oczekując co się stanie, gdy ręka po drugiej stronie w końcu docisnie klamkę do spodu. Tych kilka sekund, w czasie których stała niczym słup soli z przerażeniem wpatrując się w całą sytuację, wydawało się trwać w nieskończoność. Jakby czas wokół niej zmienił swoją formę i rozciągnął się do niebotycznych rozmiarów.

Po chwili jednak Weronika musiała zmierzyć się z okropieństwem rzeczywistości. Z przerażającym faktem, że jej nowy dom – ta mała świątynia, gdzie zamierzała przeżywać tylko radosne chwile – staje się miejscem, do którego ktoś próbuje wdrzeć się gwałtem. W przebiegu świadomości nagłym niczym trzaśnięcie gromu, odwróciła się i tak szybko, na ile pozwalał jej stan, pobiegła do kuchni, by w następnym momencie starać się w jakikolwiek sposób zaryglować drzwi do pomieszczenia, używając do tego wysokiego, barmańskiego krzesła. Z sercem bijącym w szaleńczym tempie, z żołądkiem podchodzącym do gardła, sięgnęła do szuflady wyjmując najdłuższy i najszerszy nóż jaki miała.

Wstrzymała oddech nerwowo wsłuchując się w otoczenie. W małym korytarzu prowadzącym wzdłuż domu przez cały parter, ktoś stawiał delikatne kroki, by po chwili przestać kryć się ze swoją obecnością.

- Znajdźcie tę sukę – usłyszała gburowaty, niski głos. Rozpoznała go natychmiast. W jej domu, wraz ze swoimi kompanami, grasował mężczyzna, który dzień wcześniej był u niej podając się za lokalnego księdza.

* * *

Wystający lekko ponad ziemię korzeń był niewielki, jednak całkiem ostry. Motający się w szale Stanisław Wereszczuk próbował użyć go do

przecięcia krępującego jego ręce sznura, nie zważając na ból rozchodzący się po całym ciele. Wiedział, że prawdopodobnie nie ma zbyt wiele czasu. W każdej chwili na stary cmentarz mogli wrócić Tochman i Radzymiński, bądź inna osoba, którą udało im się zwerbować do swojej grupy.

Gdy dwójka oprychów zostawiała go samego, mówili coś między sobą o ostatnim punkcie przygotowań. Prałat doskonale zdawał sobie sprawę, że w grę wchodziło życie nowoprzybyłej do miasta kobiety i jej dziecka. Leżąc na ziemi, poobijany i obwiązany sznurem, żałował teraz, że w porę nie zadziałał zdecydowanie bardziej pewnie. Klął na siebie rozmyślając o kartce wrzuconej pod drzwi do domu kobiety.

- Idiota... - skwitował rozmyślając o tym co by było, gdyby w porę powiadomił odpowiednie służby.

Na gdybanie było już jednak za późno. Seweriusz wraz z Piotrem podjęli bardzo konkretne działania wierząc w to, że znaleźli sposób na odwrócenie klątwy. Pokonanie ciężącego nad Siedlanami, w ich mniemaniu, zła. Musiał więc jak najszybciej wyswobodzić się i znaleźć najlepsze rozwiązanie w całej tej sytuacji. Nie potrafił jednak zupełnie racjonalnie myśleć.

- Jeszcze tylko trochę... - szeptał pod nosem czując, że sznur pęka. Gęste krople potu spływały po jego czole i policzkach, towarzysząc krwi, która wciąż lała się z nosa i ust. Pęknięty łuk brwiowy bolał go niemal tak samo, jak złamane palce jednej z dłoni. Za każdym razem jednak, gdy myślał o bólu, przypominał sobie co miejscowi, na czele z Tochmanem, mogą zgotować ciężarnej kobiecie.

Szamotanina Wereszczuka trwała jeszcze kilka długich minut, w czasie których pogoda zmieniła się nie do poznania. Z nieba zniknęło słońce, a przez gęstwinę liści drzew okalających nekropolę nie przedostawały się nawet najsłabsze przebłyski promieni. Zaczął padać deszcz, wolno przeciekając przez liściastą kopułę, by po kilku chwilach lać się na ziemię całymi falami, tworząc na terenie cmentarzyska ogromne bajoro.

- Kur... wa! - Wereszczuk zaklął sylabizując, jakby miało to umniejszyć fakt, że z jego ust dobyło się niewłaściwe słowo. W końcu jednak, po długim i intensywnym wysiłku, sznur krępujący ręce puścił. Prałat niemal zawył z rozkoszy, powoli i ostrożnie prostując skostniałe

ręce. Przez kilka pierwszych chwil wolności czuł się tak, jakby jego barki nie mogły przyzwyczać się do nowej sytuacji. Próbował je natychmiast rozmasować, jednak pomagało to tylko doraźnie, dopóki dłoń dotykała ciała. Musząc pogodzić się z tym, że jego motoryka będzie ograniczona w dość dużym stopniu, skupił się na rozwiązaniu sznura, jaki wciąż zaciskał się na jego nogach. Zajęło mu to dłużej, niż mógł przypuszczać, za co był na siebie wściekły. Kilka prostych węzłów wystarczyło, by stracił kolejne minuty mocując się z nimi niczym dziecko ze źle zawiązanymi sznurówkami.

Kiedy ostatecznie udało mu się uwolnić nogi odetchnął kilka razy głęboko. W czasie wyswobodzenia spożytkował tyle energii, że czuł się niczym po przebiegnięciu całego kilometra, czego nie zrobił od czasów swojej dalekiej, licealnej młodości.

Wstał z ziemi zdecydowanie zbyt gwałtownie. Chwilowe mroczki przed oczami zmieniły się w zupełną czerń, która trwała dobrych kilka sekund. Towarzyszył jej potworny, intensywny ból głowy.

Wereszczuk zachwiał się i upadł na jedno kolano. Upłynął długi moment nim zdecydował się wstać. Powoli, o wiele bardziej ostrożnie, zważając na to, że jego głowa stanowi jeden, wielki, pulsujący mięsień pełen siniaków, otarć i wybroczyn. Dopiero gdy wstał i zdołał utrzymać pion rozejrzał się dookoła stwierdzając, że na lewe oko widzi dużo gorzej. Nie wiedział, czy było to spowodowane rozległym obrzękiem idącym aż od kości policzkowej, czy bardziej skomplikowanym uszkodzeniem gałki ocznej. Nie miał jednak czasu, aby zastanawiać się nad tym, a tym bardziej użalać nad sobą. Po kilku niemrawych krokach wykonanych w kierunku cementarnej bramy jego organizm przyzwyczał się ponownie do pionowej pozycji.

Kuśtykając, łapiąc się co rusz, mimowolnie, za miejsca, w których przenikał go ból, Stanisław Wereschczuk wyruszył w długą drogę w kierunku wsi mając nadzieję, że do ostatecznej tragedii jeszcze nie doszło.

ROZDZIAŁ XXII

Seweriusz Tochman szybko znalazł pomieszczenie, w którym najprawdopodobniej ukrywała się kobieta. Zaryglowane drzwi prowadzące do kuchni przykuły jego uwagę chwilę po tym, jak z grupą pomocników wszedł do domu. Każda najmniejsza część planu szła wręcz idealnie. Jakby prawdziwa Opatrzność czuwała nad nimi i pomagała w wykonaniu wszystkiego celem przepędzenia klątwy z Siedlan.

Już kiedy podchodzili pod dom zobaczyli, że nie stoi przed nim żaden samochód.

- Odjechał - powiedział ktoś z grupy mając na myśli mieszkającego z kobietą mężczyznę.

- Lepiej dla nas - Seweriusz nie ukrywał, że to zdecydowany plus. Dzięki temu mogli skupić się na samej kobiecie, nie myśląc zbyt o tym, jak zneutralizować jej przydupasa, zostawiając go sobie na później.

Pod dom kobiety podeszli od frontu, szybko i sprawnie przechodząc przez otwartą bramę. Mimo wszystko chcieli zachować pewien element zaskoczenia. Sprawić, by przebywająca w domu ciężarna nie spodziewała się szybkiego, frontalnego ataku. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Tochman zdał sobie sprawę z tego, gdy lekko i powoli naciskał klamkę do momentu, w którym sprężyna wyraźnie puściła utwierdzając go w przekonaniu, że dostaną się do środka bez najmniejszego użycia siły. Nim wszedł do budynku zerknął przez ramię na Radzymińskiego i jego dwóch kompanów - nieco podstarzałych pijaczków, którzy jednak idealnie nadawali się do brudnej roboty, a w razie czego ich strata nie byłaby zbyt wielką dla całego przedsięwzięcia.

Piotr Radzymiński doskonale wiedział co ma robić. Odesłał jednego ze swoich oprychów na tył domu, od strony drzwi na taras, po czym

wskazał drugiemu fragment drogi prowadzącej przez wieś prosto pod dom kobiety, gdzie z gwizdkiem w ręce miał czatować i wypatrywać nadjeżdżającego samochodu.

Tochman wszedł do domu nie czekając na Piotra. Chciał rozkoszować się chwilą, kiedy spojrzy w oczy przerażonej, niczego nie spodziewającej się kobiecie i w ciągu jednej sekundy uświadomi ją, że przyjeżdżając do Siedlan popełniła największy błąd swojego życia.

Parter wydawał się jednak pusty. Stojący w progu Seweriusz rozejrzał się pobieżnie po kątach stwierdzając, że kobiety nie ma w zasięgu wzroku. Zostały więc tylko dwie możliwości. Albo znajdowała się w którymś z górnych pomieszczeń, albo jakimś cudem zobaczyła ich i zdążyła się ukryć. Pomyślał więc, że nie ma sensu dłużej ukrywać swojej obecności.

- Znajdźcie tę sukę - syknął do stojącego w korytarzu Radzymińskiego, za którym widać było biegnącego w ich kierunku Cymańskiego - lokalnego kuternogę, jednak silnego niczym tur. Sam zaś zaczął rozglądać się po parterze, bardzo szybko kierując się w stronę jedynek zamkniętych drzwi wychodzących na korytarz. Szybko podszedł do nich i chwycił za klamkę.

Były zaryglowane. Nie jednak na zamek. Podtrzymało je coś improwizowanego. Prawdopodobnie stolik lub krzesło. Tochman od razu domyślił się, że kobieta musiała zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje, i czym prędzej się ukryła.

- Puk, puk! - zażartował stukając w drzwi i wypowiadając swoje kwestie w sarkastycznym tonie. - Jeszcze o tym nie wiesz, ale już jesteś martwa.

Przyłożył ucho do drzwi. Miał nadzieję, że usłyszy żalosne stękania lub płacz. Tymczasem jedyne co usłyszał, to cichy szmer zawodzącego wiatru.

- O zesz kurwa! - wykrzyknął, po czym z furią zaczął uderzać i kopać w drzwi dopóki nie stanęły przed nim otworem niemal wyrwane z zawiasów. Blokujące je wcześniej krzesło potoczyło się daleko, na koniec pomieszczenia, lądując tuż pod otwartym na oścież oknem. Po ciężarnej kobiecie nie było nawet śladu, a o jej ucieczce świadczyły porozrzucane rzeczy na parapecie.

- Niech to szlag! - Tochman uderzył we framugę drzwi nie mogąc uwierzyć, że dał się podejść jak dziecko. W kolejnej sekundzie podbiegł do otwartego okna, wychylił się przez nie i szybko ogarnął wzrokiem najbliższą okolicę. Nigdzie nie widział jednak kobiety. Nie zdziwił się, że mogła uciec bez najmniejszych problemów. Zewnętrzny parapet znajdował się na wysokości najwyżej metra nad ziemią.

- Biegnij za dom! - słowa skierowane do Radzymińskiego były pełne agresji i wściekłości. Piotr posłusznie wykonał polecenie, choć widać było, że jego twarz wyraża same obawy. Tochman sam doskonale wiedział, że jeżeli kobiecie uda się kogoś poinformować o całym zajściu i, nie daj Bóg, sprowadzi tu policję, to cały ich misterny plan spali na panewce.

Szybko pobiegł za dom od drugiej strony. Po drodze pchnął pałętającego się w korytarzu Cymańskiego i przewrócił wieszak na ubranie. Gdy wybiegł z budynku rozglądał się wszędzie dookoła, jednak nie potrafił dostrzec nawet najmniejszego śladu świadczącego o tym, gdzie mogła uciec kobieta. Błyskawicznie znalazł się przy kuchennym oknie spotykając tak samo bezradnego i zdezorientowanego Radzymińskiego.

- I nic? - zapytał, jakby wzrok Piotra nie mówił sam za siebie.

- Nie mogła uciec daleko. Musi być gdzieś bardzo blisko.

Tochman po raz pierwszy tego dnia musiał zgodzić się ze swoim kompanem. Ciężarna z pewnością nie mogła pochwalić się sprawnością sprinterki, wszyscy mieszkańcy - jak okiem sięgnąć - byli po jego stronie, wiedzieli co planuje i do czego ma mu posłużyć kobieta, a do najbliższego miasta było kilkanaście kilometrów wiodących przez gęsty las i rozległe pola. Kobieta mogła oczywiście mieć przy sobie telefon komórkowy, jednak na nic jej się zda i Seweriusz świetnie zdawał sobie z tego sprawę - żadna sieć nie miała tutaj zasięgu. Żadna.

- Zawołajcie wszystkich - powiedział ze stoickim spokojem Tochman, kiedy uświadomił sobie, że nie ma się czego bać. - Niech przygotowują się do rytuału. Nasze polowanie będzie bardzo krótkie.

* * *

Weronika czuła się, jakby lada chwila miała zemdleć. Choć co moment przystawała, aby odsapnąć, wiedziała, że nie może ustać w ucieczce.

Była zbyt zmęczona, by rozplakać się ze strachu i bezsilności, jednak łzy same zaczęły cieknąć jej po policzkach. Znajdowała się tylko kilkadziesiąt metrów od swojego domu. Schowana za kolejnymi szpalerami drzew kroczyła zygzakiem do najbliższego budynku, gdzie – jak miała nadzieję – znajdzie ludzi gotowych jej pomóc. Ciągłe słyszała dobiegające z oddali krzyki i nawoływania grupy mężczyzn i zupełnie nie mogła pogodzić się z całą tą sytuacją. Nie potrafiła zrozumieć, czego chce od niej banda oprychów, którzy jak gdyby nigdy nic weszli do jej do domu. Wszystko bowiem wskazywało na to, że nie zrobili tego po prostu w celach rabunkowych.

Żałośnie zapiszczała pod nosem. Z wielkim, ciężowym brzuchem każdy krok był dla niej wyzwaniem. Pociła się niesamowicie i świeża, założona rano sukienka wyglądała, jakby Weronika brała w niej prysznic i wcale nie było spowodowane to rześnistym deszczem, który tylko pogarszał całą sytuację, w jakiej się znalazła.

Zatrzymała się czując potężną falę bólu rozchodzącą się w dolnej części brzucha. Miała nadzieję, że to po prostu niezwykle intensywne ruchy jej córki, nie zaś jeden ze skurczy przepowiadających.

Zawyła zaciskając mocno zęby. Oparła się o pień drzewa i położyła rękę na brzuchu prosząc w duszy swoje maleństwo, by nie sprawiło jej niemiłej niespodzianki i nie zaczęło prosić się na ten świat już teraz, prawie miesiąc wcześniej, niż miało to zrobić.

Kobieta zdawała sobie sprawę, że w przypadkach silnego stresu może dojść do dużo wcześniejszego rozpoczęcia całej akcji porodowej. Jakkolwiek powinna zredukować swoje zdenerwowanie, tak sama myśl o tym powodowała, że zaczęła stresować się jeszcze bardziej.

Zaklęła pod nosem słysząc, że gdzieś w oddali, choć nie tak daleko jakby chciała, leżące na ziemi gałęzie trzaskają pod naporem czyichś kroków. Zaparła się mocno i zaczęła iść przed siebie zwiększając tempo.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że zaledwie trzy dni po przeprowadzce ktoś chciał wyrządzić jej krzywdę. Brzęczące w myślach słowa „znajdźcie tę sukę”, które usłyszała, napełniły ją takim lękiem, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie poczuła. Choć nie widziała osoby, z ust której padły, miała świadomość, że był to ten sam człowiek, jaki złożył jej wczoraj poranną wizytę. Teraz nie miała już najmniejszych

wątpliwości co do tego, że tylko udawał księdza. Dobrego duszpasterza troszczącego się o swoje owieczki.

- Czego wy kurwa ode mnie chcecie?! - zakłęła pod nosem starając się zrozumieć zupełnie chorą sytuację, w której się znalazła. Jednak zanim zdążyła rozpocząć jakiegokolwiek dywagacje, jej umysł zalała fala czerni, która kazała jej skupić się na ucieczce.

Po kilkudziesięciu metrach las zaczął nieznacznie się przerzedzać. Nie był już gęsty i rozpostarty niczym ściana zieleni. Powoli zanikały wielkie, szerokie pnie, a ich miejsce zajmowały karłowate, niewyrośnięte jeszcze brzozy i krzaki. Weronika parła przed siebie bez ustanku, choć wydawało jej się, że drgawki, jakich zaczęła dostawać z przemęczenia wkrótce sprawią, że zupełnie straci przytomność. Nagły przypływ adrenaliny zapewnił jej jednak widok, jaki rozpościerał się tuż przed nią - jak gdyby nigdy nic dostrzegła małe domostwo znajdujące się na samym przedzie wielkiego pola uprawnego graniczącego z lasem. Nieomal wybuchła płaczem ze szczęścia. Ledwo trzymając się na nogach, dysząc ciężko, z sercem szamotającym się w klatce piersiowej niczym człowiek uwięziony w szczelnie zamkniętym worku, przedarła się przez chaszczkę wysokiej, gęstej trawy, by chwilę później łomotać do drzwi prostego, ceglanego budynku z zawziętością i gwałtownością.

- Pomocy! Błagam! - krzyczała. Jej pięści kołatały na przemian z szybkim, nerwowym naciskaniem przycisku starego, zdezelowanego dzwonka. - Niech ktoś mi pomoże!

Suche i spieczone usta wciąż wygłaszały litanie nawoływań o pomoc, póki Weronika nie usłyszała kroków dochodzących zza niepomalowanych, nieco zbutwiałych drzwi.

- Pro...proszę... - zdołała powiedzieć osuwając się na ziemię po framudze. Jej skrajnie wycieńczone ciało nie potrafiło zmusić się choćby tylko jeszcze raz do minimalnego wysiłku. Z opuszczoną głową skierowaną ku ziemi, z powiekami ciężkimi niczym kowadła, oczekiwała nadejścia osoby mieszkającej w pierwszym, napotkanym przez nią domu.

Zamglone oczy nie potrafiły dostrzec dwóch sylwetek wychodzących z budynku. Dopiero ciało zareagowało nico zbyt gwałtownie, gdy dwie pary starczych, pomarszczonych dłoni próbowały podnieść ją z ziemi. W

chwilę później, z ich wielką pomocą, Weronika przemierzała mały, wąski korytarzyk, by ostatecznie spocząć na starym tapczanie przykrytym jeszcze starszym, wydawałoby się, że przedwojennym, kocem. Dookoła unosił się charakterystyczny zapach stanowiący mieszankę drewna i zatęchłego powietrza, jakby wewnątrz budynku nie zaszło wietrzenia od bardzo dawna.

Dwie osoby - kobieta i mężczyzna - które stały nad Weroniką, mówiły coś między sobą wskazując to na nią, to na jej brzuch. Weronika nie miała pojęcia o czym rozmawiają. Była sparaliżowana swoim skrajnym wycieńczeniem. Udało jej się tylko położyć rękę na brzuchu, jakby za wszelką cenę chciała sprawdzić, czy dziecku nic się nie stało i czy wciąż - nieświadome wszystkiego - porusza się nieznacznie w jej łonie.

Choć bardzo tego chciała, nie dała rady powiedzieć swoim wybawcom, aby zadzwonili na policję. Nie dała rady opowiedzieć, co jej się przytrafiło, ani w jaki sposób samotna kobieta w ciąży, w środku ulewy, błędząc przez całą połąć lasu, dotarła do ich domu. Była tak bardzo znużona, wykończona biegiem i stresem, że jej organizm pragnął tylko jednego - odpoczynku.

Kraina sennych fantazji była już bardzo blisko, gdy nagle, zupełnie niespodziewanie, nozdrza Weroniki wypełnił ostry, niesamowicie intensywny zapach amoniaku. Krztusząc się i przecierając oczy, które w momencie zaczęły łzawić, kobieta powróciła do rzeczywistości. Ogarnęła wzrokiem całe pomieszczenie oraz dwie tajemnicze osoby stojące tuż nad nią. Jedna z nich - mężczyzna, który mógł mieć około siedemdziesięciu lat - trzymał nieopodal jej twarzy butelkę z białą zawartością. Wyraz jego lica był bardzo nieprzyjemny. Podobnie jak stojącej kilka kroków dalej kobiety, która mogłaby uchodzić za dobrą i miłą babcię, gdyby nie mina sugerująca, że jest na coś obrażona. Obydwoje wpatrywali się w młodą, ciężarną kobietę nie tyle z politowaniem, co odrazą. Jakby wyrzuciła im prawdziwą, fizyczną krzywdę.

- I co teraz? - usłyszała Weronika, gdy starowinka spojrzała na swojego męża.

- Pierun go wie - odpowiedział mężczyzna wzruszając ramionami. Jego czarne niczym noc oczy wciąż lustrowały młodą kobietę.

- Po... pomocy - zdołała odpowiedzieć Weronika, gdy ostatecznie odzyskała świadomość po zaaplikowaniu jej dawki ostrego zapachu. - Oni... mnie... gonią... - wydukała łapiąc co rusz głęboki oddech.

Nie zdążyła nakreślić problemu choć odrobinę bardziej, gdy usłyszała, jak otwierają się drzwi do domu. Słyszała stukot ciężkich, męskich butów. Z napięciem spoglądała na parę staruszków zwróconych w stronę wejścia do pokoju. Chwilę później w progu stanął wysoki mężczyzna o nalanej twarzy. Weronika, choć na wpół zamroczona, z przerażeniem rozpoznała w nim fałszywego księdza, który ścigał ją z sobie tylko znanego powodu.

- Mamo, tato, widzę, że złapaliście naszą uciekinierkę - powiedział nieznajomy, po czym zaczął iść w kierunku Weroniki.

Kobieta zdążyła tylko raz krzyknąć, nim świat przed jej oczami zawirował i stał się jednym, wielkim skupiskiem ciemności.

ROZDZIAŁ XXIII

- Mam nadzieję, że dalej zalewasz się łzami. Obyś ryczała niczym bóbr, kiedy wrócę - głos Adriana nieznacznie przebijał się przez łoskot mocnej muzyki puszczanej na cały regulator. Mężczyzna spoglądał przed siebie próbując dostrzec coś więcej, niż tylko potężne strugi deszczu lejące się po przedniej szybie. Rozpościerający się przed nim wiejski krajobraz sprawiał wrażenie wydartego z innego świata. Pograżonego w ciągłym mroku, pod naporem masywnych, stalowych chmur.

- Pieprzone wieki ciemne - syknął na myśl o tym, że podła, posępna i przytłaczająca atmosfera idealnie pasuje do Siedlan. Zadupia na końcu świata, gdzie ludzie wierzą w klątwy, lokalny ksiądz zalewa się kolejnymi litrami alkoholu, a na polach wzrastają strachy na wróble zrobione z trucheł martwych ptaków. - Popieprzeni ludzie. Wszystko popieprzone.

Krótką przejażdżka do miasta i z powrotem, która miała być bardziej teatralnym pokazem wielkiego niezadowolenia i obrazy, niż faktyczną wyprawą na poprawienie humoru, dała Adrianowi sporo do myślenia. Wiedział, że jego perfekcyjny, niemal dopięty na ostatni guzik plan psychicznego i fizycznego zrujnowania Weroniki Sobczyk sporo go kosztował. Bezpośrednie zadawanie się z kobietą - oprawczynią jego siostry - sprawiło, że przybyło mu siwych włosów, żołądek często wpadał w nerwowe torsje, a sam Adrian był więcej niż pewny, że jego wrzody są już wielkości torebek herbaty.

Każdy dzień w towarzystwie Weroniki był wyzwaniem. Ślamazarnym przetaczaniem się przez jej życie pełne humorów, zmian nastroju, zupełnie irracjonalnych postaw i zachowań.

Był prawdziwą, pieprzoną mordęgą.

Adrian zdawał sobie sprawę z tego, że łatwo nie będzie. Nigdy nie było. Dlatego wszystko znosił z postawą godną owacji. Jednak

przeprowadzka Weroniki, która z początku wydawała mu się idealnym sposobem na bardzo duży krok na przód w ich relacjach, paradoksalnie spowodowała, że mężczyzna był rozdrażniony jak jeszcze nigdy. Nienawidził wsi i wiejskiego życia. Nie znosił obcesowego zachowania mieszkańców. Rzygał na samą myśl o spokoju i sielance na łonie natury. A kiedy do tego wszystkiego doszły lokalne zabobony nie miał wątpliwości, że jeżeli szybko nie upora się z problemem noszącym inicjały W. S., to pewnego dnia straci cierpliwość i w nerwach rozprawi się z kobietą zapominając o całym swoim, doskonałym planie.

Nie byłby to zresztą pierwszy raz, kiedy zdecydowałby się na dramatyczne rozwiązanie siłowe. Podczas porannej rozmowy Weronika zapytała go o czasy jego młodości. Czy nie zechciałby się jej z czegoś zwierzyć. Kobieta nie mogła nawet przypuszczać, jak wiele usłyszałaby, gdyby Adrian zdecydował się na wyjawienie jej kilku drastycznych szczegółów ze swojej przeszłości.

- Ale byś się, kurwa, zdziwiła - stęknął pod nosem wracając w myślach do czasów, gdy studiował dziennikarstwo. Wciąż borykając się z traumą po stracie siostry stał się jeszcze bardziej wyalienowany i jeszcze bardziej apatyczny. Był niczym cień samego siebie - człowiek, którego dalsza egzystencja wydawała się zupełnie niepotrzebna. Nie potrafił poradzić sobie z ciężącymi mu wyrzutami sumienia, że to on - starszy, jedyny brat - powinien w porę zapobiec tragedii. Jednocześnie próżno było szukać w jego głowie myśli pełnych morderczych zapędów związanych z zemstą. Stał się wolno dryfującym, ludzkim wrakiem, który studia traktował wyłącznie w rodzaju czegoś, dzięki czemu choć na chwilę mógł skupić się na czymkolwiek innym, niż na rozważaniach o swoim zupełnie rozpieprzonym życiu i rozchwianej psychice. Przynajmniej do czasu. Do momentu, w którym ktoś bardzo, ale to bardzo źle zadrwił z jego siostry.

Nazywał się Bartosz Szczepański i był barczystym dryblasem w typie lowelasa, z którym Adrian chodził na wspólne zajęcia. Do pewnego stopnia przypominał mu nieco starszy, męski odpowiednik licealnej Weroniki Sobczyk. Facet zupełnie pozbawiony życiowych reguł i kręgosłupa moralnego. W pełni korzystający nie tylko ze swojego wyglądu, ale również pozycji, jaką zapewniały mu pieniądze ojca - reportera w jednej z dużych stacji telewizyjnych. Bez większego powodu Szczepański zaczął w pewnym momencie interesować się

Adrianem. Drążąc rodzinną historię, dowiadując się ostatecznie o tragedii, jaka wydarzyła się w jego rodzinie, niczym skończony cham rozpoczął swój festiwal upokorzeń skierowanych w stronę Ostaszewskiego. Adrianowi osobiście było wszystko jedno, czy Szczepański nazywa go „mikrusem z patologicznej rodziny” lub rzuca w jego stronę uwagę pokroju „przecież ta historia sama się prosi o to, żeby napisać z tego magisterkę w stylu reportażowym! Trzymasz w garści złoto, a gównem z tym robisz!”. Adrian pękł jednak pewnego dnia, gdy Szczepański przyczepił się do niego na niemal pustym korytarzu wydziału, po ostatnich zajęciach. Podszedł do niego. Objął ramieniem, niby w przyjacielskim geście, jednak o wiele za mocno, wręcz po chuligańsku, po czym wyszeptał Adrianowi na ucho frazę, która jeszcze długo dźwięczała mu w głowie.

- Taka z tej twojej siostrzyczki była cicha woda, taka ponoć nieśmiała i delikatna - zaczął cedząc kolejne słowa przez zęby, utrzymując przy tym swój prostacki, cwaniacki ton wypowiedzi - ale chyba nie powiesz mi, że nigdy ci nie obciągnęła, co?

W tamtym momencie Adrian stanął jak wryty. Był to pierwszy raz kiedy ktoś, jawnie i wprost, ubliżył jemu i - przede wszystkim - jego siostrze w tak dosadny i bezpośrednio sposób. Ostaszewski pamiętał z tamtego wieczoru, że jeszcze długo stał na korytarzu próbując się nie rozplakać, podczas gdy Bartosz Szczepański zanosił się śmiechem powoli oddalając się, jednocześnie dobitnie gestykułując, imitując uprawianie seksu oralnego.

Dla Adriana był to przełom. Chwila, w której pękła w nim skorupa trwogi, żalu i przygnębienia, a powtórnie rozgorzała prawdziwa, niedająca się określić furia. Odrodziły się w nim myśli o zemście, o tym, by wyrównać rachunki ze wszystkimi osobami, które w najmniejszym stopniu ubodły jemu lub Martynie.

Początek głębokiej, wielomiesięcznej przemiany zaowocował zupełną konwersją nastawienia do siebie i do życia. Adrian zaczął regularnie ćwiczyć na siłowni. Zapisał się do prywatnej poradni psychologicznej, by odbyć specjalistyczny kurs pewności siebie. Nie chwając się zupełnie nikomu dołączył do lokalnego klubu strzeleckiego. Przeszedł intensywne szkolenie z samoobrony organizowane przez byłego policjanta z jednostki antyterrorystycznej. Po kilku miesiącach, choć w dalszym ciągu był szczupłym, niewysokim facetem - teraz jednak

wysportowanym, gibkim, z o wiele większą i lepszą samoświadomością – jego postawa względem ludzi i otoczenia zmieniła się diametralnie. Potrafił bez najmniejszych oporów rozmawiać z kobietami i umawiać się na randki, czego nigdy wcześniej nie robił. Poprzez poprawę wyglądu oraz kompletną zmianę sposobu ubierania, stał się osobą zauważalną, a później wręcz poważaną. Zwłaszcza, że wszystko szło w parze z doskonałymi wynikami na studiach. Wciąż jednak w jego głowie gorzała jedna myśl – odwzięczenie się Bartoszowi Szczepańskiemu w jak najgorszy możliwy sposób.

Okazja nadarzyła się szybciej, niż Adrian przypuszczał. Wiedział, że może być to jedyna tego typu możliwość. Był jednak tak zdeterminowany, że wciąż powtarzał sobie, że jeżeli trzeba będzie, to zrobi absolutnie wszystko, by ten zapamiętał go na zawsze.

Studencki wyjazd rocznikowy kończący pierwszy rok studiów miał być kilkudniową imprezą połączoną ze wspinaniem się na kolejne wierzchołki Pienin. Specjalnie w tym celu wybierająca się na wyprawę grupa zarezerwowała kilka domków letniskowych. Organizatorem całego pomysłu był oczywiście nikt inny, jak Szczepański. Adrian doskonale wiedział, że ten traktuje eskapadę jako kolejną możliwość poderwania jak nie jednej, tak kilku dziewczyn. Choć wciąż zdarzało mu się uprzykrzać Adrianowi studenckie życie, to jednak spasował z bezpośrednim gnębieniem, ograniczając się jedynie do nielicznych, kąśliwych uwag i niewybrednych spojrzeń. Podobnie było i w czasie przygotowań do samego wyjazdu, gdy początkowo kręcił nosem dowiedziawszy się, że Ostaszewski również chce się wybrać w Pieniny. Adrian stał się już jednak osobą na tyle lubianą, że pewna część dziewczyn z rocznika nie wyobrażała sobie, by nie wybrał się z nimi na wspólną wyprawę. Szczepański nie miał więc wyboru i decyzja o zabranii Adriana była oczywista. Szczepański nie wiedział tylko jednego – podczas pierwszej nocy na kempingu, po wlaniu w swoje gardło kolejnych porcji alkoholu, lubieżnym flirtowaniu z koleżankami i godzinach spędzonych na robieniu z siebie idioty, dosięgnie go ręka sprawiedliwości. Ręka Adriana Ostaszewskiego.

Adrian bardzo uważnie przyglądał się Szczepańskiemu przez całą noc. Jednocześnie, budując swoje alibi, udawał pijanego do tego stopnia, że w przejściu do swojego miejsca noclegowego musieli mu pomóc inni. Kiedy tylko impreza, wraz z rozpalonym na kempingu

ogniskiem, zaczęła wygasać, wymykając się z domku Ostaszewski przyciął się w cieniu, poza linię światła wyznaczaną przez pole kempingowe. Stał i bacznie obserwował, skupiając swój wzrok tylko na jednej osobie – Bartoszu Szczepańskim. Adrian zdawał sobie sprawę z tego, że Szczepański, jako ktoś, kto uważa się za samca alfa, będzie chciał zejść z „pola bitwy” jako ostatni. Nie mylił się. Lider roku i samozwańczy mister wydziału dziennikarskiego, siedział na ławeczce wtulony w jedną z dziewczyn. Nawet z odległości kilkunastu metrów widać było, że jest mocno podchmielony, a jego ręce, wodzące po ciele dziewczyny, robią to nie tyle zalotnie, co łąpczywie i w mało skoordynowanych ruchach.

- Zaraz przyjdę... czekaj na mnie w domku... – Adrian usłyszał bełkot Szczepańskiego. Wiedział, że lada chwila nastąpi moment, który zmieni diametralnie całe jego dotychczasowe życie.

Kiedy z niemałym trudem Bartosz podniósł się z ławki, przeszedł niemrawo odległość kilku metrów, by stanąć pod jednym z drzew celem ostatecznego wydalenia z siebie zalegających w pęcherzu płynów. To wtedy, zupełnie niespodziewanie, Adrian dał popis swojej sprawności i koordynacji ruchowej. Niczym gazela wyskoczył z ukrycia, przebiegł wśród cieni dzielącą go od Szczepańskiego odległość i w ciągu ułamka sekundy zepchnął go z linii światła, by w następnym momencie powtórnie – już razem z nim – znaleźć się pośród skąpanych w mroku krzaków i drzew. Bartosz nie miał najmniejszego pojęcia co się dzieje. Będąc na ostrym rauszu upadł na ziemię z łoskotem i nim zdołał się z niej podnieść, Ostaszewski przyciskał go do niej dusząc wprawnym, fachowym chwytem. Począł, aż Szczepański przestał się rzucać, po czym wstał znad jego zwiotczającego ciała i używając wszystkich swoich sił przerzucił go sobie przez ramię. Szczepański był sporo cięższy od Adriana, jednak wysportowany, napędzany potężną dawką adrenaliny chłopak nie miał większych problemów, by przetransportować nieprzytomnego kilkadziesiąt metrów dalej. Gdy doszedł na koniec lasu, zrzucił go na ziemię tuż przy skraju urwiska i uderzył kilkakrotnie w twarz – lekko, na rozbudzenie. Nim Szczepańskiemu powróciła świadomość, Ostaszewski stał już nad nim dzierżąc w swojej dłoni pokaźny kamień. Począł, aż Bartosz ostatecznie się przebudzi. Przynajmniej na tyle, by w blasku księżyca dostrzec twarz Adriana i rysującą się na niej absolutną wrogość i nienawiść.

Szczepański nie zdołał powiedzieć choćby jednego słowa. Jego szeroko otwarte oczy pozostały takimi tylko przez parę sekund, w czasie których próbował uświadomić sobie, co się dzieje. W kolejnym momencie na jego głowę i tors posypały się zabójcze ciosy, które Ostaszewski zadawał z furją. Po kilku chwilach Bartosz Szczepański dołączył do grona osób, które opuściły ziemski padół, a Ostaszewski zabrał się do realizacji dalszej części planu - zacierania śladów. Nie zwlekając zrzucił ciało Szczepańskiego ze skarpy, jedyne w okolicy miejsca, które naprawdę gęsto usiane było kamiennymi występami, po czym przyglądał się, jak ląduje ono dobrych kilkadziesiąt metrów niżej, z trzaskiem odbijając się od kolejnych formacji skalnych. Następnie rozejrzał się dookoła upewniając się, że jego morderczą tajemnicę zachowa tylko okalający go las, a nie ktoś bacznie przypatrujący się spomiędzy drzew. Po chwili biegł już w stronę domków kempingowych. Trzymany przez siebie w dłoni kamień - swoje pierwsze, prawdziwe narzędzie zbrodni - wyrzucił w zupełnie innym miejscu, ciskając go w zalesiony wąwóz. Gdy stanął przy kempingu, nim wszedł do domku w którym nocował, włożył w usta dwa palce i zmusił się do wymiotów, zalewając przy tym koszulkę i swoje spodnie. Udając pijanego, ledwo trzymającego się na nogach, poszedł się położyć. Dopiero wtedy pozwolił, by jego ciało przeszyły dreszcze i uderzyła go w pełni świadomość, że z premedytacją i zimną krwią pozbawił życia drugiego człowieka. Wiedział jednak, że zrobił dobrze, a każdy wykonany przez niego element planu skutkuje tym, że nikt nigdy nawet nie domyśli się tego, co tak naprawdę zdarzyło się tamtej nocy.

Przerzucając kolejne biegi w lexusie, rozpamiętując do końca wydarzenia sprzed wielu lat wspominał jeszcze, jak nazajutrz po morderstwie obudziło go silne szturchanie, po czym usłyszał:

- A ten zarzyganiec?

- Nie, panie władzo, on odpadł jako pierwszy. Na pewno nic nie pamięta.

Tak jak przypuszczał zawiadomiona zniknięciem Szczepańskiego policja od razu zaczęła jego poszukiwania, by parę godzin później znaleźć jego truchło tam, gdzie je porzucił. Jego alibi bazujące na totalnym upodleniu, sprawdziło się w stu procentach. Policjanci nawet nie zadawali sobie większego trudu, by rozmówić się ze skacowanym chłopakiem pokrytym grubą warstwą wymiocin. Co więcej, ostatecznie

wszystko sprowadzili do nieszczęśliwego, typowo pijackiego wypadku stwierdzając, że Bartosz Szczepański, będąc pod silnym wpływem alkoholu, zagapił się i wpadł w przepaść. Zasugerowali się innym, bardzo podobnym wypadkiem sprzed kilku lat, kiedy niemal w tym samym miejscu, w podobnych okolicznościach, życie straciła studentka z Warszawy. Wybierając miejsce swojej zemsty Adrian nie miał o tym zielonego pojęcia, stwierdzając później, że był to niesamowity, fartowny dla niego zbieg okoliczności.

Teraz jednak sytuacja była zupełnie inna. O wiele bardziej skomplikowana i złożona, a jakiegokolwiek jej rozwiązanie musiało być zaplanowane w najdrobniejszym szczególe.

Zaklął na głos próbując przekrzyczeć ryczącego w odtwarzaczu Chrisa Barnesa, po czym całkowicie wyłączył muzykę. Wjeżdżał do Siedlan przy akompaniamencie deszczu i porywistego wiatru, gdy zobaczył kolejną akcję, która sprawiła, że z jego ust poleciała wiązanka obelżywości. Zwolnił chcąc mieć pewność, że to, na co patrzy nie jest tylko wymysłem jego zmęczonego, zestresowanego umysłu.

Kilkadziesiąt metrów przed nim, nie zważając na ulewny deszcz, szedł pochód kilkunastu przygarbionych starców. Wszyscy, co do jednego, ubrani były w ten sam workowaty strój przypominający łańchmany. Twarze skryte mieli za dziwaczными maskami zrobionymi z suchych gałęzi. Adrian mógł przysiąc, że nawet z takiej odległości, przez strugi lejącej się z nieba wody, dostrzegał długie, zardzewiałe gwoździe użyte do ich złączenia.

W rękach każdego starca znajdował się lampion zawieszony na długim kiju, którego niezdrowe, pomarańczowe światło wyglądało zupełnie nierealnie. Część spośród osób – jak domyślił się Adrian, kobiet – niosło w rękach wiklinowe kosze, z których sypały na drogę stare, martwe, suche liście koloru brudnej zieleni i brązu.

- Co tu się, do najcięższej kurwy nędzy, wyprawia?! - zaklął zwalniając, by lepiej przypatrzeć się pochodowi.

Gdy jego oczy wędrowały po ich zamaskowanych licach, gdy spoglądał na dziwaczne lampiony wydające się gorzeć nieziemskim płomieniem, nie zorientował się, że w kierunku jego samochodu leci kilka par długich, niebotycznie zaostrzonych wideł. Dopiero kiedy pierwsza para skrzących się, metalowych zębów wbiła się w przednią

szybę, Adrian zawrzeszczał niczym małe dziecko i gwałtownie zahamował. Samochód jeszcze chwilę sunął po drodze wpadając w nieznaczne poślizgi, podczas gdy jego karoseria i niemal wszystkie szyby torpedowane były najprzeróżniejszymi rzeczami - od wideł i fragmentów bron po zwykłe, duże kamienie.

Przerażony Adrian siedział oniemiały zupełnie nie wiedząc co robić. Rozglądał się nerwowo to w jedną, to w drugą stronę dostrzegając, jak z sekundy na sekundę wokół jego samochodu przybywa dziwnie ubranych ludzi, którzy bardzo szybkim tempem zbliżali się do niego. Tymczasem on siedział niczym kołek, jakby zupełnie zapomniał, że zgaszony silnik samochodu można powtórnie odpalić. Spróbować odjechać mimo coraz to nowych dziur i pęknięć w aucie obrzucanym wszystkim, z czym zasadzili się na niego wieśniacy.

- O zesz wy... - powiedział pod nosem i jakby za sprawą magicznego zaklęcia z jego umysłu zniknął marazm spowodowany przerażeniem, a pojawiła się w nim ta sama nuta agresji i furii, która na co dzień skrycie go wypełniała.

Sekundę po tym, jak w jego samochód poleciała kolejna para wideł, a jeden z dziwacznie ubranych mężczyzn podbiegł do samochodu i próbował otworzyć drzwi lexusa, Adrian odpalił silnik i z chrzęstem sypiących się spod kół kamyków ruszył do przodu niczym rajdowiec.

- Spróbujcie tego! - wymamrotał pod nosem ze złością wypisaną na twarzy, po czym celowo wjechał w grupkę osób, które już zdążyły ustawić się na głównym odcinku drogi. Trzask ich łamanych kości, kiedy po kolei przetaczali się to po masce, to pod kołami samochodu, był piękną pieśnią w uszach Adriana. Słyszając krzyki i nawoływania ludzi zastanowił się, czy nie zawrócić i nie uraczyć ich kolejną porcją masażu wykonywanego przez niemal dwutonowy samochód. Dostrzegł jednak, że spora grupa mężczyzn zaczyna po raz kolejny próbować swoich sił rzucając w niego kamieniami. Z ulgą, że udało mu się odjechać oraz jednoczesną satysfakcją ze sprawienia przynajmniej kilku osobom dużej dawki bólu, Adrian pojechał prosto przed siebie.

Dopiero gdy minął jeden z głównych zakrętów na niemal prostej drodze prowadzącej do domu Weroniki otrząsnął się, a do jego umysłu powróciło racjonalne myślenie, które poskutkowało tylko jednym - gęstą wiązanką przekleństw wymówioną z wypisanym niemałym przerażeniem na bladej twarzy.

Wpadł w zasadzkę. Dziwaczni, zabobonni mieszkańcy Siedlan zastawili na niego prawdziwą pułapkę i wszystko wskazywało na to, że nie mieli przy tym zbyt dobrych intencji.

Chcieli go zabić.

Ukatrupić.

Zadźgać widłami i ukamienować.

Dopiero gdy się nad tym zastanowił doszło do niego, jak bardzo był bliski śmierci i to z zupełnie niewiadomego sobie powodu. Wnet stanął mu przed oczami obraz Stanisława Wereszczuka, który w alkoholowym upojeniu opowiedział mu zupełnie absurdalną opowieść, legendę o miejscowej klątwie.

Co jeżeli mieszkańcy Siedlan faktycznie byli opętani przez - w ich mniemaniu - żądzę mordu w słusznej sprawie? Co jeżeli nie ustaną, dopóki go nie zabiją? Co jeżeli Weronika też znajduje się w tarapatkach?

Pytania nawarstwiały się w głowie Adriana. Myśli o Weronice i o tym, że jej również może grozić niebezpieczeństwo, wcale nie były oznaką jakiegokolwiek troski z jego strony. O wiele bardziej martwił się tym, że przez grupę nawiedzonych idiotów o morderczych zapędach cały jego plan może ulec zniszczeniu w ciągu sekundy.

- Tylko ja mogę zabić tę sukę - wycodził przez zęby i mocno zacisnął dłonie na kierownicy. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu kolejnych niebezpieczeństw, po czym wcisnął gaz do dechy i pojechał wprost do domu Weroniki. Wszystko wskazywało na to, że ze swoich wieloletnich obietnic będzie musiał wywiązać się o wiele szybciej, niż pierwotnie miał zamiar.

* * *

Stanisław Wereszczuk dotarł na kościelny dziedziniec po długich bojach z niekończącymi się połaciami zieleni. Rzęsisty deszcz utrudniał mu drogę i sprawił, że prócz wycieńczenia i skrajnie silnego bólu był przemoczony i zziębnięty. Jego nogi bardzo powoli sunęły przez całą odległość, jaką pokonać musiał do wsi ze starego cmentarza choleryków. Momentami kurczowo łapał się za serce, jakby jego pięćdziesięcioletni organizm lada chwila miał się poddać postanawiając wyłączyć nagle swoje wszystkie funkcje życiowe. Z tym większą ulgą prałał wpatrywał się w leżący już niedaleko kościół wraz z plebanią,

skąd będzie mógł zawiadomić o wszystkim służby i skończyć raz na zawsze z panującym w Siedlanach szaleństwem.

Wychodząc zza linii drzew otaczających kościelny dziedziniec nie spodziewał się jednak widoku, jaki ujrzał po przebyciu tak długiej drogi.

Plebania była zrujnowana.

Wystarczyło popatrzeć na nią z daleko, by zobaczyć, że wszystkie jej okna - co do jednego - są powybijane. Wyrwane z zawiasów drzwi leżały kilkanaście metrów dalej niczym jakaś forma nowoczesnej instalacji artystycznej. Dookoła wałało się całe wyposażenie, które Wereszczuk miał w budynku. Nie musiał nawet podchodzić, by zobaczyć, że jedyny telefon jaki posiadał, leży rozbity w drobny mak obok telewizora i radioodtwarzacza.

- Bezbożnicy! - wypowiedział na głos widząc, że motłoch nie oszczędził nawet świętych ksiąg z jego pokoju, które leżały w kałuży obok świeżo wypranych komż i stuł.

Wereszczuk nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Wszystko wydawało się potwornym koszmarem, który spadł na niego niespodziewanie, i z którego nie miał jak się obudzić.

Rozejrzał się po całym kościelnym dziedzińcu. Nikt nie krzątał się wokół świątyni. Nikt nie pojawił się na mającej się odbyć mszy i uroczystej procesji. Nikt nie szukał prałata. Wyglądało na to, że dla każdego mieszkańca Siedlan zarówno Bóg, jak i kapłańska posługa Stanisława Wereszczuka, nie była już w niczym do szczęścia potrzeba.

Szczęście najpewniej próbowali się doszukać w osobie Seweriusza Tochmana, który - co było widać gołym okiem - zupełnie przejął panowanie nad sytuacją .

- Ty pieprzony... - zaczął pod nosem Stanisław, jednak nie skończył. Nie chciał obrażać świętej ziemi, po której stąpał.

Złość jaka opanowała prałata jakby dodała mu nowych sił. Prawie zupełnie zapomniał o dręczącym jego ciało bólu. Zupełnie nagle jego poobijana twarz i zamglony w jednym oku wzrok nie sprawiały problemu. Ręce, nogi i tors wydawały się tylko nieznacznie mniej użyteczne, niż zazwyczaj. Wereszczuk odetchnął głęboko kilka razy i z siermiężnym wyrazem twarzy przeszedł odległość dzielącą go od plebanii.

Deszcz wciąż lał niemiłosiernie, gdy prałat kroczył pośród swojego porozbijanego wyposażenia. Każda z tych materialnych rzeczy, choć przecież nie powinna, była dla niego cenna. Była nośnikiem wspomnień lub informacji. Czymś, co pomagało mu każdego ziemskiego dnia. Przyznać jednak musiał sam sobie, że wybitnie zabolął go widok dziesiątek rozbitych butelek alkoholi, jakie trzymał to w kredensie, to w barku, to w szafce nocnej. Jakby nawet w takiej chwili – gdy świat wydawał się być u progu armagedonu – butelka ulubionej brandy miała osłodzić mu smak nadchodzącego końca.

Wszedł na teren plebanii. Wszystko leżało w nieładzie, zniszczone i rozbite. Osoby odpowiedzialne za demolkę nie oszczędziły nawet najzwyklejszych mebli, wyrrywając z nich drzwi, przełamując półki i wyrzucając szuflady z całą zawartością.

Wereszczuk momentalnie ocknął się i przeraził. Jeżeli bowiem takie zniszczenia zastał w swoim domu, to czy rozwścieczeni, wiedzeni agresją mieszkańcy nie zniszczyli kościelnego wyposażenia?

Wybiegł wprost w strugi deszczu, by po raz kolejny przekonać się, że będąc w stanie wzburzenia organizm cudem regeneruje się i nie baczy na żadne wyrządzone mu bóle i krzywdy. Kiedy dobiegł do drzwi świątyni odetchnął z ulgą. Wciąż były zamknięte, nienaruszone. Nieszkodzone w żadnym stopniu, podobnie jak witraże i sama elewacja budynku.

Odetchnął po raz kolejny. Dopiero teraz złapał go kurczowy ból promieniujący po całym ciele, intensyfikujący się w okolicach twarzy.

Stanisław zawył tak cicho, jak tylko mógł, jednak i tak jego żałosne stękanie słychać było ze znacznej odległości. Gdy podniósł wzrok, a ból nieco ustąpił, całą twarz miał zlaną potem, który pełzną po broczących ranach wyglądał co najmniej groteskowo.

Stwierdzając, że na jakikolwiek cud nie ma co liczyć, i służby – jakiegokolwiek by one nie były – nie pojawią się zbyt szybko w Siedlanach, prałat postanowił, że musi działać. Sam naprzeciw wszystkim, nie zważając na to, co może się stać. Nie patrząc, że każdy jeden mieszkaniec wsi z pewnością rzuci mu się do gardła, gdy tylko go zobaczy. Wereszczuk wiedział, iż musi powstrzymać tragedię, jaka niewątpliwie może mieć miejsce, nawet kosztem własnego zdrowia czy życia.

Głośno przełknął ślinę. Poczłł chłód na całym ciele - przesywający i dojmujący. Chłód, którego powodem nie były coraz większe i zimniejsze krople deszczu zacinające przy porywistym wietrze. Stanisław wiedział, że to strach, który paraliżując jego myśli i ciało krzyczał „uciekaj!”.

Ślina znów przelała się przez gardło prałata z niemałym problemem. Paliła do żywego, jakby organizm sam przeczuwał nadchodzący czas próby, który nie mógł skończyć się inaczej jak źle.

Prałat wzniosł oczy ku niebu. Na tle sinych chmur krzyż wieńczący wieżę kościoła wydawał się bić aurą niesamowitości. Wereszczuk, choć wiedział, że Pan jest przy nim, to nie przybędzie, by samodzielnie uratować kobietę, jej dziecko i towarzyszącego im mężczyznę. Życie trójki osób zależało tylko od niego - starzejącego się, prowincjonalnego prałata uzależnionego od alkoholu. I to, nie zaś utrata życia, przerażało Stanisława najbardziej.

ROZDZIAŁ XXIV

Obudziła się nagle poprzez mocne szarpnięcie, które sprawiło, że z trzaskiem uderzyła w ziemię prawym barkiem. Jeszcze zanim otworzyła oczy chciała instynktownie złapać się za brzuch. Ogarnąć go swoimi dłońmi, pogłaskać i powiedzieć córeczce, że nic się nie stało i że wszystko będzie dobrze. Dłonie jednak, zamiast powędrować w dół – w stronę brzucha – wystrzeliły do góry, ponad głowę, obdarzając Weronikę porcją silnego, rozrywającego bólu.

Zakrzyknęła z całej siły nie zważając na suchość ust i spieczony język.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jest spętana. Jej dłonie, gdzieś poza zasięgiem wzroku, były obwiązane sznurem tak mocno, że traciła w nich czucie. Zanim zdążyła przypomnieć sobie w jakiej sytuacji się znajduje, poczuła kolejne silne szarpnięcie, jakie o mało nie wyrwało jej rąk ze stawów. Później usłyszała znany już sobie, niski, gburowaty głos.

- Wstawaj do cholery! Bo przysięgam, że będę ciągnął cię na siłę po największych kamieniach!

Przerażona obróciła się z niemałym trudem, próbując wstać z podłogi i przynajmniej spróbować utrzymać równowagę. Wciąż bowiem była zamroczona. Przed jej oczami tańczyły czarno-czerwone plamy, a cały obraz wirował, jakby znajdowała się na karuzeli. Po chwili, która wydawała jej się wiecznością, zorientowała się, że wciąż znajduje się w starym, obskurnym domku, do którego pobiegła szukając pomocy. Rozejrzała się dookoła prostując sylwetkę na tyle, na ile mogła. Bezpośrednio przed nią, kilka metrów dalej, stał mężczyzna o nalanej twarzy i świńskim, furiackim spojrzeniu.

Fałszywy ksiądz, pomyślała kobieta.

W rękach trzymał koniec mocnej, szerokiej liny, który kończył się podwójną pętlą na zaciśniętych do granic możliwości dłoniach

Weroniki. Sznur był niezwykle szorstki. Jeden z tych, który na sam widok kojarzy się ze starymi szubienicami.

Tuż obok fałszywego księdza stał drugi mężczyzna. Równie bacznie przyglądał się kobiecie. W jego oczach, prócz agresji, dostrzec można było lubieżne spojrzenie, jakie – choć starał się to ukryć – sprawiało, że jego twarz wyrażała chęć bandyckiego, niepoahamowanego gwałtu.

Kilka kroków obok Weroniki stała para starszków, która, jak myślała Weronika, pomoże jej w jakimkolwiek stopniu. Tymczasem obydwójce, ubrani w dziwne szaro-brązowe szaty, wyglądając niczym pokutnicy lustrowali ją z góry na dół, zawieszając swoje spojrzenia na jej okrągłym, ciężowym brzuchu.

- Zakończmy to wszystko - powiedział nagle starzec przerzucając swoje spojrzenie w stronę fałszywego księdza. Ten z kolei jednym, płynnym ruchem szarpnął trzymany w ręce sznur z taką siłą, że Weronika, nie spodziewając się niczego, gruchnęła na ziemię, twardo uderzając swoimi kolanami o stary parkiet.

Zawyla czując, jakby jej rzepki lada chwila miały eksplodować.

- Morda w kubek wiedźmo! - drugi z mężczyzn podszedł do niej i wymierz solidne uderzenie w twarz otwartą ręką. Kobieta przestała krzyczeć, a jej usta natychmiast wypełniły się smakiem świeżej krwi.

Fałszywy ksiądz, nie ostrzegając, bardzo szybkim krokiem zaczął iść w stronę wyjścia z domu, by chwilę później bieżyć się przez pola w sobie tylko znanym kierunku sprawiając, że Weronika mimowolnie musiał wstać, by ominąć ją ból ciągnięcia ciała przez wszystkie przeszkody jakie miała po drodze.

W nieskoordynowanych ruchach, wyglądając, jakby na nowo uczyła się chodzić, starała się dostosować tempo do żwawych kroków mężczyzny. Co rusz potykała się bądź była popychana przez idącą za nią trójkę pozostałych osób. Gdy wyszli na zimny deszcz od razu zaczęła dygotać. Po chwili jednak wszelkie niedogodności fizyczne i ból, który uparcie wiercił różne miejsca jej ciała, zniknęły w starciu z przerażającą myślą na temat tego, w jakim znalazła się położeniu. Natychmiast spojrziała w dół, na kołyszący się w rytm jej niemrawych kroków brzuch, gdzie bezpiecznie siedziało jej maleństwo. Niczego nieświadome, zupełnie nie mające pojęcia o tym, że jego matka znajduje się w sytuacji wydającej się z góry skazaną na porażkę.

- Tak bardzo cię przepraszam... - szepnęła w kierunku dziecka Weronika. Łkała rozmyślając o tym, jak bardzo do tej pory nie doceniała daru, jakim jest ciąża. Jak bardzo nie potrafiła cieszyć się chwilą, którą jest dziewięć miesięcy oczekiwania na narodzenie dzieciątka. Wszystkie jej myśli - zaplątane wokół kariery, przeprowadzki, pozornej stabilizacji - wydały jej się zupełnie abstrakcyjne. Niepotrzebne. Głupie. A teraz, w obliczu wielkiego zagrożenia, oddałyby wszystko, aby cieszyć się faktem bycia matką.

- Dalej, suko! - usłyszała nagle i poczuła kolejne niewiarygodnie silne szarpnięcie, po którym jej kolana znowu musiały zmierzyć się z okropnym bólem padania na ziemię.

Przez łzy zerknęła, że trzymający ją jak na smyczy mężczyzna podchodzi i nachyla się w jej kierunku.

- To cię boli? To cię boli? - powtórzył, jakby Weronika była niespełna rozumu. - Jeszcze będziesz powracać do wspomnienia o tym bólu. Będziesz myślała o nim jak o łaskotkach, gdy w końcu poznasz, co to prawdziwe cierpienie.

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w siebie tylko wiadomy punkt na ziemi, gdzie kolejne zwały deszczu tworzyły błotniste kałuże. Nie chciała już krzyczeć, nie chciała dać satysfakcji znęcającemu się nad nią fałszywemu kapłanowi. Zamiast tego wołała pomyśleć o ratunku. O tym, że Adrian - jeżeli jeszcze tego nie zrobił - wkrótce ruszy na jej poszukiwania zaniepokojony jej zniknięciem.

Weronika modliła się w duchu o to, aby był już na miejscu. Przepraszala za niesłuszne oskarżenia. Pragnęła, by po raz kolejny okazał się wybawcą z opresji.

Wstała, gdy poczuła kolejne szarpnięcia za sznur. Choć bardzo chciała okazać swoją buntowniczą naturę, nie dać sobą pomiatać i przeciwstawić się oprawcom, musiała posłusznie wykonywać wszystkie ich rozkazy. Liczyło się tylko to, aby nic nie stało się jej kochanej córce.

Krocząc niemrawo przed siebie poczuła w pewnej chwili, jak jakaś wielka, mięsista dłoń łapie ją za pośladki. Odwróciła głowę zszokowana, by zobaczyć, że drugi z mężczyzn patrzy na nią z coraz większą lubieżnością w oczach. W ciągu jednej chwili wydał się Weronice o wiele bardziej groźny, o wiele bardziej niebezpieczny niż dominujący i oschły typ trzymający ją na sznurze.

- Ty sssssuko! - wyszeptał jej do ucha oblech nieznacznie sepleniąc, nachyliwszy się nad nią o wiele zbyt mocno, zbliżając swoje wargi na niewielką odległość od jej policzków. Zerknął w jej dekolt lustrując obfite, lecz jędrne piersi. Oblizwał się ze smakiem, jakby lada chwila miał się rzucić na kobietę.

Weronika, wbrew sobie, przyśpieszyła nieco kroku. W momencie poczuła skurcz w dolnej części brzucha. Był mocny i długi. Najsilniejszy z dotychczasowych.

Przeraziła się.

Jeżeli akcja porodowa miała się rozpocząć lada chwila, to był to najgorszy możliwy moment na to, by w ogóle myśleć o wydaniu na świat dziecka.

- Jeszcze trochę, proszę córeczko, jeszcze troszeczkę... - myślała kierując swoje słowa w kierunku dziecka, które najwyraźniej postanowiło pojawić się na tym łożu padole o wiele za wcześnie.

Łapiąc głęboki oddech rozejrzała się dookoła. Dopiero teraz spostrzegła - jakby gdzieś umknęło jej kilka ostatnich minut - że fałszywy ksiądz kieruje całą grupę wąską, leśną ścieżką. Kroczył przed siebie bardzo pewnie. Jego postura wskazywał na to, że czuje się w swojej roli absolutnym dominatorem. Panem i władcą. Przechodził przez las niczym król i myśliwy w jednej osobie. Oprowadzający swoją ofiarę po rozległych włościach należących wyłącznie do niego.

Pełna strachu i przerażenia Weronika dopiero kilka chwil później dostrzegła liczne osoby, które stały tu i ówdzie pośród drzew. Młodzi i starzy. Kobiety i mężczyźni. Wszyscy, jak jeden mąż, ubrani w dziwne, starodawne ubrania przypominające jakąś formę zapomnianych szat pokutnych. Choć w pierwszej chwili zastanawiała się, czy nie krzyknąć błagając o pomoc i ratunek, to po chwili stwierdziła, że każda z osób - co do jednej - ma na twarzy wypisane zadowolenie widząc kroczącą nieopodal nich, spętaną sznurem kobietę.

Wszystkie osoby zaczęły po chwili wkładać na twarz dziwne, drewniane maski stworzone z gałęzi. Kilku dziwaków z kolei niosło w rękach lampiony osadzone na długich kijach. Wszystko wyglądało jak spotkanie jakiejś tajemniczej, prowincjonalnej sekty.

Weronika załkała. Dopiero teraz, widząc, że z każdą kolejną minutą oddala się od niej wizja ratunku, wpadła w prawdziwe przerażenie.

Nerwowe tiki stawały się coraz mocniejsze. Pojawiały się nagle, zupełnie niespodziewanie, w najmniej dogodnych chwilach. Ich nasilająca się częstotliwość sprawiała, że Piotr Radzymiński zaczął się nerwowo pocić.

Stał w sieni rodzinnego domu Seweriusza Tochmana patrząc, jak ten pęta ręce ciężarnej kobiecie, która szukając ucieczki zawędrowała do miejsca, jakie najmniej się do tego nadawało. Nieco dalej stali rodzice Tochmana. Obydwoje mieli już na sobie uprzednio przygotowane szaty pokutne. Mówili coś do siebie spoglądając w swoje oczy, jakby po raz pierwszy od bardzo dawna w ich sercach zagościł prawdziwy spokój.

Piotr Radzymiński przyjmował jednak wszystkie zewnętrzne bodźce z opóźnieniem, jakby jego umysł pogrążony był w zupełnie innej krainie. Miejscu, z którego Piotr uciekł bardzo dawno, lecz przez ostatnie wydarzenia zaczął do niego mentalnie powracać.

- Ssssuka... - szepnął nagle, po czym złapał się za twarz. Tochman ani jego rodzice na szczęście tego nie zauważyli, a przede wszystkim nie usłyszeli. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Wszystko wyglądało na to, że coś, z czym po raz ostatni do czynienia miał przed kilkunastoma laty, powraca. Zaczął się pocić. Czuł, jak język grzęźnie mu w gardle stając się wielkim, mięsistym organem zdającym się żyć własnym życiem.

- Głuchy jesteś? - usłyszał nagle. Spojrzał przed siebie, gdzie zobaczył zdenerwowaną minę Seweriusza lustrującego go przeszywającym spojrzeniem. - Podaj mi do cholery kolejny fragment liny!

Radzymiński posłusznie sięgnął po skręcony, kilkumetrowy kawałek sznura leżący na komodzie tuż przy nim. Podszedł z nim do Tochmana, który trzymając za ręce zemdloną kobietę w dalszym ciągu patrzył na swojego współnika, jak na niezbyt śmiesznego klauna.

- Ty się dobrze czujesz? - zapytał ironicznie. - Bo wyglądasz, jakbyś potrzebował, żeby trzasnąć cię w gębę na pobudzenie.

Piotr nie odpowiedział. Podał sznur Seweriuszowi i okręcił się na pięcie, by stanąć tam, gdzie warował jeszcze przed chwilą. Choć zbył milczeniem kąśliwą uwagę, serce zabiło mu z nerwów o wiele szybciej. Zachowanie Tochmana w ostatnich dniach mierziło go coraz bardziej.

Już od dawna obnosił się jak ktoś, kto pozjadał wszystkie rozumy i przez swoje wprawne działania mógł uchodzić za nieformalnego przywódcę wsi, jednak rzucane raz po raz kalumnie stawiały go w jednym rzędzie z miejscowymi łachudrami.

Kolejny tik nerwowy przeszedł po twarzy Radzymińskiego. Trwał o wiele dłużej sprawiając, że na dobrych kilka sekund ten utracił całkowicie kontakt z rzeczywistością, pogrążając się w lubieżnych myślach. Myślach, przed którymi hamował się wiele, wiele lat. Myślach, które dawniej doprowadziły do tego, że nie uniknął przymusowego leczenia. Krótkiego i efektownego, które jednak na trwale odcisnęło piętno na jego osobowości.

Jakby za sprawą magicznego zaklęcia wybudził się z zamyślenia, gdy razem z Tochmenam i jego rodzicami ciągnęli ciężarną kobietę w stronę starego cmentarzyska choleryków. Po chwili Piotr znowu doznał ataku i jego myśli uleciały gdzieś daleko.

- Ssssuka... - szepnął pod nosem nie mając nawet pojęcia, że z całej siły ściska pośladek kroczącej obok, przerażonej kobiety.

* * *

Podjeżdżał pod dom Weroniki przy bardzo dużej prędkości, nie zważając na dziury w nawierzchni, które wprawiłyby w zakłopotanie nawet amortyzatory w porządnej terenówce. Był kilkadziesiąt metrów od celu, gdy na jezdnię wypadł jakiś mężczyzna. Machał rękami, by po chwili rzucić w samochód całkiem sporej wielkości kamieniem. Lexus, nieźle podziurawiony zaledwie kilka minut wcześniej przez całą zgraję mieszkańców Siedlan, nie sprawiał wrażenia, jakby kolejny uszczerbek w nadwoziu miał zrobić na nim jakiegokolwiek wrażenie.

Co innego Adrian Ostaszewski.

Widząc mężczyznę pakującego mu się prosto pod koła, ani myślał zwalniać. Choć cała sytuacja nie mogła trwać dłużej niż kilka sekund, udało mu się rozpoznać stojącego na środku drogi człowieka. Pijus spod sklepu, którego widział pierwszego dnia po przyjeździe do wsi, wyglądał, jakby ledwo trzymał się na nogach. Trzymał w ustach coś czerwonego i sprawiał wrażenie, jakby wierzył w to, że samą swoją postawę będzie mógł powstrzymać pędzący wprost na niego samochód.

Adrian doskonale wiedział, że podstarzały pijaczek jest w wielkim błędzie.

Samochód uderzył w mężczyznę z ogromną siłą. Jego ciało przetoczyło się przez całą maskę i przednią szybę niczym szmaciana lalka, która w dwie sekundy później wylądowała kilkanaście metrów dalej. Dopiero wtedy Adrian zahamował. Trzask uderzenia w człowieka jeszcze chwilę wibrował mu w uszach. Uszkodzona maska samochodu nieznacznie parowała. Bębniący o auto deszcz sprawiał wrażenie, jakby ktoś wciąż rzucał w niego kamieniami, o wiele jednak mniejszymi.

Po kilku chwilach na złapanie oddechu Adrian wysiadł z samochodu. Jego twarz – pełna nienawiści i agresji – była czerwona i wykrzywiona w dziwnym grymasie. Szybko rozejrzał się dookoła, czy aby ktoś jeszcze nie stoi w pobliżu czekając, by go zaatakować. Gdy upewnił się, że żadnego zagrożenia nie ma w polu widzenia, pobiegł w kierunku starego pijaczka.

Mężczyzna leżał na drodze w pozycji, której nie powtórzyłyby nawet najlepszy instruktor jogi. Całe jego ciało, bez wątpienia połamane w co najmniej kilkunastu miejscach, wyglądało groteskowo. Starzec wciąż jednak oddychał, choć na pierwszy rzut oka widać było, że to jego ostatnie podrygi. W szeroko otwartych oczach dostrzegalny był nie tyle strach, co zdziwienie. Niemożność pogodzenia się z faktem, że mimo swoich artystycznych wygibasów i rzutu kamieniem samochód nie zatrzymał się w porę. Tuż obok niego zaś spoczywał mały, czerwony gwizdek sygnałowy.

- Co tu się kurwa dzieje?! - Adrian zupełnie nie przejmował się stanem leżącego mężczyzny. Zadane pytanie wykrzyczał mu tak głośno, jak tylko mógł, jednocześnie szarpiąc za workowate, śmierdzące ubranie. Nie zważał na to, czy przez to połamie starcowi jeszcze więcej kości. W istocie w ogóle nie planował pozostawiać go przy życiu.

- Za... późno... - wystękał pijak. Każde ze swoich słów wypowiedział w taki sposób, jakby mimo bólu chciał pokazać, że to on zatriumfował, a Adrian - cokolwiek nie zrobił - zrobił to nie w porę.

- Nie pieprz! - Ostaszewski wykrzyczał po raz kolejny i z całej siły nacisnął broczące krwią udo pijaka. Ten zawył. Gdy już miał powtórzyć swoje pytanie, zobaczył, że starzec wywraca oczy do góry. Teraz,

zamiast rozszerzonych źrenic, Adrian mógł podziwiać jedynie pożółkłe, przekrwione białka. Chwilę później ciało starca zwiotczało całkowicie.

- A niech cię szlag!

Adrian wstał znad ciała i nim się zastanowił kopnął je kilkakrotnie, koncentrując swoją siłę na wymierzaniu razów prosto w głowę. Zdenerwowany, wciąż gorejący furią, odwrócił się i spojrzał w kierunku stojącego nieopodal domu Weroniki. Puścił się sprintem, przebiegając dzielącą go od niego odległość w zaledwie parę sekund. Gdy był już przy budynku przystanął zastanawiając się, czy dobrze widzi. Drzwi do domu były otwarte na oścież. Podobnie jak okna na parterze. Przy wejściu panował rozgardiasz - poprzewracane, popękane donice ze świeżymi kwiatami tworzyły na stopniach małe bajorko. Na idealnie zielonej trawie widać było z kolei multum śladów po dużych, ciężkich butach, które w mokrym, zapadającym się gruncie były doskonale widoczne nawet zza bramy.

Nie zastanawiając się więcej przebiegł przez podwórze i wpadł do domu jak błyskawica. Jego uwagę od razu przykuły błotniste ślady znajdujące się niemal na każdym skrawku płytek.

Weroniki nigdzie jednak nie było. Przynajmniej w zasięgu wzroku.

Uważnie, zdając sobie sprawę, że ktoś wciąż może przebywać w budynku, Ostaszewski przeszedł przez korytarz zerkając do dużego pokoju, by na dłużej zatrzymać się u progu kuchni. To w tym pomieszczeniu panował największy nieład. Nie licząc wybitych z zawiasów drzwi, porozrzucane krzesła i sprzęty, jakie pierwotnie znajdowały się w okolicach parapetu, sugerowały, że to tutaj rozegrały się najbardziej dramatyczne wydarzenia. Przez szeroko otwarte okno wciąż wpadał zarówno deszcz, jak i chłodny wiatr, dając Adrianowi do zrozumienia, że dom stoi pusty, a sama Weronika zniknęła gdzieś, najprawdopodobniej wzięta siłą przez mieszkańców.

-Wszystko się pieprzy! - powiedział do siebie rozmyślając, jakim cudem wpakował się w całą tę sytuację. W zupełnie irracjonalne wydarzenia pełne niedorzeczności, o jakich nie posądzałyby nawet małej, polskiej wsi.

Wybiegł z domu szukając odpowiedzi na pytanie, gdzie mógłby znaleźć Weronikę. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy od razu nie zadzwonić na policję, jednak szybko odgonił od siebie tę myśl. Po całym

takim zajściu Weronika mogłaby się zmienić. Odrzucić go od siebie, odciąć się od ludzi i z powrotem przeprowadzić do miasta. Stałaby się dla niego oziębła i oschła. W takim wypadku jego plan ujmujący „miłosną drogę” nie miałby racji bytu. Kobieta musiała więc umrzeć już teraz. Z jego rąk, nie zaś zabobonnych wieśniaków. Musiał wykorzystać tę nieoczekiwaną sytuację i przerobić to wszystko z korzyścią dla siebie. Na końcu, kiedy już faktycznie będzie mógł zawiadomić służby, ostanie się jako biedny, jedyny ocalały z wielkiej rzezi spowodowanej przez mieszkańców Siedlan.

- Tak będzie najlepiej - powiedział do siebie, po czym uśmiechnął się pod nosem. Teraz problemem było tylko zlokalizowanie Weroniki, która - jak miał nadzieję - jeszcze samodzielnie oddycha.

Gdy stanął przed bramą próbując skupić się na tym gdzie powinien zacząć swoje poszukiwania, usłyszał szmer dochodzący kilka kroków dalej. Obrócił się w jego kierunku, po czym momentalnie odskoczył. Widząc przyczajonego za płotem mężczyznę, już miał rzucić się do ataku, kiedy spostrzegł, że jest on cały posiniaczony i zakrwawiony. Rozpoznał, że to lokalny ksiądz, któremu rano dokopał po całości. Widać było jednak, że ktoś mocno poprawił jego wcześniejszą robotę.

Ksiądz podchodził powoli, trzymając się płotu, z wyciągniętą przed siebie w obronnym geście ręką.

- Nie... - zdołał powiedzieć, jakby oczekiwał niczego innego, jak kolejnego pobicia.

Ostaszewski stał tylko i gapił się na kroczonego kapłana. Nie miał zamiaru ani mu pomagać, ani samemu podejść bliżej, by usłyszeć co ma do powiedzenia najwyraźniej żądny rozmowy prałat.

- Czego chcesz? - ryknął Adrian wyraźnie zaznaczając, że ksiądz nie jest mile widziany w pobliżu domu Weroniki, a on sam nie interesuje się jego losem i stanem zdrowia ani trochę.

- Wiem gdzie są - powiedział zbliżający się Stanisław Wereszczuk. - Wiem, gdzie ją zabrali.

Był blady jak ściana. Wyglądał, jakby lada chwila miał umrzeć.

- No więc gdzie są? - zapytał Adrian podchodząc bliżej. Zupełnie nie przejmował się tym, że rozmawia z ciężko pobitym człowiekiem. Złapał go za koszulę i przyciągnął do siebie nie zważając na to, że na twarzy prałata pojawił się grymas bólu.

- Stary cmentarz... będę próbowali zatrzymać klątwę... - wydukał z przerwami na głęboki oddech i chwilę odpoczynku od bólu.

- Gdzie konkretnie?! - Ostaszewski ryknął księdzu do ucha tak mocno, że zdawało się, iż cały szum nieprzerwanie lejącego deszczu i świszczącego wiatru został całkowicie zagłuszony.

- Za wsią. Nie trafisz sam - Wereszczuk, najwyraźniej odnajdując w sobie odwagę i samozaparcie, odtrącił trzymającą go kurczowo rękę Adriana i popatrzył na mężczyznę wzrokiem o wiele bardziej pewnym niż jeszcze kilka chwil temu. - Masz samochód - stwierdził zerkając na poobijaną maszynę - możemy kawałek podjechać. Później trzeba będzie przejść przez las. Musimy się śpieszyć, bo Tochman prawdopodobnie nie będzie czekał z ceremonią do wieczora.

Adrian nie miał pojęcia o czym bredzi kapłan. Nie miał też pojęcia kim jest rzeczony Tochman. Wiedział jednak, że mieszkańcy Siedlan najpewniej faktycznie wierzą w klątwę, o której opowiadał mu wcześniej Wereszczuk. Dla niego - racjonalisty nie wierzącego w siły pozamateriale - było to zupełnie abstrakcyjne. Wszystko jednak wskazywało na to, że cała sytuacja ma wyłącznie jedno, religijno-zabobonne podłoże.

- Wsiadaj - rzucił oschle w kierunku prałata wskazując swój zdezelowany samochód.

ROZDZIAŁ XXV

Jej stopy zdążyły pokryć się licznymi ranami zanim prowadzący ją na sznurze mężczyzna stanął w pół kroku. Droga przez las była długa i wyczerpująca, a wypiętrzone ponad glebę korzenie tylko pogarszały sprawę. Kiedy więc w końcu przystanęli, Weronika nie pragnęła niczego innego, jak tylko paść na ziemię. Zanim zdążyła pomyśleć o tym, jak bardzo jest wycieńczona, osunęła się kurczowo przytrzymując wilgotnego od deszczu pnia olszyny. Oddychała bardzo głęboko i bardzo nierówno. Skurcze, które niejednokrotnie czuła w czasie pochodu, wyraźnie wskazywały na to, że nieubłagane zbliża się chwila rozwiązania.

Odoczywała tyle ile mogła. Wiedziała, że za chwilę ktoś szturchnie ją lub kopnie po nogach, i używając kolejnych wulgaryzmów powie, aby wstała. Zupełnie tak samo, jak było to w czasie długiej wędrówki przez las. Za każdym razem, gdy tylko przystanęła lub zwolniła, ktoś życzliwy inaczej podchodził i bił ją dopóki żwawo nie ruszyła naprzód. Wszystkiemu towarzyszyły głośne okrzyki, w których podjudzony tłum życzył jej wszystkiego co najgorsze.

- Suka!
- Dziwka!
- Bezbożnica!

Ludzie krzyczeli jak na jarmarku. Kotłowali się wokół niej i pluli, choć - gdyby mogli - wyrządziliby jej o wiele większą krzywdę.

Weronika zerknęła na nich co rusz dziwiąc się, jak starsze kobiety, które same ledwo co dawały radę przejść przez gęsty las, znajdują siłę, by kroczyć tuż przy niej, wymachiwać rękami i pluć na nią celując w jej ciężowy brzuszek.

Zapłakała i wzdrygnęła się, gdy jej ciało przeszył kolejny skurcz. Zaciśnęła mocno zęby i powieki.

- Gdzie jesteś? - rzucała w myślach błagając, by Adrian pojawił się tu lada chwila. - Proszę, przyjeźdź!

Adrian jednak nie pojawiał się. Nie było słyhać ani jego głosu rozchodzącego się wśród gęstej roślinności, ani policyjnych syren i nawoływań ludzi przeczesujących teren, jak wyobrażała to sobie kobieta. Nie słyhać było niczego prócz deszczu, wyzwisk pod jej adresem i śmiechów ludzi, którzy co rusz powtarzali, że „nareszcie nastąpi koniec!”.

Kolejne szarpnięcia za sznur i kolejne rany na dłoniach. Weronika podniosła oczy i zobaczyła, że jej oprawca trzymający linę po raz kolejny uświadamia ją, że ma iść dalej.

- Rusz dupę! - usłyszała seplenienie tuż za uchem. Nawet nie musiała się obracać, aby odgadnąć, że drugi spośród mężczyzn, którego miała nieprzyjemność poznać, dosłownie wisi jej nad głową. Czuła jego wstrętny oddech pełen czosnkowego posmaku i była przekonana, że wibrująca wokół niego aura jeszcze bardziej naładowana jest żądzą gwałtu.

Wstając, Weronika poczuła, jak ręka mężczyzny znowu wędruje po jej pośladkach. Była okropnie szorstka i mięsista, a przez przemoczoną sukienkę wydawała się czymś wręcz nieludzkim. Gdy podniosła głowę i spojrzała przed siebie ujrzała polanę zarośniętą wysoką trawą i chwastami, za którą rozpościerał się istic przerażający widok.

Na wpół rozpadająca się, pokryta kilogramami rdzy stara, obrosnięta bluszczem metalowa brama prowadziła wprost na cmentarz, który mógł liczyć co najmniej kilkadziesiąt lat. Mimo bujnej roślinności z daleka widać było zmurszałe nagrobki i przegniłe, pochylone krzyże. Tym, co Weronikę przeraziło najbardziej nie był ani sam fakt tego, że ktoś ciągnie ją w kierunku niemal zapomnianej nekropolii, ani okrzyki tłumu, które wezbrały na sile wraz z każdym krokiem zbliżającym ich ku temu miejscu. Kobieta struchlała i zaczęła dygotać widząc, jak na samym końcu niewielkiego cmentarzyska, tuż przed linią drzew, stał prowizoryczny, mocno oświetlony dziesiątkami lamp o mdłym świetle, ołtarz udekorowany truchłami ptaków i kośćmi.

Kośćmi, które nawet z tej odległości były dobrze widoczne.

Każda jedna czaszka i każda jedna kosteczka były tak małe, że należeć mogły kiedyś wyłącznie do noworodków i dzieci.

Wędrówka przez las dłużyła mu się niepomieranie. Ciągłe kłął pod nosem na krocącego przed nim prałata widząc, jak ślamazarnie porusza się naprzód. Nic go nie obchodziło, że został pobity, a niektóre z jego ran wciąż broczą krwią. Jak dla Adriana, to ten podstarzały alkoholik mógł umrzeć choćby i w tym momencie. Niestety jednak tylko on wiedział gdzie mają się kierować. A przynajmniej tak twierdził.

- Ile jeszcze do ciężkiej cholery?! - Ostaszewski wypalił nagle zupełnie nie przejmując się tym, że jego ton głosu, wyraźnie zbyt silny, rozniósł się echem po całym lesie nawet pomimo padającego deszczu.

Idący kilka metrów dalej Wereszczuk spiorunował go spojrzeniem. Nie bał się Adriana ani trochę, a wszystkie jego uwagi zbywał milczeniem. Dla niego liczyło się wyłącznie to, aby pomóc porwanej kobiecie. Ostatnie pytanie zadane przez mężczyznę nazbyt aroganckim tonem, również potraktował tak, jak chciał - odpowiadając pełnym milczeniem. Obdarzył go tylko lodowatym wzrokiem, by ten wiedział, że krzyczenie w lesie w chwili, gdy zbliżają się do bandy niebezpiecznych osób, nie jest najlepszym rozwiązaniem.

- Pieprzony klecha - syknął pod nosem Adrian i ślamazarnie przeszedł kolejnych kilka kroków. Trzymał w ręce łom, który zabrał z samochodu. W kieszeni spodni z kolei ciążył mu wyjęty z przybornika nóż ratunkowy oraz drugi, nieco większy, który trzymał przy kole zapasowym. To była jego jedyna broń na wypadek, gdyby musiał wejść z kimś w bezpośrednie starcie. Wiedział jednak, że w zupełności mu to wystarczy, by pokonać absolutnie każdego mieszkańca wsi. Na takiej prowincji jak Siedlany, gdzie większość osób stanowiła grupa wiekowa zbliżająca się lub przekraczająca pięćdziesiąty rok życia, on - wysportowany, młody facet - mógł rozdawać karty na prawo i lewo. Utwierdzając się w takim przekonaniu wyobrażał sobie, jak rzuca się na całą grupę wieśniaków, by w furii, z adrenaliną buzująca w jego żyłach, rozbić ich w drobny mak. Posiekać i zadźgać z łatwością z jaką zabija się natrętne robactwo.

- Cicho! - szepnął nagle Wereszczuk rozkazującym tonem, jakby sam fakt tego, że Adrian oddycha był o wiele za głośny.

Książd przystanął i schował się za jednym z drzew. Adrian, choć nie lubił, gdy ktoś mu rozkazuje, pokornie schował się za innym. Dopiero

po chwili zobaczył, że zza szpaleru starych dębów wychodzi kilka osób. Wszyscy ubrani byli w te same workowate, paskudne stroje, jak ci, z którymi mężczyzna musiał zmierzyć się w samochodowym pojedynku na wiejskiej drodze.

- Musimy poczekać aż przejdą dalej - powiedział cicho Wereszczuk dopowiadając sam sobie, że to z pewnością jedna z grup, która ma pilnować cmentarzyska, aby nikt nieproszony nawet się do niego nie zbliżył. - Słyszałeś? Czy już całkiem og...

Prałat nie dokończył pytania. Nie zdążył nawet zorientować się co się dzieje, gdy Adrian Ostaszewski, niczym asasyn, wypadł z kryjówki i z wprawą godną pozazdroszczenia zaczął prawdziwe przedstawienie.

Grupa mieszkańców Siedlan, jaka miała nieszczęście warować w tamtej chwili od strony zakradającego się księdza i mężczyzny, bardzo szybko została sprowadzona na ziemię. Adrian wyskoczył na nich zza krzaków niczym jeleń. Zanim ubrane w pokutne stroje osoby zdążyły cokolwiek zrobić i cokolwiek powiedzieć, dwie z nich już leżały na ziemi z rozbitymi czaszkami.

Ostaszewski władał łomem niczym mieczem. Choć niewielki wzrostem, wydawał się górować nad wszystkimi, wyraźnie zaskoczonymi osobami. Jego ciosy były bezlitosne. Nie były wymierzone po to, by zneutralizować zagrożenie, lecz by zabić. Obrócić w perzynę. Sprawić, aby żaden z osobników po choćby jednym uderzeniu, nie drgnął więcej ani razu.

Wereszczuk przyglądał się w ciszy temu istnemu spektaklowi brutalności. Pokazowi siły i bezkompromisowości. Nie mógł uwierzyć, w jaki sposób tak młody mężczyzna, z wypisanym na twarzy stoickim spokojem, może zadawać śmiertelne ciosy z wprawą rasowego zabójcy. Próbował zrzucić to na karb miłości do kobiety, do mającego się narodzić dziecka. I jakkolwiek nie myślał o mieszkańcach Siedlan, którzy ślepo podążyli za słowami Tochmana, tak widok kilkorga z nich padających od niewiarygodnie silnych ciosów łomem, łamał mu serce. I Wereszczuk, choćby chciał, nie potrafił z tym niczego zrobić.

- Banda sukinsynów! - usłyszał padające z ust Adriana klęcia, gdy po masakrze podszedł bliżej niego.

Prałat z obrzydzeniem spoglądał na miejsce kaźni. Na rozłupane czaszki i wnętrzności wylewające się z parujących torsów. Nie mogąc

znieść widoku co rusz kierował swój wzrok w inną stronę - na uspokajającą zieleń drzew - próbując nie zwrócić resztek zawartości swojego żołądka. Nie przyznał się Adrianowi do tego, że w zmasakrowanych, leżących bez życia osobach rozpoznaje swych dawnych, dobrych znajomych. Ćwikliński i Huszcz. Bednarz i Dębiec. A Wolański był nawet ministrantem seniorem.

Przeżegnał się i odmówił za nich krótką modlitwę.

- Mam nadzieję, że to nie za tych bydlaków - usłyszał po chwili, po czym obrócił się, by ujrzeć Ostaszewskiego celującego w niego zakrwawioną końcówką łomu. Mężczyzna był spocony, a jego twarz, choć zdająca się spokojną, wyrażała nic więcej, jak tylko agresję.

- Absolutnie - skłamał uświadamiając sobie, że może mówić o szczęściu, gdy rano Ostaszewski spuścił mu łomot, który teraz wydawał mu się ledwie drobnymi szturchnięciami.

- Idziemy dalej. Zanim ktoś znajdzie tych tutaj - Adrian przyjął władczą postawę. Wereszczuk dostrzegał w jego oczach coś, co trudno było określić. Coś, co można by było nazwać wręcz szaleństwem. Nie sprzeciwiał się więc. Posłusznie, bez ani chwili zawahania, skierował się w dalszą drogę. Wiedział jednak, że wszystko wskazuje na to, iż prawdziwie dramatyczne sceny dopiero się rozegrają.

* * *

Seweriusz Tochman był niezwykle podekscytowany. Wszystko, całe wydarzenie, jakie miało przełamać klątwę - cała długa droga jaką przebył, by móc odprawić odpowiedni rytuał - w końcu dobiegała końca. W dzień Bożego Ciała, gdy deszcz padał z nieba przy wtórze gromów, a wiatr kołysał z uporem wysokimi drzewami, w dwadzieścia lat po tragicznych wydarzeniach związanych z Aurelią Malewską w końcu mógł poczuć się spełniony. Już teraz chciał świętować. Cieszyć się chwilą, która tak naprawdę miała dopiero nadejść. Był jednak przekonany, że nic nie stanie mu na drodze. Nic i nikt nie sprawi, że ten dzień nie zapisze się na kartach historii jako jego wielki triumf. Jego - wybawcy Siedlan, duchowego przewodnika wszystkich jej mieszkańców. Nawet fakt, że ten szczur - Stanisław Wereszczuk - jakimś cudem zdołał uwolnić się z więzów i uciec. Seweriusz jednak nie przejął się tym zbyt. Ranny, na wpeł przytomny prałat nie mógł uciec

daleko. Z całą pewnością nie był również w stanie w jakikolwiek sposób sprowadzić w to miejsce kogokolwiek, kto mógłby im przeszkodzić. Najpewniej uciekł z podkulonym ogonem, gdy tylko udało mu się przerwać linę. Być może nawet jakimś cudem dotarł na plebanię, by schować się i w spokoju odurzać kolejnymi porcjami alkoholu. Tochman zupełnie jednak o tym nie myślał. Wiedział bowiem, że gdy upora się z klątwą, gdy – już za chwilę – wykona ostateczny rytuał i złe moce odejdą z Siedlan raz na zawsze, znajdzie czas by w spokoju, radując się każdą chwilą, znaleźć Stanisława Wereszczuka i sprawić, że to co przeżył przed swoją niecną, głupią ucieczką było tylko preludium do okropieństw jakie dopiero go czekają.

Zamknął oczy i przez długą chwilę rozmyślał o minionych latach. Katordze, jaką cierpiał znosząc głód, choroby i niedolę. Rozrywającym serce bólu, kiedy konały jego dzieci, kiedy żona – sucha niczym wiór – umierała mu na rękach przeklinając całe swoje życie.

Miał ochotę rozpłakać się niczym małe dziecko. Tyle lat dusił w sobie wszystkie emocje, a teraz, w obliczu nadchodzącego, radosnego końca, najchętniej zanurzyłby się w czyichś ramionach i wypłakał cały ocean łez. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Musiał być twardy i stanowczy do samego końca. Do chwili, kiedy klątwa będzie ostatecznie pokonana, a Siedlany znów będą radosną, pełną życia wsią.

Otworzył oczy.

Stał przed ołtarzem, który dobitnie pokazywał, jak wiele wycierpieli jego znajomi. Wpatrywał się malutkie czaszki należące niegdyś do ich dzieci. Do tych wszystkich bezbronnych istot, które jako pierwsze padły ofiarą wielkiego pomoru. Które były najmniej winne, a które wycierpiały najwięcej. Teraz, po latach, ich kości miały być świadkami odkupienia, a oni sami – w co wierzył Seweriusz – wezmą udział w całym rytuale.

Przerzucił swój wzrok na wiszący ponad ołtarzem szubieniczny sznur. Zatopił się w myślach, by dokładnie powtórzyć każdy krok rytuału mającego odwrócić niszczycielską moc klątwy. Dopiero teraz wspomniał moment, gdy – jakby za sprawą Opatrzności – znalazł starą, zniszczoną księgę leżącą nieopodal progu swojego domu, dokładnie w dzień po tym, jak wezwane przez Wereszczuka służby zabrały pierwszego bohatera ich małej wsi, Michała Surzewskiego. Tochman doskonale pamiętał, jak Michał darł się wniebogłosy ciągle powtarzając

coś o klątwie. O tym, że wie o przyczynach całej niedoli jaka miała miejsce w Siedlanach. O księdze, w której znajduje się sposób na jej odwrócenie. Gdy więc w dzień po tamtych, dramatycznych wydarzeniach ujrzał dziwną, na wpół zbutwiałą księżkę, która jakby czekała aż on - Seweriusz - podniesie ją, by stać się dziedzicem spuścizny Surzewskiego, nie mógł uwierzyć w to, co w niej przeczytał. W szalone zapiski odnoszące się do dawnej historii ich wsi. W pochód trędowatych pielgrzymów, od których zaczęła się cała tragedia dziesiątek rodzin i setek ludzi. W sposób, wedle którego można było wszystko, całą klątwę, odwrócić jednym, wymagającym absolutnego poświęcenia, rytuałem.

Zerknął po raz kolejny na sznur. To na nim musiała w pierwszej kolejności zawisnąć ciężarna. Z pętlą na szyi dokonać swojego żywota, podobnie jak onegdaj przeklęta Aurelia Malewska. Dopiero później on, Seweriusz Tochman - jedyny prawdziwy, namaszczonej przez Niebiosa kapłan - miał wydrzeć dziecię z jej jeszcze parującego truchła, by następnie wrzucić je, jeszcze żywe, do małego, starego grobu wykopanego przed dwiema dekadami przez Surzewskiego. Przykryć czaszkami zmarłych osesków miejscowych rodzin, a na samym końcu zrzucić do niego ciało ciężarnej kobiety, przywalić niepoświęconą ziemią i czekać. Czekać na prawdziwy cud, kiedy wszystko, po raz pierwszy do bardzo dawna, będzie się w Siedlanach układać tak, jak powinno.

Chwilę później zaklął siarczyście gdy wspomniał w jaki sposób potraktował go przed laty Wereszczuk. To do niego udał się w pierwszej kolejności. To jemu zdradził wszystko - całą istotę klątwy, jej historię i sposób poradzenia sobie z tym piekielnym problemem. W odpowiedzi otrzymał tylko suchą informację, że wie o tych „bajdurzeniach”.

- Pieprzony hipokryta - sapnął pod nosem Seweriusz kręcąc głową.

Wereszczuk śmiał się z niego niemal do rozpuku. Powiedział tylko, że wie o wszystkim z notatek, które przez długie miesiące spisywał Surzewski, a które on znalazł w jego domu. Podkreślał, że to dowodzi tylko temu, iż jego dawny kościelny był szalony. Pozbawiony odpowiedniej opieki lekarskiej i psychologicznej.

- A ta cała księga, to zwykłe wynurzenia jakiegoś makabrycznego fantasty. Obraza nie tylko dla Boga, ale i zdrowego rozsądku - twierdził prałat.

Seweriusz po raz kolejny pokręcił głową, tym razem jednak na jego nalanej twarzy pojawił się nikły uśmiech. On sam bowiem był przekonany, że lada chwila udowodni temu beznadziejnemu człowiekowi jak bardzo się pomylił w ocenie całej sytuacji i jak wielkim błaznem stał się w ciągu następnych lat, gdy wciąż powtarzał swoje monotonne kazania o miłosierdziu, poszanowaniu każdego człowieka – nawet niewierzącego – a przede wszystkim, kiedy wciąż wmawiał nielicznym pozostałym przy nim wiernym, że nie istnieje coś takiego jak klątwa, która nawiedziła ich małą, bogobojną wieś.

Obrócił się w stronę Piotra Radzyńskiego. Jego znajomek stał nieopodal, tuż przy jednej ze starych mogił, i trzymał sznur, do którego wciąż przywiązana była ciężarna kobieta.

Zerknął na nią.

Błada jak ściana, z licem, na którym wypisany był ból. Trzęsąca się albo z zimna, albo ze strachu.

Serweiusz miał nadzieję, że jednak to strach sprawia, że trzęsie się jak galareta. Chciał, by cierpiała jak najbardziej. By chwila jej konania była długa i powolna. Taka, jaka zapisana jest każdemu bezbożnikowi i innowiercy.

Nieco dalej, tuż za cmentarną bramą, sterczał podjudzony tłum. Tochman zabronił wchodzić na teren nekropolii komukolwiek bez jego zgody, toteż większość mieszkańców miała uczestniczyć w rytuale biernie przyglądając się wszystkiemu z pewnej odległości. Wiedział jednak, że im to wystarczy. Ubrani w pokutne stroje mężczyźni i kobiety już teraz łkali i klepali się po plecach, a on wiedział, że nie robią tego z żalu, lecz ze szczęścia.

- Podejź tu Piotrze – zwrócił się oficjalnie do swojego najwierniejszego kompana, niczym nauczyciel do ucznia. Niczym Jezus do najwierniejszego ze swych przyjaciół. – Byłeś mi oparciem w całej mojej wędrówce. Ty pierwszy uwierzyłeś w moje słowa i ty pierwszy poszedłeś za mną, kiedy inni jeszcze długi czas podążali niewłaściwą ścieżką. Dziękuję ci za to, że byłeś i za to, że jesteś. Cieszę się, że to właśnie ty będziesz bezpośrednio uczestniczył w naszym rytuale – podniosły, niemal patetyczny ton wypowiedzi Tochmana zupełnie nie pasował do wyglądu jego twarzy. Ciężkiego, nalanego lica bardziej przystającego wieloletniemu więźniowi niż samozwańczemu,

wiejskiemu prorokowi. Choć więc Seweriusz starał się nadać swym słowom jak najbardziej charakterystyczne brzmienie, bardziej sprawiały one wrażenie fragmentów groteski wypowiedzianych na teatralnych deskach, niż mającego miejsce głębokiego wyznania płynącego prosto z serca.

Radzymiński wsłuchiwał się w jego słowa z błogością wypisaną na twarzy. Tochman nigdy nie mówił do niego w taki sposób. Tak podniośle, niczym ksiądz wygłaszający kazanie. W myślach Piotra dominowało jednak zupełnie inne uczucie. Uczucie, któremu poddał się spoglądając na ciężarną kobietę. Młodą i piękną. Taką, jakiej we wsi nie widać było od wielu, wielu lat.

Gdyby Seweriusz mógł wniknąć w umysł swojego najwierniejszego sługi, gdyby jakimś cudem przejrzał wszystkie jego nieskładne myśli, zobaczyłby obraz, który zmroziłby mu krew w żyłach. Obraz Piotra leżącego na Weronice Sobczyk, posuwającego się do najgorszych czynów w swych głęboko skrywanych przez długie lata, seksualnych zapędach, wyrosłych na chorobie rozwiniętej w niemal bliźniaczej formie, co przypadłość z jaką borykał się Michał Surzewski. O wiele jednak gorszej, która tor swego działania skupiała na obrzydliwych, perfidnych, wręcz prostackich rządach.

Tochman dalej wygłaszał swoją mowę klepiąc po plecach Radzymińskiego. Uzmysławiając mu, jak bardzo był dla niego ważny przez te wszystkie lata. Ten jednak, zamiast patrzeć głęboko w oczy prowodyrowi całego wydarzenia, wołał ukradkiem spoglądać na leżącą nieopodal kobietę, która choć w oplakany stanie, wciąż wyglądała ponętnie. O niebo lepiej niż wszystkie podstarzałe mieszkanki Siedlan.

Monolog Seweriusza i zamyślenie Piotra przerwało wnet poruszenie przy cmentarnej bramie. Stojący przed nią ludzie zaczęli nerwowo rozglądać się jeden po drugim. Ktoś w tłumie zaczął mówić coś donośnym głosem. Słychać było krzyki i nieskładne nawoływania. Ubrane w pokutne szaty osoby z przerażeniem w oczach zaczęły spoglądać na Tochmana, gestem ręki wskazując, by czym prędzej do nich podszedł.

- Cóż to? - skierował swoje pytanie prosto do Piotra wciąż pozostając w oratorskim tonie. Ten jednak nie odpowiedział. Jego zaskoczony wzrok kierował się tak samo w stronę tłumy, nie potrafiąc odgadnąć o co może chodzić zgromadzonym tam osobom.

- Zostań tu i pilnuj jej - powiedział w końcu Seweriusz, gdy wrzawa podniosła się do nieoczekiwanego poziomu. Wskazał leżącą na ziemi kobietę. - Nie spuszczaaj jej z oczu.

Chwilę później był już przy ludziach. Na ich twarzach, niczym dłutem, wyrzeźbione było przerażenie. Ktoś w końcu podszedł do Tochmana i na ucho powiedział mu, co jest przyczyną szybko rozprzestrzeniającego się lęku.

Ciała.

Ktoś znalazł ciała ich współbraci w wierze. Zupełnie zmasakrowane. Zarówno tych, którzy mieli warować w okolicach cmentarza, jak i osób, jakie pozostały na głównej drodze prowadzącej do wsi, by nie dopuścić do ewentualnego przerwania rytuału przez kogoś niepożądanego.

Seweriusz Tochman przełknął głośno ślinę. Zbladł, a z jego skroni zaczęły spływać gęste krople potu. Wszystko wskazywało na to, że sam szatan zawitał do ich wsi, by przeszkodzić mu w ostatecznym rozrachunku z przeszłością.

ROZDZIAŁ XXVI

Była zbyt zmęczona i zbyt przerażona, by trzeźwo określić co dzieje się dookoła niej. Nie pamiętała czy zemdląca, czy tylko chwilowo ją zamroczyło nim ocknęła się przy jednym ze starych grobów. Nie miała siły, by podnieść oczy i sprawdzić, co robią jej oprawcy. Jej oddech stał się płytki, a skurcze, które jeszcze nie tak dawno czuła, ustały. Pętający dłonie sznur wciąż zaciskał się mocno na przegubach jej rąk. Bolesnie i bezlitośnie. Nie był jednak tak napięty jak ostatnio. Wszystko wskazywało na to, że osoba trzymająca jego drugą stronę chwilowo pohamowała swoją chęć zadawania bólu. Weronika wykorzystwała to jak tylko mogła najlepiej – miała w końcu okazję sięgnąć do swojego brzuszka i pogłaskać go, jakby głaskała już swoje dziecko. Z jej oczu pociekły łzy. Nie czuła bowiem ruchów. Ani jednego, nawet najmniejszego poruszenia w ciągu ostatnich kilku minut. Choć nie miała siły tego okazać, w duszy wyła z rozpacz.

W pewnym momencie usłyszała jakieś rumor.

- Adrian? - pomyślała, po czym uzmysłowiła sobie, że to próżne nadzieje. Jej ukochany, gdziekolwiek teraz nie był, znajdował się daleko od niej. Była niemal przekonana, że wciąż nie ma pojęcia, co zaszło.

Poruszenie jednak nie słabło. Weronika słyszała coraz głośniejsze rozmowy, coraz głośniejsze nawoływania dobiegające gdzieś z oddali. Chwilę później zobaczyła kątem oka, jak ktoś noszący ciężkie, robocze obuwie przechodzi koło niej bardzo szybkim krokiem. Wydawało jej się, że tłum - gdziekolwiek się nie znajdował - wyrażał swoje niezadowolenie jeszcze głośniejsze, niż parę sekund temu.

Gdy myślała, że została sama i nikły cień szansy na ucieczkę jednak istnieje, poczuła nagle szarpnięcie, które do reszty wybudziło ją z marazmu i przegoniło wszystkie myśli na ten temat. Szarpnięcie za włosy było dzikie i gwałtowne. Jakby ktoś chciał zostawić na jej czaszce nic prócz skóry.

Z ust kobiety dobył się pisk. Zbyt słaba, aby spróbować wyrwać się silnym ręką zadającym jej ból, poruszała tylko nieznacznie nogami próbując w jakimkolwiek stopniu zredukować cierpienie ciała sunącego po wystających korzeniach, objającego się o kolejne, stare nagrobki.

Jej cierpiętnicza podróż nie trwała zbyt długo, ledwie kilka metrów, kończąc się tuż za szerokim pniem wielkiego dębu. Rozłożyste gałęzie drzewa były tak gęsto pokryte liśćmi, że lejący wciąż deszcz wydawał się być zupełnie bezsilnym. Nawet ziemia była w tym miejscu niemal sucha.

Weronika wciąż wydawała z siebie jęki. Drżącymi dłońmi na przemian ochraniała to swój brzuch, to włosy, które targane były przez silne ręce. Dopiero po chwili, gdy oprawca ostatecznie umieścił ją tam gdzie chciał, spojrzała w górę na tyle, na ile mogła.

Sepleniący oblech wpatrzony w nią zupełnie dzikim wzrokiem, uśmiechał się szeroko. Z kącików jego ust leciały stróżki śliny. Twarz miał całą czerwoną. Jego ręce trzęsły się z podniecenia. Gmerał nimi nerwowo przy pasku od spodni, nie potrafiąc rozpiąć go w kilku prostych ruchach.

Widząca to wszystko Weronika skostniała. Zdawała sobie sprawę z tego, co najwyraźniej może się stać i zupełnie nie wiedziała, co może zrobić. Przeguby jej rąk były rozorane przez potężny sznur sprawiając, że czuła w dłoniach niedowład. Posiniaczone i pokaleczone długą wędrówką nogi były niczym kamienne kolosy, zupełnie bezużyteczne w przypadku chęci ucieczki.

Znów poczuła skurcz. Potężny, wędrujący w dół brzucha. Dziecko wciąż żyło i zaczęło się w niej dynamicznie poruszać. Jakby wiedziało, że matka jest w tarapatach.

Weronika była zbyt słaba by czemukolwiek zaradzić. Osłoniła tylko swój brzuch ciesząc się niezmiernie, że mała wciąż przejawia oznaki życia. Domyślała się jednak, że za chwilę stanie się coś strasznego. Coś, co nie śniło jej się nawet w najgorszym koszmarze. Po raz ostatni zawołała w myślach Adriana, który wciąż nie pojawiał się z odsieczą.

- Sssssuka... - usłyszała świszczący oddech i zerknęła w górę. Stojący nad nią mężczyzna zaczął pochylać się w jej stronę.

Seweriusz Tochman sprawiał wrażenie zupełnie oderwanego od rzeczywistości. Stał pośród tłumu mieszkańców Siedlan, którzy wciąż podnosili wrzawę, krzyczeli, lamentowali. Nie potrafił odnaleźć się w tak nagle zmieniającej się sytuacji, gdy z poziomu lidera prowadzącego wszystkich do chwały stał się człowiekiem bezsilnym wobec pewnych wydarzeń. Nie mógł uwierzyć, że ktoś z jego małego stadka wiernych został w bezkompromisowy i brutalny sposób zabity.

- Ich głowy!

- Miazga!

- Bóg nas opuścił!

Ciągłe krzyki mieszkańców sprawiały, że w żadnym stopniu nie potrafił się skupić. Jego myśli rozbiegały się i orbitowały wokół dwóch sposobów działania - pośpiesznym udaniu się na miejsce, gdzie ponoć leżą zmasakrowane zwłoki kilku mieszkańców, oraz kontynuowaniu rytuału za wszelką cenę, byle tylko jak najszybciej doprowadzić wszystko do końca.

Otrząsnął się z zamyślenia. Zamknął oczy na parę sekund, by w spokoju swego ducha podjąć odpowiednie działanie. Zupełnie, jakby musiał skomunikować się z tą częścią swojej świadomości, która wyniosła go na piedestał. Po chwili nie miał już najmniejszych wątpliwości co do tego, co trzeba uczynić.

- Kalicki! - zakrzyknął do stojącego nieopodal wysokiego, brodatego mężczyzny. - Weź ze sobą trzech silnych facetów i idźcie sprawdzić, co tam się mogło wydarzyć.

Mężczyzna skinął głową i zaczął wskazywać na swoich kompanów, by poszli razem z nim.

- I jeszcze jedno - dodał Tochman, gdy mężczyźni zaczęli się oddalać. - W razie czego, nie krępujcie się zrobić choćby najgorszej rzeczy.

Mina Kalickiego - zawadiacki uśmieszek charakteryzujący rzezimieszków - mówiła jasno i wyraźnie, że ten najwyższy i najbardziej barczysty mieszkaniec Siedlan nie zawaha się nawet zabić.

Seweriusz złapał kilka głośnych oddechów wpatrując się w odchodzącą grupę tęgich mężczyzn. Teraz pozostawała kwestia zapanowania nad tłumem, który zdawał się być pogrążonym w strachu i niepewności, i zakończenia rytuału.

Instynktownie odwrócił się w stronę cmentarza i rozświetlającego go ołtarza.

Zamarł, a jego oczy rozszerzyły się do granic możliwości.

Jak okiem sięgnąć nie widać było ani Radzymińskiego, ani ciężarnej kobiety.

- Co do ku... - choć z jego ust padło klęcie, to wydawało się, że zgromadzeni wokół niego, wciąż przekrzykujący się ludzie, niczego nie usłyszeli. Tymczasem Tochman, który czuł, że bardzo szybko traci panowanie nad całą sytuacją, zaczął w pośpiechu przedzierać się między rzędami pokutników. Z przerażeniem wypisanym na twarzy nie wyglądał jak ktoś, kto mógłby dowodzić całą grupą osób. Nie wyglądał również jak ktoś, kto ma do wykonania wielki plan i trzyma rękę na pulsie w celu jego wykonania. Seweriusz Tochman, przerażony, poddający się panicznym lękom, że wszystko co postanowił wali się w zastraszająco szybkim tempie, sprawiał wrażenie kogoś, komu pali się grunt pod nogami. Kto ma świadomość tego, że całość uprzednio skomponowanego, misternego planu dąży do absolutnie fatalnego końca.

Wbiegł na teren cmentarza jak oparzony. Szaleńczo zaczął rozglądać się po każdym zakamarku niewielkiej nekropolii sprawdzając miejsce za każdą starą płytą nagrobną i każdą mogiłą. Nigdzie nie widział kobiety. Wszystko wskazywało na to, że jakimś straszliwym cudem uciekła, a Piotr zaczął ją gonić. Tylko takie wytłumaczenie potrafił stworzyć w ciągu kilku sekund, w czasie których w jego głowie pojawiały się kolejne scenariusze na temat wydarzeń, jakie mogły tam zajść. Dopiero po dłuższej chwili usłyszał jęczenie i stękanie dobiegające z drugiego końca cmentarza, zza miejsca, gdzie znajdował się makabryczny ołtarz. Zagłuszane przez krzyki podjudzonego tłumu pojękiwania były ledwo słyszalne. Seweriusz jednak, gdy tylko je usłyszał, natychmiast zaczął kierować się w ich stronę, zupełnie nie mając świadomości, co za chwilę zobaczy.

Piotr Radzymiński, jego najlepszy uczeń i najwierniejszy sługa, człowiek który był z nim przez te wszystkie ciężkie lata, klęczał przy ciężarnej kobiecie próbując zedrzeć z niej sukienkę. Z odsłoniętym kroczem lokował się w pobliżu jej lędźwi z wyraźnym zamiarem gwałtu. Pozbawiona sił kobieta zupełnie nie miała możliwości, by spróbować go choćby odepchnąć. Osłaniała swoje ciało jak tylko mogła, jednak

agresywna postawa Radzymińskiego wyraźnie sugerowała, że nie ma ona najmniejszych szans.

Tochman nie mógł uwierzyć w to co widzi. Czuł się niczym Jezus zdradzony przez Judasza. Człowiek, który na drodze do odkupienia swych wiernych napotkał najgorszego spośród nich - fałszywca i prawdziwego bezbożnika.

- Ty skurwysynu! - wykrzyknął Seweriusz, po czym rzucił się na Radzymińskiego. Odepchnął go od kobiety i zaczął okładać pięściami. Rozgorzała w nim prawdziwa furia. Spowodowana była jednak nie tym, że zobaczył jak ohydneho czynu chce się dopuścić jego najwierniejszy uczeń, lecz faktem, że człowiek ten jawnie mu się przeciwstawił, a jego działanie mogło spowodować uniemożliwienie odbycia całego rytuału.

- Pieprzone bydle! Zdrajca! - krzyczał, wciąż uderzając z całej siły Piotra. Ten jednak zdołał odeprzeć atak i posłać na ziemię Seweriusza kilkoma niezmiernie silnymi kopnięciami.

Jakkolwiek Radzymiński zawsze czuł się gorszy od Tochmana w kwestiach społecznych - relacjach międzyludzkich i tworzeniu wokół siebie otoczki kogoś wielkiego - tak siła fizyczna zawsze była jego najmocniejszą stroną. Gdy tylko udało mu się powalić na ziemię przeciwnika, odsunął się kilka kroków, by poprawić ubranie i rozejrzeć się dookoła bacznie obserwując zachowanie tak kobiety, jak i samego Seweriusza.

- Dziwka - syknął pod nosem sepleniąc, nie spuszczając wzroku z kobiety, która w wyraźnym szoku płakała pod drzewem.

- Coś ty do ciężkiej cholery chciałeś zrobić? - zasapany, zupełnie zbity z tropu, jednak napędzany potężną dawką gniewu Seweriusz wstał z ziemi i natychmiast przybrał bojową postawę. - Jak bardzo głupi jesteś, że nie potrafisz zrozumieć, co ma tutaj się wydarzyć? Mogłeś zniszczyć całe długie przygotowania! Wystarczy, że przyjechała do nas jakaś młoda, miastowa kurwa, a ciebie już świerzbią jaja?

Radzymiński wydawał się jednak zupełnie nie słuchać słów swojego mentora. Wyglądał kompletnie inaczej niż człowiek, którego Tochman znał całe życie. Twarz Piotra sprawiała wrażenie nieobecnej, jakby umysł balansował na granicy jawy i snu. Jego oczy błyszczały szaleństwem i czystym złem, a każde kolejne wypowiedane przez niego

słowo tylko utwierdzało Seweriusza, że jego najbliższy przyjaciel prawdopodobnie zupełnie oszalał.

- Ssssssuka... - wyszeptał pod nosem Radzymiński. Oblizał się wielkim, mięsistym jęzorem. Jego nogi i ręce zdawały się mówić, że już za moment rzuci się w kierunku kobiety nie zważając na to, co robi Tochman.

- Zgłupiałeś! Albo opętał cię szatan, żebyśmy nie mogli dokończyć rytuału! - zaczął wykrzykiwać Seweriusz. Jego głos zdradzał jak bardzo się denerwuje i jak bardzo nie ma pojęcia, co robić. Nalana, zazwyczaj czerwona od gniewu twarz, przybrała kolor starego papieru. Była niezdrowo żółta.

- Sama się prosiła... suka! - wycedził przez zęby Radzymiński. - Jak tamta... Malewska... suka się prosiła!

Tochman zbladł całkowicie. Nie wiedział, czy źle rozumie, czy może Piotr się przejęzyczył. Czegokolwiek jednak nie usłyszał miał nadzieję, że Radzymiński bredzi.

- Coś ty powiedział? - zapytał po dłużącej się chwili ciszy Seweriusz. Jego twarz przypominała teraz pęknięty worek mąki - blada, bezkształtna. - Coś ty powiedział? - powtórzył, jakby wciąż nie dochodziła do niego istota słów Radzymińskiego.

- Sama tego chciała! Malewska... suka! - Piotr mówił i dyszał jednocześnie. - Chciała tego! Widziałem to w jej oczach. Bezbożna dziwka! Jak na mnie patrzyła w czasie sianokosów! Jak mnie wzrokiem rozbierała.

Tochman wciąż nie wierzył, że to co słyszy, to prawda. W potoku słów i klęć wypowiedzianym przez Radzymińskiego kryć się bowiem mogła prawda, która podważyłaby wszystko w co on sam święcie wierzył. Całą istotę grzechu Aurelii Malewskiej, całą istotę anegdoty o klątwie ciążyącej nad wsią, podtrzymywaną przy życiu tak wiele lat.

- Bachor! Dzwinka... powiedziała, że jest bezpłodna! - Piotr kontynuował swój wątek zerkając na Seweriusza takim wzrokiem, jakby w jego głowie nie siedział już ten sam, stary i dobrze znany Tochmanowi człowiek. Jakby wiedział, że trzymane przez niego w głębi duszy słowa, które dopiero teraz ujrzały światło dzienne, nigdy nie wyjdą do szerokiego tłumu. - Zabić... sprzątnąć... odpowiedzieć o klątwie...

- To... to nie może być prawda... - Tochman, który w ciągu kilku sekund skarłał tak bardzo, że wydawał się cieniem samego siebie, choć zaprzeczał temu co słyszy, wiedział, że właśnie upadł jego świat. Jego całe, budowane przez dwadzieścia lat pryncypia, którymi i dla których żył.

- Zginiecie jak ona i jej bachor!

Seweriusz nie zdążył zareagować, gdy Radzymiński, niczym żywy czołg, naparł na niego w ułamku sekundy. Był jak zwierzę - dziki i bestialski. Zupełnie, jakby osoba, która przez ostatnie dziesięciolecia krok w krok trzymała się z Tochmanem, zniknęła gdzieś raz na zawsze, spuszczając ze smyczy prawdziwego demona.

ROZDZIAŁ XXVII

Stanisław Wereszczuk stracił z oczu Adriana Ostaszewskiego dobrych kilkanaście minut wcześniej, gdy po raz ostatni wskazał mu drogę mówiąc, że na cmentarz choleryków prowadzi już tylko prosta, choć mocno zarośnięta ścieżka. Gdy mężczyzna opuszczał go nie zważając na to, że zostawia pobitego i wycieńczonego kapłana samego w lesie, w którym - na każdym kroku - czaić się mogli kolejni pokutnicy Seweriusza Tochmana, spojrzął na niego w taki sposób, jakby w następnej sekundzie i jemu miał rozłupać czaszkę. Wereszczuk wołał więc się nie wychylać. Nie prosić o pomoc. Nie pytać, co Ostaszewski ma zamiar zrobić. Nigdy bowiem nie widział, by w kimś gorzała taka furia i gniew, którym towarzyszy, paradoksalnie, stoicki spokój wypisany na twarzy. Jakby ten młody, niski lecz silny jak tur mężczyzna, widział doskonale, że obrona przez niego ścieżka kolejnych kroków po prostu musi się spełnić.

Gdy Adrian zniknął mu z pola widzenia, prałat dużo wolniej i dużo bardziej uważnie zaczął przemierzać odległość dzielącą go od cmentarza. Choć deszcz w dalszym ciągu lał się z nieba, jakby aniołowie mieli wypłakać się za wszystkie eony, Wereszczukowi cały czas wydawało się, że i tak stąpa zbyt głośno. Było mu niezmiernie zimno i wszystko wyglądało na to, że potworny ból twarzy i ciała, o którym zdążył zapomnieć, lada chwila uderzy ze zdwojoną siłą.

Opierając się beznadziejnemu uczuciu, że cała jego długa, wyczerpująca wędrówka najzwyczajniej nie ma żadnego sensu, parł przed siebie zastanawiając się, czy samozwańczy mściciel w postaci Adriana Ostaszewskiego, już zdążył dobiec do nekropolii. Jeżeli tak, to czy podobnie jak przed kilkunastoma minutami, z wprawą godną szermierza, wymachiwał łomem rozłupując kolejne czaszki mieszkańców Siedlan?

Wereszczuk pokręcił głową. Nawet człowiek, który deklaruje, że zrobi wszystko, by uratować ukochaną kobietę, miałby opory przed zabiciem drugiego człowieka. Każda normalna, w pełni świadoma swoich czynów osoba kierująca się w życiu choć odrobiną empatii, dwa razy zastanowiłaby się przed wykonaniem choćby jednego, prostego ciosu. Tymczasem Ostaszewski wyglądał niczym zaprawiony w boju żołnierz, dla którego zabić to jak splunąć. Prałat wciąż nie mógł uwierzyć, z jaką beztróską Adrian pozbawił życia kilkoro ludzi, by po chwili być gotowym do dalszego ruszenia w drogę.

Zero empatii.

Zero współczucia.

Żadnych znamion duszy.

Oparł się o drzewo i z trudem przyjął potężny haust powietrza, który był niczym gwałt na jego płucach po kilkuset mniejszych, płytkich oddechach.

Zakaślał przykładając pięść do ust. Po chwili jej wnętrze wypełnione było plamami krwi. Wereszczuk szeroko otworzył oczy. Nie miał pojęcia, czy krew pochodzi z którejś z ran w ustach, jaka mogła na nowo się otworzyć, czy też z płuc, co świadczyłoby, że jest z nim naprawdę źle. Nigdy nie był orłem z biologii więc nie wiedział, czy bardziej obawiać miałby się ciemnoczerwonej, czy też o wiele jaśniejszej posoki.

Zaklął w myślach. Czuł, że jego droga, podobnie jak posługa kapłańska i cały ziemski żywot, mogą zakończyć się wraz z dojściem na stary cmentarz choleryków. Był jednak przekonany, że ma do wypełnienia misję. Jeszcze jeden, najistotniejszy punkt swojego życia, by w pełni mógł zaznać nie tylko odkupienia, lecz i zachować czyste sumienie.

Myśl o krwistym kaszlu wypełniła jego myśli na tyle, że nie spostrzegł rozpościerających się przed nim śladów świadczących o kolejnej masakrze. Zaledwie kilka kroków przed Wereszczukiem, w krzakach ostu, leżały ciała ubrane w workowate, brzydkie odzienie. Stanisław dostrzegł je dopiero po dłuższej chwili, gdy powstrzymał się od uwolnienia z organizmu kolejnej fali kaszlu, a oczy nie były przesłonięte łzawą mgiełką. Wzdrygnął się na ich widok, by po dłużącym się momencie z przerażeniem stwierdzić, że są w jeszcze gorszym stanie niż te, z którymi uporał się poprzednio Ostaszewski.

Odór krwi i parujących wnętrzności sprawił, że Wereszczuk momentalnie poczuł żółć podchodzącą mu pod samo gardło. Jego żołądek wpadł w niekontrolowane torsje, by dopiero po chwili uspokoić się i dać prałatowi nieco odsapnąć.

Stanisław mimowolnie zerknął w kierunku zmasakrowanych ciał. Z przerażeniem stwierdził, że są w stanie, w którym nie potrafi zidentyfikować osób, które niewątpliwie napatoczyły się na Adriana Ostaszewskiego. Gdy umysł rozjaśnił mu się na tyle, by połączyć bardzo podstawowe fakty, ze zgrozą w oczach rzucił w myślach, iż patrzy na ciało Kalickiego - największego rozbójnika i łachmyty w całej wsi, który dopełnił swojego żywota z jelitami okręconymi wokół reszty ciała.

* * *

Żaden wynik toczącej się walki nie mógł stanowić pozytywnego rozwiązania jej sytuacji i Weronika doskonale o tym wiedziała. Dwóch walczących ze sobą mężczyzn było opętanych szałem wyrządzania krzywdy sobie nawzajem. Ich ruchy, miejsca składania kolejnych ciosów i pozbawiona jakichkolwiek wątpliwości chęć ich zadawania wypisana na ich twarzach wyraźnie sugerowały, że kobieta jest właśnie świadkiem walki na śmierć i życie.

Kołujący się wir rąk, nóg i krwawiących twarzy był niczym przetaczające się wśród wysokich traw ludzkie tornado. Weronika patrzyła na nie licząc w duchu na to, że dojdzie do jedyne go, w tym wypadku, pozytywnego rozwiązania i obydwaj mężczyźni padną w końcu martwi. Mimo szczerych intencji, nic na to jednak nie wskazywało. Sepleniący, obleśny gwałcieł zyskiwał przewagę nad inicjatorem całego makabrycznego wydarzenia. Jego pięści były niczym małe tarany demolujące twarz drugiego człowieka. Tylko chwila dzieliła go od momentu, kiedy będzie mógł spełnić swoją poprzednią zachciankę i z wściekłością zgwałcić Weronikę.

Kobieta leżała tylko kilka kroków od wciąż bijących się mężczyzn. Jej serce łomotało coraz bardziej, z każdą kolejną chwilą kiedy uświadamiała sobie, że po raz pierwszy w życiu staje się mimowolnym świadkiem morderstwa i wkrótce może skończyć tak samo lub jeszcze gorzej. Jej drżące ręce próbowały osłonić brzuch. W myślach po raz

ostatni wypowiedziała serię przeprosin i uspokajających słów skierowanych do swojej nienarodzonej córeczki.

- Gii-ii-ii-ńńń - usłyszała w końcu stękanie jednego z mężczyzn. Zupełnie tak jak przypuszczała, sepleniący oblech przycisnął do ziemi tego drugiego, by z wyraźnym zamiarem mordu dusić go wielkimi jak bochny dłońmi.

Leżący w wysokiej trawie mężczyzna był cały siny na twarzy. Wciąż jeszcze próbował zareagować, pokonać przeciwnika. Jego ręce były jednak zbyt słabe, żeby czemukolwiek zaradzić. Kilka chwil później słychać było charakterystyczne rżenie, a tuż po nim - co Weronika mogła przysiąc - rozległ się odgłos pękającej grdyki.

Mężczyzna, który od początku wydawał się być liderem grupy, przywódcą całej kohorty kultystów, leżał zupełnie bez życia. Choć jego członki podrygiwały nieznacznie, wpatrzona w nie szeroko rozwartymi oczyma kobieta wiedział, że to wyłącznie sprawa nerwów. Wyglądało to jednak tak, jakby jego ciało wciąż, nawet pozbawione duszy, próbowało walczyć z potężnym, nie posiadającym żadnych skrupułów wrogiem.

Weronika cofnęła się mimowolnie przesuwając po ziemi swe wyczerpane, obolałe ciało. Choć dla niej był to wyczyn godny wspinaczki na wysoką górę, w istocie zmieniła swoje położenie tylko o kilkadziesiąt centymetrów, by jej wędrowkę zakończył stojący tuż za nią wielki pień starego drzewa.

Zajęczała żałośnie jakby przeczuwała nadchodzącą katastrofę, gdy oczy obleśnego zwycięzcy pojedynku powędrowały w jej stronę. Mężczyzna dyszał ciężko. Jego mięsiste, czerwone z wysiłku policzki poruszały się miarowo. Klatka piersiowa unosiła się i opadała w bardzo szybkim tempie. Choć wydawał się wykończony pojedynkiem, to jego oczy mówiły zupełnie co innego. Teraz, pod pewnym kątem, wydawały się Weronice szklić jeszcze bardziej. Mieć w sobie buchający ogień żądy i mordu, który tak naprawdę dopiero się uaktywnił.

Wstał powoli nie spuszczać wzroku z kobiety. Jego odsłonięte, zaciśnięte gniewnie zęby miały kolor starej porcelany. Palce rąk pozostawały w takiej pozycji, jakby wciąż kogoś dusiły. Jakby były żywymi imadłami czekającymi na wypełnienie kolejnego zadania. W następnym momencie zaczął kroczyć w stronę kobiety.

Weronika zamknęła oczy. Nie miała siły już nawet prosić ani błagać o to, by wszyscy zostawili ją w spokoju i pozwolili normalnie żyć.

Wydawało się, że adrenalina w jej żyłach zaczyna dosłownie buzować i kobieta słyszy każdy, nawet najmniejszy dźwięk dochodzący do jej uszu. I gdy była w pełni przekonana, że szuranie butów napastnika stało się tak wyraźne, że nie może być on dalej, jak zaledwie krok od niej, dookoła rozległ się krzyk i wrzask, którego nie sposób było opisać.

* * *

Biegący w stronę tłumu Adrian Ostaszewski miał tylko jeden plan – swym nagłym, niespodziewanym, pełnym agresji atakiem uśmiercić jak najwięcej osób. Początkowo, gdy przyczajony za szpalerem rozciągających się przed cmentarną polaną brzoź przyglądał się dziwacznie ubranym ludziom, dłuższą chwilę zastanawiał się jak rozwiązać całą sprawę w najlepszy dla siebie sposób. W jego umyśle kotłowały się przeróżne opcje, z których wygrała ta najprostsza i najbardziej pospolita. Frontalny atak z zaskoczenia. Skoncentrowanie całych swoich umiejętności na jak najszybszym i jak najskuteczniejszym ataku.

Mężczyzna sam był zaskoczony swoją sprawnością i niekwestionowaną łatwością z jaką przyszło mu rozprawić się z dwiema wcześniejszymi, dużo mniejszymi grupami osób. Za pierwszym razem, gdy zostawił prałata samego, by rzucić się nieoczekiwanie na kilkoro przebierańców jakich spotkali niemal na początku swojej wędrówki, myślał o tym, że porywa się z motyką na słońce. Lata treningów siłowych i wytrzymałościowych nie poszły jednak na marne. Banda zakapturzonych mężczyzn, niemal emerytów, nie miała z nim żadnych szans w bezpośrednim starciu. Adrian z kolei nie miał najmniejszych oporów przed tym, by zadawać im ciosy, którymi jednoznacznie, raz na zawsze, odeśle ich w zaświaty. Za każdym razem, gdy jego łom opadał na czaszki kolejnych mężczyzn, z głuchym płaskiem rozbijając je niczym skorupy jajek, czuł się uradowany. Zupełnie, jakby każda kość, którą łamie, zgniata, miażdży, ściera w proch, była jednym z jego życiowych problemów. Cudownie znikającym za sprawą ciężkiego, wygiętego kawałka metalu rozpedzonego siłą jego umięśnionych rąk.

O wiele gorzej poszło mu w przypadku drugiej grupy. Tam jednak sam dał się zaskoczyć niespodziewanym uderzeniem prosto w twarz. W jego wyniku łuk brwiowy Adriana został całkowicie rozbity i wciąż, mimo prowizorycznych prób zatamowania, krew zlewała mu się na lewą część twarzy. Ten jeden, wielki facet, który naprał na niego z kijem, mógłby być powodem do zmartwienia. Adrian miał świadomość tego, że w zwykłej, uczciwej walce wielkolud nie musiałby nawet korzystać z pomocy swoich równie wysokich i silnych znajomków idących krok w krok za nim. Tyle, że Adrian nigdy nie zamierzał walczyć uczciwie. Najpierw sprowokował wieśniaka do ataku. Zamiast się bronić, wykonywał tylko uniki, korzystając przy okazji ze swojego bogatego portfolio zaskoczonych i przerażonych min, by koniec końców – gdy muskularny mężczyzna zbliżył się na zbyt małą odległość – jednym szybkim ruchem sięgnąć do schowanego w kieszeni noża. Wielkolud nawet nie zorientował się, kiedy jego twarz została rozorana przez ostry niczym samurajska katana nóż. Po chwili, martwy tak bardzo, jak tylko mógł być martwy, leżał na ziemi. Jego kompani z kolei, choć wyglądali na bandę niezłych hultajów, prawdopodobnie nigdy wcześniej nie widzieli na oczy czegoś takiego. Lustrując ich lica Adrian stwierdził, że prawdopodobnie nigdy nie mieli nawet do czynienia z tak dużą ilością przelanej naraz krwi. Zupełnie zaskoczeni, stojący niczym słupy soli, byli tylko bardzo nieznaczącym elementem morderczej wyliczanki noża Ostaszewskiego, który ciął ich ciała niczym kombajn zboże.

Grupa, na którą napierał Adrian z furią była jednak o wiele większa. Mogła liczyć przynajmniej pięćdziesiąt osób, choć on sam domyślał się, że i tak w przeważającej większości stanowią ją starcy i kobiety. Jego atak miał być więc niszczyielski od samego początku.

I tak zaiste był.

Nikt z grupy stojącej przed cmentarną bramą nie spodziewał się żadnego ataku zza pleców. Wszyscy wpatrzeni byli w sceny rozgrywające się na samym krańcu cmentarza, gdzie – jak im się wydawało – doszło do jakiegoś starcia między dwoma najważniejszymi osobami ich małego kultu. Wszystko jednak wydawało się nieoczywiste przez półmrok tworzony przez drzewa, zacinający, chłodny deszcz oraz świetle refleksy padające od strony oświetlonego lampami prowizorycznego ołtarza. Choć niektórzy spośród tłumu wrywali się do

tę, by przekroczyć cmentarną bramę i zobaczyć, co dzieje się na końcu nekropoli, zostawali szybko sprowadzeni na ziemię przez resztę osób.

- Mamy tam nie wchodzić! Rytuał jest ściśle określony! Nie możemy zaburzyć jego porządku! - krzyczeli licząc w duszy na to, że to co dostrzegają jest w jakimś stopniu jego częścią.

Adrian Ostaszewski przystąpił do ataku w momencie, kiedy większość myślała, że lada chwila śmierć i wszelkie tragedie raz na zawsze zostaną przepędzone z Siedlan.

Zaskoczenie dało Adrianowi przewagę. Zgruchotane łomem czaszki pierwszych kilku osób pękały niczym balony, zalewając krwią stojących obok, niczego nieświadomych pokutników. W chwilę później także i oni posmakowali albo wielkiego, czarnego pręta, albo siekającego ostrza noża.

Rozległy się pierwsze krzyki i wrzaski. Ludzie zaczęli wskazywać na trwającą tuż obok nich masakrę, by po chwili uciekać na wszystkie strony nie zważając na to, że mieli wziąć udział w rytuale, jaki miał im zapewnić zdrowie i szczęście. Nie zważali również na to, by pomóc osobom, na których rzucił się szaleniec.

Adrian tymczasem trwał w morderczym amoku. Nikt nawet nie próbował go powstrzymać. Nikt nie miał na tyle odwagi, by w jakikolwiek sposób zapobiec trwającej rzezi.

Wystarczyły tylko dwie minuty, by ziemia przed starym cmentarzem usłana została martwymi mieszkańcami Siedlan. Ci, którzy zdołali uciec gonili na wszystkie strony nie bacząc na to, czy pędzą w kierunku swoich domów, czy też zupełnie gdzie indziej. Nie zawracali, nie patrzyli za siebie. Biegli co sił w kierunku miejsca, gdzie poczują się bezpieczniej.

- Teraz... tylko... ona... - wydukał Ostaszewski, kiedy skończyły mu się czaszki do rozbijania. Rozejrzał się dookoła, by zobaczyć, gdzie może znajdować się Weronika. Nigdzie jej jednak nie widział. Zupełnie, jakby wszyscy dziwacy ubrani w stare, workowate stroje nie przyszli tutaj, by - zgodnie ze słowami Wereszczuka - odprawić jakiś rytuał mający na celu uśmiercenie kobiety. W pierwszej kolejności można było pomyśleć, że naprawdę są oni pokutnikami, którzy w dzień Bożego Ciała spotykają się, by w bardzo niecodzienny sposób przeprosić

niebiosa za swoje grzechy. Dopiero po chwili, przebijając swój wzrok przez ścianę nawalnego, coraz bardziej szalonego deszczu, dostrzegł serię gwałtownych ruchów na samym końcu starego cmentarza, pod którym stał. Instynktownie, jakby dosłownie poczuł kolejny przyływ zwierzęcego zewu, ruszył w tamtą stronę. Przeszedł przez zardzewiałą bramę w akompaniamencie pisków starych zawiasów. Ciągłe wpatrywał się w intensywne ruchy kogoś stojącego za wielkim, obszernym drzewem mieszczącym się za abominacją w postaci makabrycznego, prowizorycznego ołtarza. Tańczący cień człowieka wyglądał nie mniej groteskowo niż oświetlony, zwisający ponad ołtarzem szubieniczny sznur. Pobieźnie przyglądając się wszystkiemu - przerzucając wzrok z gwałtownie ruszającego się cienia na elementy dekoracyjne wyglądające rodem ze starych, podrzędnych horrorów, Adrian wyzbył się wszelkich wątpliwości co do tego, że mieszkańcy mieli zamiar urządzić tu prawdziwą rzeź utrzymaną w sekciarskich wręcz klimatach. Przez jedną, dłuższą chwilę zawiesił swój wzrok na wiszącej wysoko pętli oraz zbitym ze starych desek ołtarzu przykrytym równie starą, czerwona tkaniną, usianą gęsto świecami, lampionami i - przede wszystkim - małymi czaszkami i kośćmi wyraźnie należącymi niegdyś do dzieci. Zaklął pod nosem i przerzucił całą swoją uwagę na dziejącą się nieopodal akcję. Gdy był już zupełnie niedaleko uniósł w powietrze łom, by zamachnąć się i z zaskoczenia uderzyć tajemniczą postać po drugiej stronie drzewa. Dopiero wtedy usłyszał przeciągły jęk. Kobięce, choć zupełnie nienaturalne, kwilenie. Rozpoznał w nim głos Weroniki, która, najwyraźniej, dostała się w ręce któregoś z wieśniaków, jacy jeszcze ostali się przy życiu.

Bez namysłu wybiegł z za drzewa, by zobaczyć, jak potężnie zbudowany mężczyzna, poobijany i posiniaczony, próbuje usiąść okrakiem na wyjącej z bólu Weronice. Tuż obok, w wysokiej trawie, leżały zwłoki innego.

Nim człowiek o tłustej, złanej krwią twarzy wykonał kolejny krok w kierunku zgwałcenia kobiety, jego czaszka pękła niespodziewanie pod naporem nagłego uderzenia Adriana. Twarz kobiety zalał deszcz posoki i resztek mózgu. Paradoksalnie, jej krzyki dopiero wtedy ustały. Dopiero wtedy, gdy przez załzawione oczy dostrzegła rysującą się przed nią postać ukochanego, na twarz wstąpił uśmiech, a serce uspokoiło się mimo iż truchło próbującego ją zgwałcić mężczyzny opadło tuż przy

niej, a jego parujące wnętrzności dotykały jej struchlałego, bladego ciała.

- Adi... - wyszeptała, jakby w tym jednym prostym zawołaniu zawrzeć chciała zarówno całą swoją miłość do niego, jak i niesamowitą ulgę, że wybawił ją ze śmiertelnej opresji.

- Teraz kolej na ciebie, ty dziwko - wycedził przez zęby Adrian Ostaszewski wpatrując się w Weronikę wzrokiem pełnym podłości.

Zupełnie zaskoczona kobieta dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to, co usłyszała, było prawdziwe. I nagle, jakby wszystkie jej myśli przeszył siermiężny grom zrozumiała, że przypuszczenia co do Adriana były jak najbardziej słuszne.

ROZDZIAŁ XXVIII

- A... Adi? - pytanie padające z ust Weroniki było przesiąknięte strachem. Kobieta patrzyła w stronę swojego wybawcy nie z ulgą i miłością, lecz czystym przerażeniem. - Co.. co ty mówisz? - wciąż zadawała pytania z przestraszeniem patrząc na Adriana, który stał nad nią z łodem silnie zaciśniętym w prawej ręce.

- Zawsze niewinna, zawsze bezbronna... - litania zagadkowych fraz wypłynęła z mężczyzny z goryczą. Gdyby mógł, pewnie okraszałby każde kolejne słowo potokiem lejącej się z ust żółci. - Zniszczyłaś nam całe życie! Pieprzona królowna. Pieprzona Weronika Sobczyk...

- Cccc... co? - kobieta dukała nie mając ani sił, by się jakkolwiek poruszyć, ani by zareagować w inny sposób. Patrzyła tylko swoimi wielkimi oczami na stojącego przed nią mężczyznę, kwiląc niczym małe dziecko. Choć w pełni zdawała sobie sprawę z tego, dlaczego Adrian obdarza ją niewybrednymi epitetami, udawała, że nie ma pojęcia o czym mówi. Próbowwała grać starając się odwlec chwilę, o której podświadomie wiedziała, że i tak nastąpi.

- Ty doskonale wiesz kim jestem, prawda? - zapytał zawadiackim tonem Adrian. - W sumie nawet nie obchodzi mnie, kiedy się domyśliłaś. O wiele bardziej zastanawia mnie fakt, co ty z tą świadomością chciałaś zrobić. Zabawić się mną? Wpędzić w psychiczną ruinę, tak jak moją siostrę?

Weronika nie odpowiedziała. Z jej twarzy można było jednak wyczytać skrajne przerażenie.

- No powiedz suko! - zaklął, po czym uderzył łodem w drzewo o które opierała się kobieta. Odłamki pnia poleciały na jej drżące ciało. - Chciałaś zrobić ze mną to samo, co z moją siostrą? Tego chciałaś? Zdajesz sobie w ogóle sprawę, jak wiele Martyna wycierpiała?

- Prze... pra... szam... - Weronika zdołała powiedzieć jedynie tyle. Wpatrzona w Adriana bolesciwym wzrokiem, obejmowała drżącymi

rękoma swój brzuch, który nieznacznie zaczął falować.

- Nie martw się - kpiącym tonem odpowiedział mężczyzna wskazując zakrwawionym łosem na brzuch Weroniki. - Twojego bachora zabiję w pierwszej kolejności. Do porodu jeszcze trochę zostało? Och, jaka szkoda, że za chwilę wyrwę ci go siłą!

Kobieta zawyła. Jej serce zaczęło łomotać z taką siłą, jakby samo miało lada chwila wyskoczyć z klatki piersiowej. Ręce i nogi zupełnie odmówiły posłuszeństwa. Oczy zalała fala łez, a myśli przepełniła czarna rozpacz.

Weronika wiedziała, że to koniec. Że nie ma odwrotu od tego, co wkrótce nastąpi. Wiedziała i żałowała. Całego swojego życia. Wszystkich złych, podjętych przez siebie decyzji. Każdego jednego dnia ze swej zamierzchłej przeszłości, kiedy była nikim więcej, jak wredną jędzą. Zupełnym zaprzeczeniem tego, kim stała się później. Nie żałowała jedynie jednej rzeczy. Tego, że zdecydowała się urodzić swoje dziecko. Wiedząc z góry, że będzie samotną matką. Mimo wszystkich niepewności i tego, że każdy kogo znała zalecał jej aborcję. Chciała być silna i odważna. Chciała zapełnić swoją życiową pustkę prawdziwą miłością. Dlatego tak bardzo przepraszała teraz swoją córeczkę. Jedną jedyłą osobę, którą miała pod opieką i której nie zdołała obronić. Widząc Adriana Ostaszewskiego - jego postawę, zachowanie - słysząc kolejne kalumnie lecące z jego ust była przekonana, że one dwie - matka i córka - zakończą swoje życie z bólem wypisanym na twarzach.

Weronika czuła się podwójnie winna. Jej bezbronne dziecko miało zostać ukarane wyłącznie dlatego, że to ona popełniła życiowe błędy. Kobieta myślała, że właśnie z taką świadomością przyjdzie jej dokonać swojego żywota.

- To jak? - zapytał Ostaszewski wyciągając z kieszeni spodni nóż i nachylając się nad ciężarną. - Wolisz, żebym zrobił nacięcie w poprzek, czy wzdłuż brzucha, he?

* * *

Stanisław Wereszczuk wiedział, że najpewniej umiera. Krew sączyła się z jego ust z taką częstotliwością, że nie było najmniejszej możliwości, by nie była efektem głębokiego, wewnętrznego krwotoku. Sam więc dziwił się sobie i swojemu organizmowi, że jeszcze udaje mu się

odciągnąć na kolejne minuty wizytę kostuchy. Zdążył już jednak pojednać się z Bogiem, przeprosić go za swoje grzechy i szepnąć w duszy swoim bliskim, że już niedługo będzie radował się nowym życiem razem z nimi. Żałował tylko tego, że w pobliżu kilkunastu kilometrów nie było nikogo, kto mógłby udzielić mu ostatniego namaszczenia. Brnął jednak dalej przez las w kierunku cmentarza choleryków wyzwalając z siebie ogromne pokłady siły i determinacji. Wciąż wierzył w to, że ma do wykonania ostatni punkt na swojej karcie życia, i tym punktem był udział w uratowaniu niewinnych osób, które tylko przez przypadek stały się częścią okropności wywołanych przez krążący wśród mieszkańców mit o odwiecznej klątwie.

Do cmentarza został mu jeszcze całkiem spory kawałek drogi. Wtem usłyszał jęki i krzyki. Nie zdążył nawet jakkolwiek zareagować, zastanowić się i dostrzec ich źródła, gdy zza szpaleru wysokich krzaków, nie dalej jak kilkanaście metrów od niego, wybiegła grupa osób kierując się wprost w jego stronę. Pokutnicy ubrani w workowate stroje lecieli niczym opętani. Ich twarze były naznaczone przerażeniem i strachem. Wyglądali, jakby dosłownie przed chwilą zobaczyli samego diabła.

Stanisław Wereszczuk był równie przerażony. Banda popleczników Seweriusza Tochmana pędziła, jakby świat się walił i palił, a on sam – biedny prałat – był im przeszkodą stojącą dosłownie na środku drogi. Oczyma wyobraźni widział już, jak rozjuszony tłum wpada na niego i odsyła go do innego, lepszego świata. Zdając sobie sprawę z tego, że nigdzie nie zdoła już uciec, zamknął powieki i wypowiedział kilka nieskładnych słów modlitwy, jakby w stresie zupełnie zapomniał jak to się robi.

Poczuł uderzenie w bark. Jedno i drugie. Zachwiał się i nieomal upadł. Stał jednak twardo na nogach oczekując kolejnych, bolesnych ciosów. Krzyki dookoła osiągnęły swoje apogeum. Słyszał, jak mieszkańcy Siedlan wydzierają mu się dosłownie nad uchem, wypowiadając w szale zupełnie niezrozumiałe dla niego słowa. Po chwili jednak cały rumor zaczął się oddalać. Wereszczuk, wciąż nie chcąc otwierać oczu, słyszał tylko, jak wszystkie piski i jęki uchodzą w dal. Tupot dziesiątek nóg, jak gdyby nigdy nic, również zaczął cichnąć. Dopiero po kilku kolejnych, niezwykle dłużących się sekundach, prałat zdecydował się otworzyć oczy. Ku swojemu zaskoczeniu odkrył, że nie

tylko wciąż żyje, lecz również, że cała horda kultystów minęła go i jak oparzona pognęła dalej.

- Ostaszewski... - wypowiedział pod nosem nazwisko prawdopodobnego winowajcy całego stanu rzeczy, wyobrażając sobie jaki horror musiał tam zgotować, że udało mu się przerazić do szpiku kości kilkadziesiąt osób.

Nie czekając ani chwili dłużej, starając się zebrać w sobie wszystkie pozostałe w wątłym ciele siły, pokuśtykał dalej, w stronę cmentarza, licząc na to, że jeszcze nie doszło do najgorszego.

* * *

- Najpierw bachor, później ty. Bardzo powoli. Kawałek po kawałku. Żebyś nawet w zaświatach czuła ten cholerny ból i miała całą wieczność na przemyślenia, jak wielki popełniłaś błąd będąc taką zwykłą, plującą dziwką.

Weronika wyła, gdy końcówka ostrza noża Adriana sunęła po jej ciele. Zupełnie nie miała siły na to, by w jakikolwiek sposób zaradzić temu, co ma nastąpić. Jej ręce, wciąż odczuwające skutki silnego skrępowania, były sine i bezużyteczne. Nawet mając zerową wiedzę z zakresu medycyny zdawała sobie sprawę, że nadają się wyłącznie do amputacji. Było to jednak zupełnie nieistotne w starciu z faktem, że ostrze trzymane przez jej do niedawna ukochanego, bardzo delikatnie cięło jej brzuch zostawiając na nim niewielką, wąską strużkę krwi.

- Zostaw! Błagam! - wydierała się, gdy buzująca adrenalina sprawiała, że znajdowała w sobie wystarczająco dużo samozaparciu, by w jakikolwiek sposób sprzeciwić się Ostaszewskiemu. Rzuciła głowę na boki, wierzgała nogami - tyle na ile mogła. Była jednak z góry skazana na porażkę w starciu z nad wyraz silnym Adrianem. W życiu nie sądziła, że taki niewysoki, chuderlawy mężczyzna może być tak nieludzko silny.

- Zostaw? Zostaw? - zapytał drwiąco przerywając swoje pierwsze ruchy nożem, podrażniające tylko skórę kobiety. - Moja siostra też błagała cię o litość! Też miała dość! A ty? Jedyne co potrafiłaś, to gnoić ją jeszcze bardziej i bardziej.

Silnie zaakcentował ostatnie słowa wbijając nieznacznie ostrze noża w udo kobiety. Weronika zawyła. Czuła, że już tylko kilka chwil dzieli

Adriana od ostatecznego rozpoczęcia bestialskich tortur, które jej obiecał.

- Ach... - powiedział pod nosem z rozkoszą. - To prawda, co mówią o zemście - wbił nóż jeszcze głębiej. Kobietę aż wykręciło z bólu. - Może i nie przywróci to życia mojej siostrze, może nie cofnie czasu i nie uleczy ran. Ale słysząc te twoje pieprzone jęki od razu chce mi się żyć.

Nachylił się nad Weroniką i popatrzył jej głęboko w załzawione, zaczerwienione oczy.

- Masz moje słowo, że postaram się, aby twoje krzyki usłyszała nawet moja siostra. Gdziekolwiek się teraz znajduje.

Nie czekając na reakcję kobiety ani na kolejne wypowiedane przez nią z żalnością błagania o litość, bez słowa zastanowienia wyciągnął szybkim ruchem nóż z jej uda i skierował cios prosto w jej nagą stopę. Kości i ścięgna trzasnęły w niej pod naporem ostrza, a cała noga zaczęła drgać jak w konwulsjach, rzucając się na prawo i lewo, starając wyswobodzić się spod nacisku ciała Adriana.

Weronika wrzeszczała. Jej suche, zdarte do cna gardło wydało z siebie dźwięk bardziej przypominający zawodzenie demona, niż człowieka. Brzuch kobiety uniósł się miarowo. Spoczywające w nim dziecko wydawało się uciekać z jego jednego końca na drugi, tworząc małą, przemieszczającą się pod skórą falę.

- Tutaj jesteś, prawda? - ironiczne pytanie padające z ust Adriana niemal całkowicie zagłuszone zostało przez krzyk kobiety. - Chyba najwyższa pora na to, żeby poznać mamusię, nieprawdaż?

- Zo...staw... ją! - wykrzyczała Weronika przełamując ból, zauważając, że Ostaszewski kieruje nóż w kierunku jej brzucha.

- Ciiii. Spokojnie - Adrian uspokajał ją z wyraźną kpina w głosie. - Zdążysz zobaczyć swoją małą córeczkę nim obie przerobię was na miazgę.

Poprawił się i odetchnął głęboko. Przytrzymał brzuch, by trafić bezpośrednio tuż pod jego linią. Nie zważał na niemrawe ruchy próbującej się wyswobodzić Weroniki. Chwycił pewnie nóż w dłoni i wziął szeroki zamach.

- To dla ciebie siostrzyczko - powiedział, po czym zamknął na chwilę oczy, jakby moment ostatecznej zemsty miał mu przynieść prawdziwą ekstazę.

Otworzył je nagle. Szeroko. Na jego twarz wstąpił przestach i zupełne niezrozumienie. Nóż wypadł mu z dłoni, a ciało - zwarte i gotowe do zadawania kolejnych obrażeń - całkowicie zwiotczało. Popatrzył na Weronikę, która w momencie przestała krzyczeć. Chwilę później zerknął w dół, na swoją klatkę piersiową.

- Żesz kurrr... - pomyślał nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, po czym zamknął oczy i osunął się na ziemię.

Adrian Ostaszewski był martwy.

ROZDZIAŁ XXIX

Stanisław Wereszczuk wciąż ciężko dyszał, gdy spoglądał na plecy Adriana Ostaszewskiego, w których sterczał stary, zrobiony z wąskich rurek, nagrobny krucyfiks. Przełamany z dawien dawna przez korozję krzyż leżał przy jednym z grobów jakby czekając na to, aż ktoś wykorzysta jego zaostrzony koniec.

Gdy prałat wchodził na teren nekropolii, zszokowany tym, co zastał przed jej bramą, gdzie – jak mu się wydawało – spoczywały ciała co najmniej dziesięciu mieszkańców Siedlan, nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył na samym końcu cmentarza. Za makabrycznym ołtarzem udekorowanym czaszkami małych dzieci i truchłami ptaków odgrywała się scena jak z filmu grozy. Mężczyzna deklarujący niesienie pomocy swojej ukochanej kobiecie, pastwił się nad nią, wyzywał, bił. Groził zabiciem jej i nienarodzonego jeszcze dziecka. Niczym w amoku dźgał nogi sugerując, że już za chwilę, za ułamek sekundy, wbije swój nóż w jej odsłonięty, ciężowy brzuch.

Wereszczuk czuł się w tamtym momencie, jakby to on – a nie cały świat – postradał zmysły. Jakby to w jego głowie – podrzędnego księdza i alkoholika w jednym – szalał demon podsuwający mu obrazy z najgorszych koszmarów. Nie dziwił się więc, że spoglądając na dramatyczną sytuację rozgrywającą się pod wielkim cmentarnym drzewem, czuł chłód ciągnący od strony najstarszych, obmierzłych mogił, gdzie według miejscowych spoczywały szaty po obarczonych trądem pokutnikach. Nie dziwił się, że słyszy chóralny zaśpiew, który niczym echo uderzał w jego myśli. Nie dziwił się, że zaczyna wierzyć w to, że zaiste – Siedlany stały się przedsionkiem diabła.

Sam nie wiedział kiedy sięgnął po stary, nagrobny krucyfiks. Zupełnie nie potrafił odnaleźć w swoich wspomnieniach sprzed paru chwil momentu, w którym zacisnął na nim swoje drżące dłonie nie zważając na ból połamanych palców, by w kolejnej sekundzie unieść go

wysoko i w akompaniamencie ostatnich podrygów burzy, wbić go z całej siły w ciało młodego mężczyzny. Stał tylko i patrzył jak ten wykrwawia się na śmierć, powoli osuwając na ziemię. Czuł na dłoniach rdzę ze starego krzyża, a na twarzy wzrok zdziwionej i jednocześnie uradowanej kobiety. Jej oczy zdawały się mówić, że nie wierzy w to, co się stało. Dyszała tylko ciężko, z całych sił starając się dotknąć swego brzucha. Jej ruchy były jednak zupełnie niemrawe. Dłonie, których przeguby wciąż były obwiązane z całej siły sznurem, stały się niemal fioletowe. Zupełnie bez czucia.

Wereszczuk stał tam i patrzył na to wszystko niczym pierwszoplanowy aktor, który zupełnie zapomniał jaką rolę odgrywa. Całkowicie pograżył się w sobie tylko wiadomych rejonach myśli. Zdawał się nieobecny, głuchy na ciche, jękliwe nawoływania kobiety i dźwięki wydawane przez konającego u jej stóp mężczyznę. Zamiast od razu podejść do kobiety, pomóc jej na tyle, na ile mógł jego wycieńczony organizm, prałat zaczął rozglądać się wokół siebie, jakby trwał w letargu. Spojrzał w bok, na miejsce, gdzie leżały zwłoki Tochmana i Radzymińskiego, po czym przerzucił wzrok w dal - na miejsce przy cmentarnej bramie - usiane zwłokami mieszkańców wsi. Pomyślał o rzezi jakiej był świadkiem. O ilości ludzkich istnień, których życie skończyło się tego jednego, znamionego dnia. O tragedii, która po raz kolejny dowiodła, że bardzo dawno temu - w zamierzchłych czasach swojej młodości - mógł popełnić najgorszy, niewybaczalny błąd.

Poddać się niewierze.

Zerknął w stronę najbardziej zarośniętej części cmentarza. Tej porośniętej wiekowym mchem i chwastami. Tam, gdzie znajdowało się siedem starych, mitycznych wręcz mogił. Po raz kolejny już poczuł, jakby zimno wędrujące po jego ciele płynęło prosto z nich. Słyszał w głowie dźwięczny śmiech zdający się mówić, że po raz kolejny zło zatriumfowało. Klątwa, w którą przez całe swoje życie nie wierzył, znów zebrała śmiertelne żniwo. A on, głupi niewierny prałat, pozwolił, by tak się stało.

Odwrócił oczy od mogił i raz jeszcze przewędrował wzrokiem po całym cmentarzu. Ostatecznie zatrzymał się w tym wizualnym pochodzie na ciężarnej kobiecie. W dalszym ciągu nie docierały do niego jej słowa. Widział, jak ta krzyczy i za wszelką cenę próbuje wstać.

Wierzga nogami i kieruje w jego stronę kolejne, błagalne – zdało się – nawoływania.

– Byłem głupcem... – wypowiedział nagle szeptem, który dotarł do uszu kobiety pomimo padającego deszczu. – Tak bardzo zawiodłem...

– Niech mi pan pomoże, błagam! – Weronika łkała znajdując w sobie nowe siły, by drzeć się wniebogłosy. Zwracała się do stojącego przed nią mężczyzny <pan>, jakby w obawie, że także i ten człowiek okazać się może fałszywym kapłanem. Stercząca w jego koszuli koloratka była dla niej bezwartościowa. – Proszę! Moje dziecko!

– Dziecko... – zdołał jedynie powtórzyć Wereszczuk. W ciągu jednej sekundy wyraz jego twarzy zmienił się nie do poznania. Jakby gdzieś głęboko w umyśle prałata nastąpiła tak wyraźna transformacja myślenia, że zdołała wyźłobić się na jego licu. W następnym momencie popatrzył na kobietę po raz pierwszy w pełni świadomie od chwili, kiedy zjawił się na nekropolii. Nie był to jednak wzrok pełen dobroci i współczucia. Nie było w nim ani krzty zrozumienia. Weronika zauważyła to niemal od razu.

Nie zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować. Wereszczuk podbiegł do niej, jakby i w niego wstąpiły nowe siły. Bez najmniejszych oporów złapał ją za jedną nogę, ścisnął z całej siły, po czym zaczął ciągnąć Weronikę w sobie tylko wiadomym kierunku.

Kobieta zapiszczała. On jednak zupełnie na to nie zważał. Nie interesowało go to, czy ciągnie ją po wystających korzeniach, czy może, w tym makabrycznym pokazie jego siły, jej ciało uderza o kolejne, stare nagrobki. Wiedział i był świadomy tylko jednego – w takim stanie ciężarna nie będzie miała najmniejszych szans, by się obronić. Brnął więc dalej ciągnąc ją na odległą stronę cmentarza. Minął ołtarz i dół, jaki niegdyś stanowił mogiłę dla dziecka Aurelii Malewskiej. Przeszedł obok rzędu zmurszałych nagrobków choleryków, zatrzymując się dopiero nieopodal najstarszych mogił. Odrzucił trzymaną przez siebie nogę Weroniki, jak gdyby trzymał worek kartofli, po czym kilkoma szybkimi krokami podszedł do pierwszego spośród grobów trędowatych pokutników. Nie zważając na łamiący go w krzyżu i piersiach ból, nie zwracając uwagi na połamane palce jednej z dłoni, zaparł się na nagrobnym kamieniu wbijając ręce w pokrywający go głęboki mech. Kilka chwil trwało zanim zdołał zsunąć go do tego stopnia, by odsłonić

wnętrze mogiły. Wnętrze, które uraczyło go niczym więcej, jak bezmierną pustką i gęstymi cieniami.

Stanisław Wereszczuk odetchnął głęboko i wyprostował się. Do jego płuc doleciał smród unoszący się z zapieczętowanej od ponad wieku mogiły. Była to jednak wyłącznie mieszanina pleśni i wilgoci. W zatechłym powietrzu nie było choćby śladowej ilości fetoru towarzyszącego rozkładaniu się ciał. Nie było charakterystycznego, trupiego zapachu wypełniającego szczelnie cały grób. Na samym spodzie mogiły nie było zaś choćby śladu po trędowatych pokutnikach, lub - jak podawała legenda - ich szatach zrzuconych tu owego, pamiętnego dnia, w którym rozpoczęła się niedola Siedlan.

- Muszą tu być! - prałat wykrzyczał tak głośno, jakby jego słowa zakłócić miały tnące nieboskłon gromy. - Muszą!

Niczym w malignie podszedł do kolejnej spośród mogił, by i tam odsunąć nagrobny kamień i po chwili sterczeć wpatrzony w witającą go nicość.

To samo czekało go w przypadku kolejnych, owianych mitem grobach. Po kilku minutach Stanisław Wereszczuk - zdyszany, zmęczony i zrezygnowany - obejmował wzrokiem sporą połącz cmentarzyska, gdzie tajemnicze groby trędowatych pielgrzymów, nieotwierane od ponad stu lat, zionęły pustką. Prałat jednak wciąż słyszał w głowie dziwne zaśmiechy. Wciąż wydawało mu się, że diabeł bawi się jego myślami i także i tym razem próbuje go omamić. Odciągnąć od prawdy. Po raz kolejny zwieść na manowce.

- Boże, jeżeli to błąd, przebacz mi - szepnął zamykając oczy. Po raz ostatni pozwolił sobie zajrzeć głęboko w swoje myśli. Zrewidować wszystko to, w co wierzył. Po raz ostatni spróbował dojrzeć prawdę. - Niech zatem tak się stanie.

Otworzył oczy i spojrzał na Weronikę Sobczyk. Kobieta, która - w co teraz święcie wierzył - jest nikim innym, jak personifikacją ciężającej nad nią klątwy.

- Odkupienie wymaga poświęcenia - rzekł do niej, po czym zaczął kroczyć w jej kierunku.

Przeżona kobieta łkała. Próbowała za wszelką cenę podnieść się z ziemi. Uciec od człowieka, który w zaledwie kilkana chwil z wybawcy przemienił się w kolejnego kata. Nie zdążyła jednak nawet zakrzyknąć

po raz ostatni, gdy Stanisław Wereszczuk – kulejąc, czując, że siły odchodzą od niego z sekundy na sekundę – po raz kolejny złapał ją za ranną nogę, przeciągnął kilka metrów i umiejscowił ponad otworem pierwszej spośród siedmiu starych mogił.

Spojrzał na poruszający się brzuch kobiety. Na dziecko, które w niej kwitło. Na owoc – jak sądził – bezecnego czynu, który tylko potwierdza istnienie klątwy. W następnym momencie jednym, wprawnym kopnięciem, zepchnął kobietę w dół ciemnej, ziejącej chłodem mogiły. Usłyszał głuchy trzask, a następnie serię jęków. Przeszywających, cierpiętniczych krzyków tak potwornych, że nie mogły dobywać się z ust żadnego człowieka. Dopiero wtedy uwierzył ostatecznie, że śmierć, która zawitała do Siedlan przed wieloma laty, została pokonana.

Jakby na zawołanie deszcz przestał lać się z nieba. Hulające pod chmurami gromy ustały, a w sercu i umyśle Stanisława Wereszczuka zagościł spokój.

Po raz ostatni zerknął w dół mogiły, skąd wciąż dobywały się jęki i nieskładnie wypowiedane słowa. Obszedł grób i zasunął kamień zupełnie tak, by wyglądał, jakby historia sprzed minuty nigdy nie miała miejsca.

Nie zważając na wierzące jego umysł echo potwornych nawoływań spod ziemi odetchnął głęboko, przeżegnał się, po czym bardzo wolno, pokonując ból każdej części ciała i ataki krwawego kaszlu, udał się w powrotną drogę do Siedlan.

EPILOG

Rytmiczny stukot mahoniowej laski unosił się w wiosennym powietrzu. Opierający się o nią mężczyzna kuśtykał spokojnie po szutrowej drodze radując się promieniami słońca i zapachami bujnie kwitnących traw i ziół. Co pewien czas przymrużał oczy spoglądając w niebo. Starał się złapać każdy skrawek ciepła i każdy powiew orzeźwiającego, delikatnego wiatru, który hulał w jego siwych włosach.

Wracał do siebie po okrążeniu całej wsi. Lubił i starał się robić to przynajmniej dwa razy w tygodniu. Uwielbiał mieć pewność, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Absolutny, niczym niezakłócony spokój.

Wiele lat minęło od chwili, kiedy w jego sercu po raz ostatni zasiany został strach. Sporo czasu upłynęło od wydarzeń, które – o czym był przekonany – stały się jego najważniejszą, życiową posługą. Radując się każdym kolejnym, szczęśliwym dniem zapomniał już jak to jest, kiedy w sercu gości niepewność i apatia, a śmierć czai się dosłownie na każdym kroku. Był zbyt zafascynowany stoickim spokojem swojego nowego życia, by powracać do koszmarów przeszłości. Do wydarzeń, których ludzie nie potrafili pojąć i zrozumieć. Których nie potrafili rozwiązać i ogarnąć swoimi umysłami. On odciął się od nich w całości. Jeszcze kilkanaście lat wcześniej obawiał się, czy aby na pewno poradzi sobie z mogącymi się pojawić wyrzutami sumienia i wewnętrznym, oskarżycielskim głosem. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Jego myśli, jak jeszcze nigdy wcześniej, wypełnił błogi, boski spokój.

Mężczyzna szedł i uśmiechał się szeroko. Od czasu do czasu nawet gwizdał, jakby chciał dotrzymać towarzystwa latającym dookoła ptakom. W pewnej chwili uśmiech zszedł mu jednak z twarzy, a pewne głęboko ukryte wspomnienia wypełzły na światło dzienne. Uderzyły z całą mocą sprawiając, że mahoniowa laska, na której się podtrzymywał, zaczęła wyraźnie drżeć.

Stojący kilkadziesiąt metrów dalej dom – przeklęty budynek, o jakim pamięć ludzka powinna zapomnieć – znów tętnił życiem. Opuszczony na wiele lat, w czasie których zdążył pokryć się brudem, obrosnąć chwastami i bluszczem, sprawiał wrażenie, jakby po raz kolejny stać się miał miejscem, gdzie zasiane zostanie ziarno martwej już kłątwy.

Mężczyzna, nie zważając na ból w nodze, przyspieszył kroku. Jego oczy rozwarły się szeroko, gdy za bramą prowadzącą na przydomowe podwórze ujrzał najpierw mężczyznę, a następnie – idącą krok w krok z nim – kobietę.

Ciężarną, uśmiechniętą kobietę.

Zaklął pod nosem. Krew w jego żyłach dosłownie buzowała, a serce zaczęło bić o wiele zbyt szybko.

Zadowolona para kilka sekund po opuszczeniu posesji wsiadła do samochodu. Zanim idący w ich stronę mężczyzna o lasce w ogóle zdążył podejść pod przeklęty dom, po tajemniczych osobach został już tylko kurz unoszący się za oddalającym się samochodem.

Nagle na pogodne do tej pory niebo wstąpiły masywne, kłębiaste chmury. Wiosenny wiaterek zmienił się w burzowy wichur, a serce mężczyzny przepełnił strach i niedowierzanie. W pewnym momencie mahoniowa laska nie wytrzymała kolejnych, silnych drgań dłoni i wymknęła mu się z ręki sprawiając, że osunął się na ziemię. Leżąc bez siły na wiejskiej drodze pozwolił, by pierwsze krople deszczu spadały na jego ciało w oskarżycielskim tonie.

Zapłakał.

Myśl o pogodnym życiu, o dotrwananiu do swoich ostatnich dni w szczęściu i beztrójce, odeszła w zapomnienie.

Łkający niczym dziecko Stanisław Wereszczuk wiedział bowiem, że do Siedlan, już lada chwila, po raz kolejny zawita śmierć.